



JAMES

Najbardziej znany autor w Stanach Zjednoczonych

PATTERSON

DAVID ELLIS

NIEUCHWYTNY

ALBATROS

OBSESJA BYŁEJ ANALITYCZKI FBI CZY SPRAWA
KRYMINALNA, JAKIEJ NIE ZNA HISTORIA?

SETKA NIEROZWIĄZANYCH SPRAW. BRAK MOTYWÓW.
BRAK NARZĘDZI ZBRODNI. BRAK PODEJRZANYCH.

Mają ją za wariatkę.

Emmy Dockery jest pewna, że jej siostra bliźniaczka została zamordowana, a pożar, w którym spłonęła, miał służyć tylko zatarciu śladów. Co więcej, jest przekonana, że seria pożarów w różnych częściach Stanów Zjednoczonych to perfidnie zaplanowane, w jakiś sposób powiązane ze sobą zbrodnie. Nie wierzy jej ani policja, ani FBI, ani jej były chłopak.

I nikt nie uwierzy, dopóki Emmy nie znajdzie dowodów, których nie da się dłużej ignorować. A tymczasem w płomieniach giną kolejni ludzie.

**JAMES
PATTERSON
DAVID ELLIS**

NIEUCHWYTNY

Z angielskiego przełożyła
Anna Esden-Tempska

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tego autora

DOM PRZY PLAŻY
DROGA PRZY PLAŻY
KRZYŻOWIEC
MIESIĄC MIODOWY
RATOWNIK
SĘDZIA I KAT
SZYBKI NUMER
OSTRZEŻENIE
BIKINI
REJS
POCZTÓWKOWI ZABÓJCY
(z Lizą Marklund)
KŁAMSTWO DOSKONAŁE
WYCOFAJ SIĘ ALBO ZGINIESZ
DRUGI MIESIĄC MIODOWY
ZOO
KOCHANKA
(z Davidem Ellisem)
DELIKWENTKI
(z Davidem Ellisem)
NIEUCHWYTNY
(z Davidem Ellisem)

Kobiocy Klub Zbrodni

TRZY OBLICZA ZEMSTY
CZWARTY LIPCA
PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY
SZÓSTY CEL
SIÓDME NIEBO
ÓSMA SPOWIEDŹ
DZIEWIĄTY WYROK

Alex Cross

W SIECI PAJĄKA
KOLEKCJONER
JACK I JILL
FIOŁKI SĄ NIEBIESKIE
CZTERY ŚLEPE MYSZKI
WIELKI ZŁY WILK
NA SZLAKU TERRORU
MARY, MARY
ALEX CROSS
PODWÓJNA GRA
TROPICIEL
PROCES ALEXA CROSSA
GRA W KOTKA I MYSZKĘ
JA, ALEX CROSS
W KRZYŻOWYM OGNIU
ZABIĆ ALEXA CROSSA
ALEX CROSS MUSI ZGINĄĆ

Michael Bennett

NEGOCJATOR
TERROR NA MANHATTANIE
NAJGORSZA SPRAWA

Private Investigations

DETEKTYWI Z PRIVATE
DETEKTYWI Z PRIVATE: IGRZYSKA

Tytuł oryginału:
INVISIBLE

Copyright © James Patterson 2014 This edition published by
arrangement with Little, Brown and Company, New York, New
York, USA. All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2019

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Aartii Kalyani/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

978-83-8125-698-8

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |

[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny,
hachi.media

Spis treści

[O książce](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Rozdział 38](#)
[Rozdział 39](#)
[Rozdział 40](#)
[Rozdział 41](#)
[Rozdział 42](#)
[Rozdział 43](#)
[Rozdział 44](#)
[Rozdział 45](#)
[Rozdział 46](#)
[Rozdział 47](#)
[Rozdział 48](#)
[Rozdział 49](#)
[Rozdział 50](#)
[Rozdział 51](#)
[Rozdział 52](#)
[Rozdział 53](#)
[Rozdział 54](#)
[Rozdział 55](#)
[Rozdział 56](#)
[Rozdział 57](#)
[Rozdział 58](#)
[Rozdział 59](#)
[Rozdział 60](#)
[Rozdział 61](#)
[Rozdział 62](#)
[Rozdział 63](#)
[Rozdział 64](#)
[Rozdział 65](#)
[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)
[Rozdział 68](#)
[Rozdział 69](#)
[Rozdział 70](#)
[Rozdział 71](#)
[Rozdział 72](#)
[Rozdział 73](#)
[Rozdział 74](#)
[Rozdział 75](#)
[Rozdział 76](#)
[Rozdział 77](#)
[Rozdział 78](#)
[Rozdział 79](#)
[Rozdział 80](#)
[Rozdział 81](#)
[Rozdział 82](#)
[Rozdział 83](#)
[Rozdział 84](#)
[Rozdział 85](#)
[Rozdział 86](#)
[Rozdział 87](#)
[Rozdział 88](#)
[Rozdział 89](#)
[Rozdział 90](#)
[Rozdział 91](#)
[Rozdział 92](#)
[Rozdział 93](#)
[Rozdział 94](#)
[Rozdział 95](#)
[Rozdział 96](#)
[Rozdział 97](#)
[Rozdział 98](#)
[Rozdział 99](#)
[Rozdział 100](#)
[Rozdział 101](#)
[Rozdział 102](#)
[Rozdział 103](#)
[Rozdział 104](#)
[Rozdział 105](#)

[Rozdział 106](#)

[Rozdział 107](#)

[Rozdział 108](#)

[Rozdział 109](#)

[Rozdział 110](#)

[Rozdział 111](#)

[Rozdział 112](#)

[Rozdział 113](#)

[Rozdział 114](#)

[Rozdział 115](#)

[Rozdział 116](#)

[Podziękowania](#)

*Dla rodziny Kasperów: Mike'a, Laury i małego aniołka, Sophie
Mei-Xiang*

Rozdział 1

Tym razem wiem. Jestem tego tak pewna, że przerażenie ściska mi gardło, chwytą za serce i kręci nim, jakby miało je wyrwać z korzeniami. Tym razem nie zdążę.

Tym razem jest za gorąco. Zbyt jasno, za dużo dymu.

Alarm wyje. To już nie wczesne dzwonki ostrzegawcze, ale przeszywający uszy pisk: „Zabieraj się stąd natychmiast, bo jak nie, to koniec”. Nie wiem, ile to trwa, ale teraz jest już dla mnie za późno. Palący żar naciera z czterech kątów sypialni. Ohydny czarny dym osmala mi włoski w nozdrzach, zatruwa płuca. Pomarańczowe języki falują po suficie nade mną, tańczą wokół łóżka w drwiącym staccato. Strzelają i trzaskają, jakby to był nie ogień, ale zgrany zespół płomieni. Chcą, żebym miała pełną świadomość, kiedy wzbijają się wyżej i opadają, wystawiają swoje jęzory i rechocząc, powoli się zbliżają. „Tym razem już za późno, Emmy...”

Okno. Nadal jest szansa wyskoczyć z łóżka w lewo i rzucić się do okna. Tylko tam jeszcze się nie pali. Wróg mnie osacza, prowokuje: „No, dalej, Emmy, biegnij do okna, Emmy...”

To moja ostatnia szansa. Nawet nie chcę myśleć o tym, co mnie czeka, jeśli się nie uda, ale wiem, że muszę przygotować się na ból. Skręcająca wnętrzności męka potrwa ledwie kilka minut. Zacisnę zęby. Potem żar przepali końcówki nerwów i już nie będę nic czuła. A może nawet będę miała szczęście zemdleć od zatrucia tlenkiem węgla.

Nie ma nic do stracenia. Czas ucieka.

Płomienie od razu chwytają flanelową kołdrę, kiedy ją rzucam i podrywając się na nogi, kilkoma susami, raz-dwa-trzy-cztery, dopadam do okna. Z mojego gardła wymyka się dziewczęcy pisk strachu, jak wtedy, gdy bawiłam się z tatą w berka na podwórku za domem, a on już, już miał mnie złapać. Pochyliłam się i nacieram ramieniem na szybę, specjalnie hartowaną, żeby nie można jej stłuc. Do wycia syreny pożarowej

i trzasków ognia dołącza alarm przeciwwłamaniowy, głodny ryk, a ja odbijam się od okna i upadam do tyłu, w rozszały żar. Mówię sobie: „Oddychaj, Emmy, wciągaj trujący dym, nie daj się żywcom spalić płomieniom, ODDYCHAJ...”.

Oddychaj. Weź wdech.

– Cholera – bąkam w pustkę swojego ciemnego, wolnego od ognia pokoju.

Od spływającego z czoła potu pieką mnie oczy. Ocieram je koszulką. Odczekuję, wiem, że lepiej nie wstawać, póki puls nie wróci do ludzkiego tempa i nie wyrówna się oddech. Spoglądam na budzik elektroniczny. Kanciaste czerwone cyfry wskazują, że jest wpół do trzeciej.

Sny nie odpuszczają. Myślisz, że uporąłeś się z czymś, przepracowujesz to cierpliwie i mówisz sobie, że dasz radę, zmuszasz się, by to pokonać, gratulujesz sobie poprawy. A wieczorem zamykasz oczy, odpływasz w inne światy i nagle twoje wewnętrzne ja trąca cię w łokieć i szepcze: „Wiesz co? Wcale nie jest ci lepiej!”.

Jeszcze raz wypuszczam powietrze z płuc i sięgam do nocnej lampki. Kiedy ją włączam, ogień jest wszędzie. Teraz to moja tapeta – na ścianach sypialni są różne zdjęcia, informacje i raporty z pożarów, które spowodowały czyjąś śmierć na terenie Stanów Zjednoczonych. Hawthorne na Florydzie. Skokie w Illinois. Cedar Rapids w Iowa. Plano w Teksasie. Piedmont w Kalifornii.

I oczywiście, Peoria w Arizonie.

W sumie pięćdziesiąt trzy przypadki.

Idę wzdłuż ściany i przebiegam wzrokiem po dokumentacji każdej z tych spraw. Potem ruszam do komputera i zaczynam otwierać maile.

Wiem o pięćdziesięciu trzech zdarzeniach. Z pewnością jest ich więcej.

Ten ktoś nie ma zamiaru przestać.

Rozdział 2

Przyszedłam do tego palanta Dicka. Formułuję to inaczej, ale to mam na myśli.

– Emmy Dockery do pana Dickinsona.

Kobieta usadzona za biurkiem przed gabinetem Dickinsona to osoba, której nie znam. Na plakietce ma napisane LYDIA. I wygląda jak Lydia – krótkie brązowe włosy, okulary w rogowej oprawie, klasyczna jedwabna bluzka. W wolnym czasie pewnie pisuje sonety. I pewnie ma ze trzy koty i lubi hinduskie żarcie, tyle że nazywa to „kuchnię indyjską”.

Nie powinnam być tak kaśliwa, ale drażni mnie, że jest tu ktoś nowy, że coś się zmieniło, od kiedy stąd odeszłam, i że czuję się jak obca w tym biurze, w którym sumiennie pracowałam prawie dziewięć lat.

– Czy była pani umówiona z dyrektorem, pani... Dockery?

LYDIA podnosi na mnie wzrok z uśmiechem satysfakcji. Wie, że nie byłam umówiona. Wie, bo dzwonił tu z recepcji w holu, by sprawdzić, czy mogę wejść. I właśnie mi przypomina, że wpuszczono mnie aż tutaj tylko przez grzeczność.

– Dyrektorem? – pytam z udawanym zdziwieniem. – Ma pani na myśli zastępcę dyrektora wydziału do walki z cyberprzestępczością i szybkiego reagowania?

No dobrze, może i jestem podła. Ale sama zaczęła.

Znoszę cierpliwie jej fochy, bo nie stałabym tu, gdyby Dick nie zgodził się ze mną zobaczyć.

Teraz każe mi czekać, co jest bardzo w jego stylu, ale dwadzieścia minut później znajduję się już w jego gabinecie. Ściany wykładane ciemnym drewnem, obwieszane trofeami – zdjęcia, dyplomy, świadectwa podbudowujące ego. Palant ma bardzo wygórowane mniemanie o sobie. Uważa się za Bóg wie co.

Julius Dickinson – wiecznie opalony właściciel zaczeski, kilku kilogramów nadwagi i wazeliniarskiego uśmiechu – wskazuje

mi krzesło.

– Emmy – mówi tonem pełnym fałszywego współczucia i popatruje na mnie radośnie.

Od razu stara się mnie sprowokować.

– Nie odpowiedziałeś na żaden z moich maili – stwierdzam, siadając.

– To prawda – kwituje, nie zadając sobie trudu, by się jakoś usprawiedliwić.

Nie musi. Jest szefem. Ja tylko pracownikiem. Do licha, w tym momencie nawet i tym nie, bo wysłali mnie na bezpłatny urlop, moja kariera wisi na włosku, a ten człowiek siedzący naprzeciwko może mnie zniszczyć wedle własnego widzimisię.

– Czy przynajmniej je przeczytałeś? – pytam.

Dickinson wyciąga z szuflady jedwabną szmatkę i pucuje sobie okulary.

– Zorientowałem się w nich na tyle, by wiedzieć, o co ci chodzi – oznajmia. – O serię pożarów. Według ciebie są dziełem geniusza, który potrafił zaaranżować wszystko tak, że wydają się nie mieć ze sobą nic wspólnego.

W zasadzie tak.

– Za to bardzo dokładnie przeczytałem – dodaje z przekąsem – opublikowany ostatnio artykuł w „Peoria Times”, lokalnej gazecie miasteczka w Arizonie. – Unosi wydruk i czyta: – „Osiem miesięcy po śmierci swojej siostry w pożarze domu Emmy Dockery nadal toczy bój, by przekonać wydział policji Peorii, że Marta Dockery nie zginęła przypadkowo, ale że było to morderstwo”. O, i dalej: „Doktor Martin Lazerby, przedstawiciel biura badań kryminalistycznych hrabstwa Maricopa, twierdzi stanowczo, że wszelkie dowody wskazują na śmierć w pożarze, który nie był wynikiem podpalenia”. A to mój ulubiony fragment, z wypowiedzi ich szefa policji: „Ta pani pracuje w FBI. Jeśli jest tak pewna, że to było morderstwo, dlaczego nie zajmie się tym jej macierzyste biuro śledcze?”.

Nie reaguję. Kiepski artykuł. Wzięli stronę policji. Nie przedstawili jak należy moich argumentów.

– Zaczynam się nad tobą poważnie zastanawiać, Emmy. – Składa dłonie, jakby zbierał myśli, zanim udzieli dziecku reprymendy. – Chodziłaś na terapię? Naprawdę potrzebujesz

pomocy. Oczywiście bardzo chcielibyśmy, żebyś do nas wróciła, ale dopiero jak zobaczymy postępy w leczeniu.

Ledwie jest w stanie powstrzymać uśmiech, kiedy to mówi. Mamy ze sobą na pieńku. To on postawił mi zarzut nieodpowiedniego zachowania, co spowodowało zawieszenie mnie w obowiązkach. O, przepraszam, oficjalnie, w biurokratycznym żargonie, nazywa się to „wysłaniem na bezpłatny urlop”. Nadal zostało mi siedem tygodni, zanim wrócę do pracy, ale nawet potem czeka mnie jeszcze sześćdziesięciodniowy okres próbny. Gdyby nie to, że ostatnio straciłam kogoś z najbliższej rodziny, pewnie by mnie wylali.

On wie dokładnie, dlaczego naprawdę zostałam oskarżona. Oboje wiemy. Więc drażni się ze mną. Nie wolno mi dać się wyprowadzić z równowagi. Tego by chciał. Chce, żebym wybuchła. Wtedy mógłby powiedzieć szefostwu, że nie jestem gotowa do powrotu.

– Ktoś krąży po kraju i zabija ludzi – mówię. – To właśnie powinno cię niepokoić, bez względu na to, czy chodzę na terapię, czy nie.

Mruży oczy i patrzy na mnie. Nie musi nic robić. To ja się czegoś domagam. I w ten sposób zamierza się nade mną znęcać: siedząc z zaciśniętymi ustami, oporny na wszelkie argumenty.

– Skoncentruj się na leczeniu, Emmy. Pilnowanie prawa zostaw nam.

Stale powtarza moje imię. Wolałabym już, żeby mnie opluł czy zwymyślał. I on to wie. Stosuje pasywno-agresywną wersję tortury podtapiania. Nie byłam pewna, czy przyjmie mnie dzisiaj, gdy zjawię się tak bez zapowiedzi. Teraz uświadamiam sobie, że pewnie nie mógł się już doczekać, kiedy mnie tu zobaczy, zgasi, zaśmieje mi się prosto w twarz.

Jak powiedziałam, mamy ze sobą na pieńku. Krótko ujmując: to świnia.

– Nie chodzi o mnie – mówię z naciskiem. – Chodzi o tego gościa, który...

– Zezłościłaś się, co, Emmy? Jesteś pewna, że panujesz nad swoimi uczuciami? – Patrzy na mnie kpiąco, niby to z zatroskaną miną. – Bo widzę, że się czerwienisz. Zaciskasz pięści. Martwię się, że nadal dajesz się ponosić emocjom.

Zatrudniamy psychologów, Emmy. Jeśli tylko potrzebowałabyś z kimś porozmawiać...

To brzmi jak wieczorne reklamy społeczne dla uzależnionych: „Nasi konsultanci czekają. Zadzwoń!”.

Dociera do mnie, że nie ma sensu tego ciągnąć. Głupio z mojej strony, że tutaj przyszłam. Jak mogłam liczyć na to, że on mnie wysłucha. Miałam z góry przechłapane, jeszcze zanim się tu pojawiłam. Wstaję i ruszam do drzwi.

– Udanej terapii! – woła za mną. – Będziemy trzymać za ciebie kciuki.

Przystaję i odwracam się do niego.

– Ten człowiek morduje ludzi w różnych stanach – mówię, z ręką na klamce. – A sytuacja nie wygląda tak, że my go tropimy i nie potrafimy złapać. My nawet nie dopuszczamy myśli, że jest kogo ścigać. Tak jakby w ogóle dla nas nie istniał.

Dick nie odpowiada. Unosi tylko dłoń i leciutko macha mi na pożegnanie. Wychodzę, trzaskając drzwiami.

Rozdział 3

Trzymam nerwy na wodzy do chwili, aż znajdę się na zewnątrz. Nie dam Dickinsonowi tej satysfakcji, nie zobaczy, jaka jestem wściekła. Nie podsunę mu argumentu, który mógłby wykorzystać przeciwko mnie, skoro za siedem tygodni spróbuję wrócić do pracy. (Ale tak naprawdę niewykluczone, że on już i tak dostał, czego chciał. Może podeprzeć się moimi mailami, opisać wedle woli naszą ostatnią rozmowę, wskazując, że mam „paranoję” i popełniłam najcięższy grzech analityka researchera, przejmując rolę agenta i zapominając o swoim miejscu w szeregu).

Kiedy drogą I-95 jadę z powrotem, kilka razy z całych sił walę w kierownicę. Wcale mi nie lepiej, a tylko ryzykuję, że połamię sobie palce.

– Dupek! – wrzeszczę. To trochę pomaga i od tego najwyżej zedrę sobie gardło. – Dupek! Dupek!

Dickinson trzyma mnie w garści po tej sprawie dyscyplinarnej. Czeka mnie okres próbny. Jeden fałszywy krok – albo coś, co Dickinson sam uzna za wykroczenie – i jestem skończona. Rany! Że też musiałam patrzeć na ten jego wredny uśmiezek, kiedy wmawiał mi, że potrzebuję terapii. Oboje wiemy, że mój jedyny problem dyscyplinarny polegał na tym, że za każdym razem, kiedy on kładł mi rękę na kolanie, ja ją spychałam. Nie przyjmowałam też zaproszeń na późne kolacje, a nawet obśmiałam pomysł wspólnego wypadu na weekend „tylko we dwoje”. I myślę, że właśnie ten śmiech przelał czarę goryczy. Następnego ranka Dickinson napłótł szefostwu, że to ja mu się narzucam i jestem coraz bardziej natarczywa. A do tego: „nieobliczalna” i „nieprzewidywalna”. Łatwo tak powiedzieć, trudniej temu zaprzeczyć. I już, proszę, okazuje się, że człowiek stwarza problemy dyscyplinarne.

Cholerny dupek.

Ale uspokój się, weź się w garść, Emmy. Pomyśl, jak z tego wybrnąć. Muszę coś zrobić. Nie mogę się poddać. Wiem, że te sprawy są ze sobą powiązane. Tyle że utknęłam w ślepym zaułku. Nie wolno mi ominąć kolejnych stopni, a Dick mnie blokuje. Nie ze względów merytorycznych, ale po prostu mści się. I nie mam ruchu. Co mi pozostaje? Czy jest inny sposób...

Chwileczkę.

Odpuszczam pedał gazu bez wyraźnej przyczyny – chyba że chciałam wkurzyć na maksa kierowcę SUV-a jadącego trochę za blisko mojego zderzaka – i zastanawiam się. Nie, nie. To ostatnia rzecz, którą powinnam zrobić.

Z drugiej strony tak, to może być jedyna opcja. Dlatego muszę spróbować.

Bo jeśli mam rację co do tego gościa, on staje się coraz lepszy w zabijaniu. A nikt nie wie nawet, że on istnieje.

Rozdział 4

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 1
21 sierpnia 2012

Witajcie w moim świecie. Możecie nazywać mnie Graham. Będę waszym przewodnikiem. Zapraszam.

Nie znacie mnie. Moja anonimowość jest konieczna dla mojego sukcesu. Kiedy tak siedzę tu i mówię do was, nie jestem nikim sławnym. Ale będę, gdy te nagrania zostaną ujawnione, bez względu na to, kiedy zdecyduję się je udostępnić. Wtedy znajdę się na pierwszych stronach wszystkich gazet i magazynów na świecie. Będą pisać o mnie książki. Analizować mój przypadek w bazie Quantico. Powstaną strony internetowe na mój temat. Filmy.

Moja tożsamość pozostanie dla was zagadką – może nazywam się Graham, a może nie – więc cała wasza wiedza o mnie będzie oparta na tych nagraniach, na moim ustnym dzienniku. Dowiedzie się tyle, ile pozwolę. Mogę wyjawić wam wszystko albo pewne rzeczy zataić. Mogę mówić prawdę albo kłamać.

Na początek coś o mnie. Byłem dostatecznie wysportowany, żeby grać w drużynie szkolnej, w liceum, ale niewystarczająco, by zejść wyżej. Miałem dobre wyniki, ale nie tak dobre, by zakwalifikować się do Ligi Bluszczowej. Pozostawały mi więc uczelnie państwowe. Nie znoszę cebuli w żadnej postaci, gotowanej czy surowej, to ohydne warzywo, bez względu na sposób podania. Znam trzy języki. Choć mój francuski ostatnio zrobił się żenująco marny. Ale potrafię powiedzieć „bez cebuli, poproszę” – albo jakiś odpowiednik tej frazy – w co najmniej jedenastu językach, do których doszły ostatnio grecki i albański. Wolę już ten wasz pop niż muzykę klasyczną lub starsze piosenki czy heavy metal, ale nie zdradzam się z tym przed przyjaciółmi. Kiedyś przebiegłem półmaraton w godzinę trzydzieści siedem

minut. Już nie ćwiczę regularnie. I nigdy, przenigdy nie piję jasnego piwa.

Dwie z tych rzeczy, które właśnie wam powiedziałem, nie są prawdą.

Ale to jest: zabiłem mnóstwo ludzi. Nie uwierzylibyście, jak dużo.

A wy? Nawet nie wiem, kim jesteście. Czy osoba, do której kieruję te słowa, to istota wrażliwa, a może duch jednej z moich ofiar? Czy to malutki demon, który przysiadł mi na ramieniu, podszeptując do ucha mroczne myśli? A może profiler z FBI? Obrotny reporter? Lub zwyczajny obywatel, który pewnego dnia trafił na te nagrania w internecie i pochyła się z lubieżną fascynacją nad komputerem, żądny szczegółów, spragniony każdej szczypty informacji i wglądu w... umysł... szaleńca!

Bo oczywiście to właśnie będziecie próbowali zrobić. Zrozumieć mnie, zdiagnozować. To by was uspokoiło i dało wam poczucie bezpieczeństwa – gdybyście mogli przypisać mnie do jakiejś miłej, porządnej kategorii. Gdybyście mogli uznać, że moje zachowanie wynika z niedostatku miłości ze strony matki lub z jakiegoś traumatycznego przeżycia, które przewróciło mi świat do góry nogami, albo z choroby psychicznej dającej się zaklasyfikować według oficjalnie przyjętych kryteriów DSM-IV.

Ale nic z tego. Odkryjecie, że mógłbym zagadywać do was w najbliższym barze, przystrzygać żywopłoty w sąsiedztwie albo siedzieć obok was w samolocie z Nowego Jorku do Los Angeles, a wy nie zwrócilibyście na mnie większej uwagi. No oczywiście później moglibyście twierdzić, że było we mnie coś dziwnego. Ale w czasie rzeczywistym, kiedy stoję przed wami, dzielę z wami podłokietnik fotela lub siedzę naprzeciwko, nie wywieram specjalnego wrażenia. Nie jestem kimś, o kim pamiętalibyście chwilę później. Jednym słowem, wydaję się całkiem normalny, zwyczajny. A wiecie dlaczego?

Nie, nie wiecie. Ale ja wiem. Dlatego że jestem tak dobry w tym, co robię. I dlatego też nikt mnie nigdy nie złapie.

(koniec)

Rozdział 5

Dwa lata po otwarciu księgarnia w centrum Alexandrii nadal wygląda jak nowa. Czerwona cegła ze stolarką pomalowaną na bładoniebiesko. Szyba z nadrukowaną nazwą: BOOK MAN. Na wystawie – nowości wydawnicze, powieści i literatura faktu, choć jak to bywa dzisiaj, przeważają książki dla dzieci i albumy.

Przed wejściem biorę głęboki wdech, zastanawiając się raz jeszcze, czy to mądra decyzja. Ale przez ostatnie dwie noce prawie nie spałam i naprawdę nie mam lepszego pomysłu.

Popycham drzwi i wchodzę przy wtórze dyń-dyń wesołego dzwoneczka. Od razu go widzę, jeszcze zanim on mnie spostrzeża. Ma na sobie kraciatą koszulę z krótkimi rękawami, wypuszczoną na wierzch, do tego niebieskie dzinsy i mokusy. Aż mnie trochę zatyka na ten widok. Zawsze ubierał się w garnitur i krawat. W powietrzu unosi się zapach nowych książek i kawy. Kojąca, spokojna atmosfera.

Stoi za kontuarem, podlicza zakupy jakiejś pani, kiedy jego wzrok pada na mnie. Dla pewności jeszcze raz spogląda, po czym przypomina sobie, że trzeba się uśmiechnąć do klientki, i wrzuca jej do plastikowej torby zakładkę. Kiedy kobieta kieruje się do wyjścia, on podchodzi do mnie. Ociera dłonie o dzinsy i przystaje tuż obok.

– Cześć, Books.

Uznaję, że równie dobrze to ja mogę zacząć.

– Emmy.

Już sam ton jego głosu, niski i władczy, ale jednocześnie łagodny, przywołuje falę wspomnień, które odgrodziłam od siebie mentalną tamą. Może brzmi w tym nawet jakaś nutka czułości, bo przecież kiedy się ostatni raz widzieliśmy, osiem miesięcy temu, chowałam swoją siostrę. Pojawił się z rana w dniu pogrzebu, by złożyć mi kondolencje. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział – może zadzwoniła do niego moja matka, nie pytałam – ale przyszedł. Nie narzucał się, stał w grupie

innych, dając do zrozumienia, że jest, gdybym go tylko potrzebowała. Zawsze potrafił mnie zaskoczyć.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać – mówię.

– Nie zgodziłem się. Po prostu przyszłaś.

– To dziękuję, że mnie nie wykopałeś.

– Jeszcze nie miałem szansy tego zrobić. Ale nadal mogę.

Uśmiecham się. Po raz pierwszy od wielu tygodni. Books wygląda świetnie. Jest w formie. Odprężony. Szczęśliwy. Świr. Czy nie powinien cierpieć po naszym zerwaniu?

– Wciąż jesteś kawowym snobem? – pytam.

Teraz on się uśmiecha. Odrobinę. Wbrew sobie. Tyle tu wspomnień. Nawet gdy był na państwowej pensji, zawsze chciał mieć najlepszy gatunek i zamawiał przez internet włoską kawę w ziarnach.

– Oczywiście – potwierdza. – A ty nadal jesteś zwariowaną męczyduszą z sercem na dłoni?

Słuszne określenie. Nikt nie zna mnie tak dobrze jak Books. A jednak takie pogaduszki między nami są nienaturalne, wymuszone. Właściwie mogę od razu przejść do rzeczy.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię.

Rozdział 6

– Nie. – Books zdecydowanie kręci głową. – Nie ma mowy, Em.

– Musisz mnie wysłuchać, Books, proszę.

– Nie, dziękuję.

– Jeszcze nigdy nie miałeś do czynienia z czymś takim.

– Powiedziałem już chyba wyraźnie albo tak mi się zdaje: nie, dzięku...

– Gdybym miała głosować, kto jest najgorszym popaprańcem w historii świata, to mój wybór padłby na tego faceta. Nie przesadzam, nie staram się zrobić na tobie wrażenia.

– Nie jestem zainteresowany. Nic a nic mnie to nie obchodzi – podkreśla, jakby chciał przekonać samego siebie.

Stoimy w magazynie obok sklepu, pośród książek piętrzących się na stołach i ustawionych seriami na półkach. Znalazłam odrobinę miejsca na jednym z blatów i ułożyłam tam stertę pięćdziesięciu trzech teczek z dokumentami.

– Tu jest wszystko – mówię. – Chociaż to przeczytaj.

Odgarnia dłonią swoje jasne włosy. Są dłuższe niż dawniej. Opadają mu na czoło i falują przy szyi. Teraz jest zwyczajnym cywilem. Krąży po magazynie, starając się zebrać myśli.

– Ja nie pracuję już w FBI.

– Dla tej sprawy mógłbyś wrócić. Nie chcieli, żebyś odchodził.

– To i tak bardziej zadanie dla ATF...

– Moglibyśmy połączyć siły...

– To nie mój problem, Em! – Robi zamach i jednym ruchem rzuca ze stołu piramidę książek. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie to dla mnie trudne? Zjawiasz się tu jakby nigdy nic i prosisz o pomoc. To nie fair. – Celuje we mnie palcem. – To bardzo nie w porządku.

Ma rację. To nie jest w porządku. Ale przecież nie o to tu chodzi.

Books przystaje na dwie minuty i podparty pod boki, kręci głową. A potem patrzy na mnie.

– Dickinson cię spławił?

– Tak. Ale nie ze względów merytorycznych. Nawet nie przejrzał tych materiałów. Znasz tego palanta.

Books zastanawia się chwilę.

– A mówiłaś mu, czemu ci tak na tym zależy? – pyta.

– To oczywiste. Facet zabija...

– Em, przecież dobrze rozumiesz, co mam na myśli. – Teraz podchodzi do mnie. – Czy Dickinson wie, że osiem miesięcy temu w Peorii twoja siostra zginęła w pożarze, którego przyczyny nie są do końca jasne?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Dobrze sobie! – Kpiący śmiech, uniesienie dłoni. – To nie ma nic do rzeczy!

– Bo nie ma. Czy moja siostra jest jedną z ofiar, czy nie, to nie zmienia faktu, że seryjny...

Books nie chce tego słuchać. Macha rękami, żebym przestała.

– Emmy, strasznie mi przykro z powodu Marty. Wiesz, że szczerze to mówię. Ale...

– Jeśli ci przykro, to mi pomóż.

Już kiedy wypowiadałam te słowa, czuję, że przekroczyłam granicę. Books poukładał sobie życie od nowa. Agent specjalny to przeszłość. Teraz zajmuje się sprzedażą książek. Koniec, kropka.

Unoszę ręce.

– Dobrze, powiedz to głośno – mówię. – Nie powinnam była tu przychodzić, Books... Przepraszam.

Wychodzę tak, jak weszłam. Mój dawny narzeczony milczy.

Rozdział 7

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 2
22 sierpnia 2012

Uwielbiam zapach świeżych kwiatów wieczorem. To taki wyjątkowy zapach lata, prawda? Sprawia, że cała sypialnia wydaje się taka... jak by to powiedzieć... nowa. Nowa i świeża. Świeża farba na ścianach, różowa z cytrynowymi akcentami. To łóżko też jest nowe. Duże, ze staromodnym baldachimem. Czy nie takie miałaś jako mała dziewczynka, Joelle? To chyba prezent od mamy i taty do nowego domu w mieście, na dobry początek, prawda?

A zresztą nieważne. Obawiam się, że Joelle nie może teraz nic powiedzieć.

Reszta rzeczy jest dość osobliwa. Zbieranina staroci, zapewne odkurzonych i wydobytych z piwnicy rodziców. Wygodny fotel do czytania. A już najlepszy jest stolik nocny, prowizorka jak z sypialni w internacie szkolnym – ustawione jedna na drugiej dwie skrzynki po butelkach z mlekiem. Na tym budzik i ten wazon ze świeżymi liliami.

Dziewuszka o skromnych funduszach, z pewnym smakiem, ale na razie bez pieniędzy, żeby to zaprezentować. Pierwsze lokum dla dziewczyny zaczynającej życie zawodowe.

Szkoda, że nie mogę zrobić zdjęcia tego pokoju, żeby wam go pokazać, bo jest on kwintesencją Ameryki – nadziei, skromnych początków i wielkich marzeń. Joelle Swanson miała dalekosiężne plany. Chciała skończyć prawo, walczyć z przestępczością. Początkowo pewnie jako policjantka. Ale wierzyła, że pewnego dnia dołączy do FBI, a może nawet do tajnego świata CIA. Imponujące. Co za perspektywy!

W każdym razie naprawdę chciałbym zrobić to zdjęcie dla was, ale nie wiem, co by z tego potem wyszło, jak by się wpasowało w moją narrację. Za bardzo bym się bał, że będziecie patrzeć na

obrazki i zignorujecie moje słowa. Psychiatra na pewno by powiedział, że poprzestaję na przekazie słownym, bo chcę mieć pod kontrolą każdy aspekt wszystkiego: chcę, żebyście wiedzieli tylko to, co pozwalam wam wiedzieć, widzieli to, co pozwalam wam zobaczyć.

To prawda, że ten sposób komunikacji ma swoje ograniczenia. Nie możecie czuć tego co ja, tego mocnego zapachu, wydzielanego przez pot błyszczący na ich skórze. Nie możecie zobaczyć ich rozpaczliwego przerażenia, rozszerzonych źrenic, drżących ust, tego, że bledną jak papier, kiedy zaczynają rozumieć, że oto spełnia się ich najgorszy sen. Nie możecie słyszeć żałosnego płaczu, szlochu i błagań dobywających się z głębi ściśniętego paniką gardła. Po prostu nie możecie czuć tego, co ja czuję.

Ale postaram się wam pomóc. Zrobię, co w mojej mocy, żeby was czegoś nauczyć.

(Uwaga spisującego: w tle słycać kaszel kobiety).

O, patrzcie tylko, kto się obudził. To chyba znaczy, że muszę się z wami pożegnać.

Hm. Zastanawiam się, że to może za dużo, za szybko dla was. Może powinniście lepiej mnie poznać, zanim pozwolę wam dowiedzieć się z tak bliska, co robię. Może najpierw powinienem potańczyć z wami, tuląc policzek do policzka, albo podjąć was kolacją z winem, sypnąć garścią anegdot, pokazać, co jest dla mnie śmieszne, a co straszne, co lubię, a czego nie.

Może powinienem wyjaśnić wam, dlaczego robię to, co robię.

Dlaczego wybieram tych, których wybieram.

Dlaczego jestem w tym tak cholernie dobry.

Mam wam tyle do przekazania. Ale nie spieszmy się. Dojdziemy do wszystkiego po kolei. A kiedy skończę, wtedy mnie zrozumiecie. Znajdziemy wspólny język.

O rany, może nawet mnie polubicie.

A niektórzy wręcz zechcą być mną.

(koniec)

Rozdział 8

Budzę się, gwałtownie łapiąc oddech. Taniec płomieni na suficie rozplywa się w ciemności i ciszy pokoju. Brzegiem kołdry ocieram pot z oczu i otrząsam się z resztek tego powracającego koszmaru, tym razem w wersji nieco innej – to nie ja leżałam w łóżku. Ale ktoś ładniejszy, mądrzejszy, dzielniejszy ode mnie. Tym razem osobą leżącą w łóżku była Marta.

Moja siostra od czasu do czasu pojawia się w moich snach, a właściwie stale w tym samym śnie, kiedy to mam zaraz spalić się żywcem. Tyle że ona nie rzuca się do okna, tak jak ja, ale nabiera powietrza i pozwala płomieniom wędrować po kołdrze, aż pochłoną ją całą.

Jestem pewna, że nie zdołam już zasnąć. Nigdy mi się to nie udaje. Zaczęłam wcześniej kłaść się do łóżka. Wcześniej jak na mnie, zwykle o dziesiątej, bo wiem, że jakoś tak między drugą a czwartą nad ranem otoczą mnie płomienie i wyrwą ze snu.

Nastawiam kawę, otwieram laptop. Wiadomości docierają przez całą noc, więc mam czym się zająć.

Robię błąd, spoglądając w lustro, kiedy je mijam. Widok nie jest budujący. Na moich lokach pierwsze oznaki siwizny, a jestem zbyt harda, by farbować włosy, zbyt dumna, by korzystać z nowoczesnych sposobów na zatrzymanie młodości, zmieniać, co się da, ukrywać niedoskonałości. Na co dzień robię minimalny makijaż, biorę prysznic, szczotkuję włosy i uważam, że to wystarczy. Kremy przeciwzmarszczkowe, farby do włosów czy biustonosze push-up to nie dla mnie. Takie podejście powinno się komuś spodobać, prawda? Chociaż jak na razie nie widzę kolejki adoratorów.

„Jesteś swoim największym wrogiem – mawiała Marta. – Nie potrzebujesz nikogo, kto by cię dręczył, bo sama się nad sobą znęcasz”. Marta, pod wieloma względami, była moim kompletnym przeciwieństwem. Lubiała się bawić, ja chodziłam zadumana. Fantastycznie się ubierała, a ja nosiłam się jak

tramp. Wymachiwała pomponami jako cheerleaderka drużyny piłkarskiej, gdy ja angażowałam się w protesty członków PETA przy rzeźni pod miastem. W piątkowe wieczory balowała w gronie przyjaciół, a ja siedziałam z nosem w jakiejś ambitnej lekturze albo podręczniku do statystyki.

Była pięć centymetrów ode mnie niższa, miała ciemniejsze, bardziej jedwabiste włosy i nosiła biustonosz z miseczką o numer większą niż ja. Nikt nie rozumiał, jak dwie dziewczyny, których przyście na świat dzieliło zaledwie osiem minut, mogą się tak bardzo od siebie różnić.

– Cholernie za tobą tęsknię – mówię w kuchni, gdzie nikogo poza mną nie ma.

Nawet to zdanie jej zawdzięczam. Zawsze kończyła nim nasze rozmowy telefoniczne. Za każdym razem tak się ze mną żegnała, kiedy mieszkaliśmy daleko od siebie podczas studiów czy kiedy wyjechała do Arizony, by uczyć tam w szkole podstawowej, a ja z przyczyn, których nikt nie potrafił dociec, zahaczyłam się w Federalnym Biurze Śledczym.

Nadal pamiętam, jak zareagowała na wiadomość, że wstępuję do FBI. Miała zaskoczoną minę, zmieszała się, jakby nie była pewna, czy dobrze słyszy – bo to dziwne, żeby lewicująca aktywistka przyłączała się do establishmentu. Jednak powiedziała łagodnie: „Jeśli tam będziesz szczęśliwa, to się cieszę”. To była kolejna rzecz, o którą się ze mną ścierała. Szczęście. „Po prostu bądź szczęśliwa, Em. Jesteś szczęśliwa? Nie ma nic złego w tym, że człowiek chce być szczęśliwy”.

Kawa gotowa. Niosę kubek do drugiej sypialni i zaczynam przeglądać te same co zwykle strony internetowe oraz sprawdzam maile. Z początku nic, co widzę, nie przyprawia mnie o dreszcz. Jakiś dom jednorodzinny palił się w Palo Alto. Żadnych ofiar śmiertelnych. Pożar w subsydiowanym osiedlu w Detroit. Prawdopodobnie zginęło sporo osób. Zakłady chemiczne pod Detroit stanęły w płomieniach. Nie, nie i nie.

Ale to może być interesujące. Wypadek, który zdarzył się zaledwie parę godzin temu w miasteczku Lisle w stanie Illinois. Wolno stojący domek. Jedna ofiara.

Nazywała się Joelle Swanson

Rozdział 9

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 3
23 sierpnia 2012

Dzień po. Przypomina kaca. Zjazd po wieczorze folgowania sobie z naddatkiem. Leżę na łóżku i mówię do tego małego dyktafonu cyfrowego, patrząc na zdjęcie Joelle Swanson. Zrobiłem je, kiedy skończyliśmy, i wydrukowałem sobie w kolorze. Była bardzo dzielna, to muszę jej przyznać. Tyle krwi, bólu, a jednak do ostatka walczyła o życie. Czasami po prostu nie rozumiem ludzi.

Wiem, wiem, mówiłem, że nie robię zdjęć, ale każdej z ofiar pstrykam jedno na koniec spotkania. Przecież człowiekowi należy się chyba jakaś pamiątka, co?

W każdym razie – dzień dobry! Staram się zacząć każdy dzień od skrótu najważniejszych wiadomości, jaki dają o piątej rano. To najlepsze źródło informacji o wypadkach drogowych, morderstwach i przeróżnych tego typu zdarzeniach. Szczególnie w taki ranek jak ten, w tak zwany „dzień po”, przegląd wiadomości jest obowiązkowy. No właśnie, klikam, żeby sobie odtworzyć ten kawałek... i jest:

W pożarze na przedmieściu Lisle zginęła kobieta. To dwudziestotrzyletnia Joelle Swanson, która niedawno ukończyła studia na Benedictine University. Płomienie pojawiły się w sypialni jej domu parę godzin po północy. Policja twierdzi, że przyczyną była paląca się świeca, która musiała upaść obok łóżka. Nie podejrzewa się udziału osób trzecich.

Przechodzimy do wiadomości sportowych. Wkrótce początek sezonu rozgrywek ligowych, tymczasem toczy się zażarta

dyskusja...

Wystarczy. Zamykam to. Szkoda, że nie możecie zobaczyć materiału filmowego, na którym widać czarny jak smoła dym kłębiący się nad dachem domu Joelle. Uwielbiam to określenie „kłębiący się”. Właściwie pasuje tylko do jednego kontekstu. Czy coś poza dymem może się tak kłębić? Dali też ugrzecznione zdjęcie Joelle. Pewnie z książki absolwentów. Upozowana i podkolorowana. Wolę swoje zdjęcie. Ma więcej charakteru, więcej blizn, życia.

A tak przy okazji, zdaję sobie sprawę, że trzymanie fotek swoich ofiar jest ze strategicznego punktu widzenia niewybaczalnym błędem. Tak, wiem, że gdyby mnie złapali, będzie to pełny obraz moich dokonań. Lepszy niż podpisane zeznanie. Co mam powiedzieć? Potrzebuję tych zdjęć. Pod tym jednym względem decyduję się na ryzyko. Jeśli to was uspokoi, trzymam swój kolaż pomiędzy stroną 232 a 233 starej książki kucharskiej mojej mamy, tuż przy przepisie na lazanię z mieloną wołowiną. (Może to i drastyczne zestawienie, ale tak, to był zamierzony wybór).

Oho, myślicie sobie. Jego matka. Mówi o niej po raz pierwszy w trzeciej sesji, po trzech minutach i siedemnastu sekundach. Czy to coś znaczy? Czy 317 wskazuje na adres? A może ona urodziła się 17 marca? Albo molestowała go seksualnie trzy plus siedemnaście razy?

No dobrze, co mi tam, mogę wam powiedzieć. Jak byłem dzieckiem, matka kazała mi się przebierać za małą pastereczkę i to wspomnienie prześladowuje mnie do dziś. Kiedy zabiłem ją maczetą, przysięgłem sobie, że posiekam na kawałki wszystkie młode blondynki, które mi się nawiną, byle tylko odciąć się od tego koszmaru. Ale TO NA NIC! DALEJ MNIE TO GNĘBI!

Żartowałem. Wiem, chyba nie najlepiej mi poszło. Nie włożyłem w to serca. Może kiedyś opowiem wam o swojej matce. A może nie.

A teraz do roboty. Trzeba szykować kolejny wielki dzień. Mam w planach co najmniej jeszcze jedną przygodę przed Świętem Pracy.

(koniec)

Rozdział 10

Spędzam ten ranek tak samo jak wszystkie inne w ostatnich kilku miesiącach. Siedzę w swoim biurze (znanym też jako druga sypialnia w domu mojej mamy) i przeglądam zebrane wiadomości. Ponieważ jestem zawieszona w obowiązkach, nie mam dostępu do krajowej bazy danych o wypadkach na terenie kraju, NIBRS. Zresztą i tak byłaby dla mnie bezużyteczna. Rejestruje się tam jedynie pożary zaklasyfikowane jako podpalenia. Jeśli zostają uznane za przypadkowe – nawet gdy ich przyczyna wydaje się „podejrzana” – nie trafią nigdy do NIBRS. A ten gość organizuje to tak, żeby wszystko wyglądało na zwykły wypadek.

Co oznacza, że działa poza strefą radaru. Lokalne organa nie przekazują informacji o tych pożarach federalnym i nie konsultują się z nimi na ten temat.

Cóż mi pozostaje? Muszę uciekać się do kompletnie nienaukowej metody ustawiania wyszukiwań w Google’u i na YouTube, obserwowania stron internetowych i forów dyskusyjnych o zapobieganiu pożarom i podpaleniom oraz przeglądania lokalnych wiadomości z ostatniej chwili. Na terenie całego kraju codziennie zdarzają się pożary, w których giną ludzie. Jedne spowodowane umyślnie, inne przypadkowe. I bez względu na to, czy są zgłaszane do federalnych organów śledczych, czy nie, i tak trafiają do lokalnych wiadomości. A więc każdego dnia borykam się z zalewem informacji, z których dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie ma związku ze sprawą, ale muszę przejrzeć wszystko, by nie przeoczyć igły w stogu siana.

Jest już późne popołudnie. Przez wiele godzin ślęczałam nad laptopem, szukając tropów. Próbowałam dowiedzieć się czegoś na temat pożaru w Lisle w Illinois, ale gliniarz stamtąd jeszcze do mnie nie oddzwonił.

Odzywa się moja komórka. O wilku mowa. Zakładam, że to ten gliniarz, ale po dniu spędzonym w mojej pustelni chętnie pogadam nawet z kimś z telemarketingu, kto będzie chciał mi wcisnąć ubezpieczenie na życie.

Włączam smartfona na tryb głośnomówiący i wołam:

– Halo!

– Pani Dockery? Tu porucznik Adam Ressler z komendy policji w Lisle.

– Tak, słucham, panie poruczniku. Dziękuję, że pan oddzwania.

– Czy mogłaby mi pani wyjaśnić swój status? Pracuje pani dla FBI?

I w tym mój problem. Nie pracuję. Już gdybym podała się za analityka researchera, a nie agenta specjalnego, byłoby kiepsko. Niektórzy policjanci rozmawiają tylko z agentami. A ja teraz nie jestem nawet analitykiem. Jeśli sprawdzą sobie autoryzujący mnie kod, znajdą go, więc będą wiedzieli, że jestem tą, za którą się podaję, ale obok kodu nie ma wyjaśnienia co do pełnionej funkcji.

– Jestem chwilowo na urlopie – odpowiadam. – Pracuję nad zadaniem specjalnym.

Prawnik zawsze mógłby argumentować, że z „formalnego punktu widzenia” to stwierdzenie jest zgodne z prawdą. Choć akurat tak się składa, że FBI nie ma nic wspólnego z tym „zadaniem specjalnym”. Sama je sobie wyznaczyłam. W gruncie rzeczy jestem zawieszona i robię coś na własną rękę. Ale udało mi się tak to sformułować, żeby zabrzmiało trochę lepiej, a przy tym nie skłamałam.

Zwykle to działa, do pewnego stopnia. Zostaję zaklasyfikowana gdzieś pomiędzy zwykłym obywatelem czy wścibskim dziennikarzem a przedstawicielem organów śledczych. Otrzymuję więc odpowiedzi na dość nieszkodliwe pytania, co do moich celów można uznać za wystarczające, choć nie daje mi pełnego obrazu sytuacji.

– No dobrze, przejdźmy może do rzeczy, o co pani chodzi? – mówi, dając do zrozumienia, że na niektóre pytania odpowie, a na inne nie. – Dzwoniła pani w sprawie Joelle Swanson?

– Zgadza się, panie poruczniku. Pożar sprzed trzech dni.

Na razie wiem tylko tyle: Joelle Swanson, lat dwadzieścia trzy. Mieszkała w nowym domu przy Carthage Court 2141 w Lisle, w stanie Illinois, około czterdziestu kilometrów od Chicago. Sama. Niedawno zrobiła dyplom na Benedictine University i pracowała tam przy rekrutacji studentów. Panna. Bezdzienna. Nie miała nawet chłopaka. Zginęła w pożarze. Nad ranem dwudziestego drugiego sierpnia. Według szefa miejscowej straży pożarnej, brak jakichkolwiek śladów podpalenia.

– Jaka była przyczyna pożaru? – pytam porucznika.

– Pałaca się świeca – odpowiada. – Wygląda na to, że stała na biurku i upadła na dywan. Od niego oraz leżących dookoła gazet i materaca z pianki poliuretanowej cały pokój zajął się bardzo szybko. Ofiara spaliła się na węgiel we własnym łóżku.

Milczę w nadziei, że będzie mówił dalej.

– Komendant stwierdził, że nie ma śladów użycia przyspieszaczy. Powiedział, że wszystko wskazuje... no... że to jeszcze jeden przykład „lekkomyślności ludzkiej”. Bo jak można zasypiać przy zapalanej świecy.

I przy pięknie poukładanych dookoła gazetach.

– Macie pewność, że pożar zaczął się w sypialni?

– Tak, komendant powiedział, że nie ma co do tego wątpliwości. Nie ma wątpliwości co do przyczyny lub źródła.

– A świeca? – pytam.

– Co świeca?

– Jest jakaś koncepcja, dlaczego upadła?

Nie odpowiada. Dla niego to może nie ma większego znaczenia, ale tak między nami, jakie jest prawdopodobieństwo, że stojąca na biurku świeca spadnie? W końcu działo się to we wnętrzu, w domu. Nie mógł jej przewrócić wiatr.

– Pani wybaczy – mówi porucznik – ale właściwie dlaczego interesuje się tym FBI?

– Chciałabym móc odpowiedzieć na to pytanie, poruczniku. Ale wie pan, jak to jest.

– Aha... No dobrze.

– Czy przewidywana jest sekcja zwłok?

– Nie, nie sądzę.

– Czemu nie?

– No, po pierwsze nie jestem pewien, czy zostało coś do przeprowadzenia autopsji. Ale przede wszystkim po co? Komendant twierdzi, że nic nie wskazuje na przestępstwo. Nie odkryliśmy nic, co by świadczyło o tym, że ktoś mógł chcieć ją skrzywdzić. I nie mamy żadnych dowodów, że ktoś zrobił jej coś złego.

– Właśnie po to przeprowadza się sekcję, poruczniku. By znaleźć dowód.

Następuje chwila przerwy. W słuchawce głucha cisza, jakby się rozłączył. Może to zrobił. Gliny nie lubią, żeby ktoś mówił im, jak mają pracować, a już szczególnie słuchać rad ze strony federalnych.

– Wiem, po co przeprowadza się sekcję, pani Dockery, ale nie robi się tego w każdym przypadku, kiedy ktoś traci życie. Tu nie wydarzyło się nic podejrzanego, według ekspertów...

– Chyba macie tam zespół do spraw podpażeń, prawda? – pytam. – Moglibyście przekazać im ten przypadek?

– Mamy taki zespół w hrabstwie, owszem, proszę pani, ale nie przekazujemy im spraw wszystkich pożarów, bo nie mieliby kiedy zajmować się prawdziwymi podpaleniami. Czy ma pani jakieś informacje o Joelle Swanson, które kazałyby przypuszczać, że to nie był nieszczęśliwy wypadek?

– Nie wiem nic o Joelle Swanson – przyznaję.

– No to chyba wyczerpaliśmy temat, proszę pani. Jestem bardzo zajęty.

– Wiem o tym, panie poruczniku, i naprawdę doceniam, że poświęcił mi pan czas. Czy mogłabym mieć do pana jeszcze jedną prośbę?

Ciężko wzdycha, na tyle głośno, by mieć pewność, że to usłyszę.

– Tak?

– Sypialnia – mówię. – Czy mógłby mi pan opisać rozmieszczenie mebli?

Rozdział 11

Porucznik Ressler obiecuje, że prześle mi informacje na temat sypialni Joelle Swanson najszybciej, jak to tylko możliwe. Co może oznaczać za dziesięć minut albo nigdy. Pewnie mogłam trochę bardziej połechtać jego ego. To ułatwia współpracę. Ale mam już dość słuchania o strażakach, którzy wiedzą mnóstwo o gaszeniu pożarów, ale niemal nic o tym, jak się je wywołuje. O zamykaniu spraw, nim przeprowadzi się staranne śledztwo. Gdyby chodziło o jakiś magazyn i milionowe straty, przekopaliby się przez popioły i zbadali każdy drobiazg. Ale w przypadku stosunkowo niewielkiego pożaru, kiedy mają podetkniętą pod nos przyczynę, są gotowi zamykać śledztwo, zanim je w ogóle zaczną.

Potrzebuję przerwy od komputera, a nie mam ochoty na podgrzany w mikrofalce hamburger z serem, więc biorę się do szorowania podłogi w kuchni. Jestem trochę zwariowana na punkcie porządków. To bardzo po myśli agenta nieruchomości. Ucieszył się na wiadomość, że się tu sprowadzam, kiedy mama pojechała na Florydę, wystawiając dom na sprzedaż. Łatwiej sprzedać dom, w którym ktoś mieszka. Dla mnie też było to wygodne rozwiązanie, skoro zostałam zawieszona w FBI. Czyny za wynajmowane lokum w Georgetown znacznie przekraczały moje możliwości bez comiesięcznej pensji.

I tak wygląda moje życie. Mieszkam w domu matki w Urbannie, w stanie Wirginia, a mama szuka bardziej słonecznego nieba w Naples. Wylądowałam w rodzinnym domu, bezrobotna i sama jak palec. Oto Emmy w wieku trzydziestu pięciu lat!

Kiedy podłoga w kuchni jest czysta, siadam i się przeciągam. Jestem zmęczona w każdym sensie. Fizycznie i psychicznie. Muszę przyznać, że wiązałam wielkie nadzieje z Booksem. Dyrektor FBI się z nim liczy, a jeśli ktokolwiek mógłby we mnie

wierzyć, to właśnie Books. Ale nie dziwię mu się. Miał pełne prawo tak zareagować. I pewnie dlatego tak mi przykro.

Bo czego ja się spodziewałam? Zerwałam z nim trzy miesiące przed ślubem. W gruncie rzeczy odbiło mi i zламаłam serce cudownemu mężczyźnie. I teraz, po dwóch latach, jakby nigdy nic wparowuję do jego życia i oczekuję, że kiedy każe mi skakać, spyta grzecznie: „A na jaką wysokość?”.

W efekcie znów zostaję na scenie sama. Jako jednoosobowa grupa zadaniowa Emily Jean Dockery, w najbardziej, jak to możliwe, amatorski sposób przedzieram się przez dane i wydzwaniam po całym kraju do stróżów prawa, z których większość bierze mnie za wariatkę.

Zresztą może i słusznie.

Pukanie do drzwi. Przebiega mnie zimny dreszcz. Nie mam tu wielu znajomych, przyjaciół tym bardziej. A jest już po dwudziestej.

Nie mam też żadnej broni. Tylko gąbkę i kubek. Mogę zagrozić intruzowi, że wyszoruję go na śmierć.

– Kto tam? – drę się, stając w przedpokoju.

Głos, który odpowiada, brzmi znajomo.

Oddycham z ulgą i otwieram drzwi.

Harrison Bookman ma na sobie inną koszulę, ale te same dżinsy co tamtego dnia. Pod pachą trzyma, niczym odrobioną pracę domową, teczki, które mu zostawiłam.

– On nigdy nie zabija w niedzielę – stwierdza.

Oboje przez dłuższą chwilę stoimy w milczeniu.

– Liczę, że masz jakąś porządną kawę?

– Tak.

– Jasne. Teraz to mówisz „tak”.

Uśmiecham się. Już drugi raz w tym tygodniu.

Rozdział 12

Idziemy, Books i ja, po Pennsylvania Avenue Northwest. Mijamy miejsce, gdzie była niegdyś D'Acqua, „nasza knajpka”, jeśli coś można było tak nazwać. Wybieraliśmy, co zjemy na kolację, z wyłożonego na lodzie świeżego połowu i sączyliśmy białe wino w lokalu albo siadaliśmy na zewnątrz, podziwiając fontanny przed Navy Memorial. Trochę zbyt szpanersko jak dla nas, ale pozwalaliśmy sobie na tę odrobinę luksusu. To były nasze piątkowe randki.

Jednak wszystko się zmienia. Restauracja podupadła, tak jak rozpadł się nasz związek.

– To wszystko dlatego, że jesteś mężczyzną – mówię do Booksa.

Wygląda, jak gdyby zastanawiał się nad tym głęboko, aż w końcu kiwa głową.

– Jest taka możliwość – przyznaje, marszcząc brwi. – Ale z drugiej strony... – Pociera brodę niczym zadumany nad jakąś trudną zagadką Sherlock Holmes. – Może kilku ludzi w tym budynku uważa mnie za człowieka o zdrowych zmysłach, a ciebie nie. – Strzela palcami, jakby nareszcie wpadł na właściwe rozwiązanie.

– Nie, to sprawa płci. To dlatego, że jestem kobietą.

– Kobietą z problemami psychicznymi.

– Books... – zaczynam, ale jesteście już pod siedzibą FBI i on się zatrzymuje.

– Ty tego chciałaś, nie ja – burczy. – Próbuję ci to załatwić. Dlaczego nie możesz się po prostu cieszyć, bez rozkładania tego na czynniki pierwsze?

O rany! Nie sądziłam, że jest na mnie aż tak wkurzony.

Przepycha się przede mną. W recepcji podajemy swoje nazwiska. Były czasy, kiedy oboje mogliśmy tylko mignąć odznaką i wejść. Teraz jesteśmy gośćmi. Books z wyboru, ja wbrew własnej woli.

– Chwileczkę – mówi kobieta w recepcji.

Books splata dłonie z tyłu. To właśnie takie drobiazgi wywołują przyływ wspomnień. Zawsze tak robił w sytuacjach zawodowych. Zachowywał się oficjalnie, jak sztywniak. Kiedy byliśmy sami, rozśmieszał mnie do łez, ale w pracy sprawiał wrażenie typowego agenta, bez krzty poczucia humoru. Taki detektyw Joe Friday – „liczą się tylko fakty, proszę pani”. Lubiłam z niego żartować, w bardziej szczęśliwych czasach, splatając ręce tak jak on, naśladując jego sztywny chód i powtarzając: „Tak, proszę pani, nie, proszę pana”.

– Pamiętaj, Emmy, to ja mam głos. – Odwraca się do mnie i patrzy mi w oczy.

– Będę grzeczna. Słowo. Możemy spleść paluszki.

– Nie jestem dziewczynką. Nie wiem, o co ci, do cholery, chodzi.

– Ale masz mały palec, prawda?

Ciężko wzdycha.

– Oby sens był taki, że zrobimy to po mojemu.

– Właśnie tak jest. Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej, Books.

Chrząka znacząco. Wyraźnie mi nie dowierza. Wie, jaka potrafię być apodyktyczna.

– Jesteś wielki – mówię. – A ja jestem tylko małą dziewczynką, która nosi za tobą teczkę.

– Nie nosisz za mną teczki.

– Mogę nosić, jeśli tylko chcesz.

Recepcjonistka wręcza nam przepustki dla gości, nasze torby zostają dokładnie przejrzone i ruszamy do wind.

– Aleś ty dzisiaj zgryźliwa – zauważa Books.

Ma rację. Jestem podekscytowana, niespokojna – i tak to sobie odbijam. To najważniejsze spotkanie, jakie miałam w życiu, stawka jest wysoka, a mnie żarty w głowie.

– Rozumiesz, że nawet sama zgoda na to spotkanie to wielki gest z ich strony.

– Tak.

Rzuca mi ostre spojrzenie, nim wsiadamy do windy. Podczas jazdy nie odzywa się słowem. To jedna z jego zasad. Nawyk supertajnego agenta. Nie rozmawiać przy obcych o sprawach służbowych.

Ale wiem, co chciałby powiedzieć. Znów powtórzyłam „tak”.

Na swoją obronę dodam, że zerwałam trzy miesiące przed ślubem. Zwrócono nam zaliczkę za wynajęcie sali bankietowej, a zaproszenia nie zostały jeszcze wydrukowane. Zastanawiam się, czy dla Booksa było to pewne pocieszenie. Domyślam się... że nie.

Podajemy swoje nazwiska jakiejś kobiecie, a ona prowadzi nas do jednej z dużych sal konferencyjnych, z których korzysta dyrektor William Moriarty.

Widzę, że w miarę jak się tam zbliżamy, Books się usztywnia. Jest tu po raz pierwszy od czasu, kiedy – pomimo sprzeciwu dyrektora – złożył wymówienie. Znów przemierza ten korytarz, gdzie na podłodze leży cienka wykładzina, na ścianach wiszą tanie obrazy, a w powietrzu niemal czuje się ekscytującą woń pościgów, polowania na złoczyńców i dbania o bezpieczeństwo kraju. To nie jest dla niego łatwe. Poprosiłam go o bardzo wiele, choć przecież po tym, co mu zrobiłam, nie zasługuję na żadną grzeczność z jego strony. Trzeba pamiętać: Books to dobry człowiek.

Nie tylko załatwił spotkanie, ale też w dodatku z najważniejszą szychą. Zdołał ominąć mojego zwierzchnika, tego palanta Dickinsona, który na pewno pokrzyżowałby nasze plany, gdyby tylko miał taką możliwość. Cieszę się, że go tu nie będzie.

Otwierają się drzwi. Przy końcu długiego stołu stoi dyrektor Moriarty. Z lewej strony ma kadrową, Nancy Parmaggiore.

A z prawej – zastępcę dyrektora wydziału do walki z cyberprzestępczością, człowieka znanego jako Julius Dickinson. A także jako palant Dick.

– O cholera – szepczę, a Books delikatnie szturcha mnie łokciem.

Rozdział 13

William Moriarty, dawny agent FBI, prokurator federalny, kongresmen z Nowego Jorku i sędzia federalny w Waszyngtonie, a od trzech lat dyrektor FBI, rozpromienia się na widok Booksa. Books był niegdyś jego pracownikiem, a Moriarty nie zaszedłby tak wysoko, gdyby zapominał ludzi.

– Zbierałem pochwały za dobrą robotę, jaką wykonywał ten facet – mówi do kadrowej i Dicka, którzy uśmiechają się i kiwają głowami niczym posłuszne żołnierzyki. – Nie chciałem pozwolić mu odejść. A on teraz sprzedaje książki! – Siada i daje znak innym, żeby zrobili to samo, po czym ostentacyjnie spogląda na zegarek. – O trzeciej muszę złożyć raport prezesowi, więc mam tylko jakieś dziesięć minut – oznajmia.

Dziesięć minut? Żeby mówić o najstraszniejszym seryjnym zabójcy w Ameryce?

– Zastępca dyrektora Dickinson wprowadził mnie w szczegóły sprawy – dodaje – i muszę się z nim zgodzić, że gdyby była to robota jednego człowieka, to mielibyśmy do czynienia z najbardziej niewiarygodną historią, jaką w życiu słyszałem.

Dick skwapliwie potakuje. Po chwili przenosi wzrok na mnie i patrzy mi w oczy. Popaprany drań. Ale obiecałam Booksowi, że będę się zachowywać jak należy. I w końcu chodzi tylko o to, żeby FBI wszczęło śledztwo, nieważne, kto będzie górą.

Ale w duchu mówię sobie: pieprzyć go.

– No dobrze – kontynuuje dyrektor – nie znam wszystkich detali, tak jak Julius, ale z tego, co mi powiedział, zgadzam się z nim w jeszcze jednej kwestii.

Że jest przebiegłym, zdradzieckim, wazeliniańskim dupkiem?

– Wniosek, jakoby miało to być działanie jednego człowieka, jest stanowczo przedwczesny. Podobnie jak w ogóle uznanie tych wypadków za przestępstwa. – Moriarty spogląda na Dicka. – Julius uważa, że należy zachować dużą ostrożność, nim

roztrwonimy zbyt wiele naszych cennych środków na tę sprawę. Proponuje, żebyśmy otworzyli wstępne śledztwo.

To ma być jego rekomendacja po wnikliwym zapoznaniu się z materiałem dowodowym? Jak miło z jego strony!

– Books, chcesz wejść do zespołu?

– Tak.

– Panie dyrektorze. – Dick unosi dłoń. – Agent Bookman nie jest już na etacie. Musielibyśmy rozwiązać pewne kwestie formalne, żeby przywrócić...

– No to rozwiążcie. – Dyrektor patrzy na Dicka. – Potrafisz je rozwiązać, prawda?

– Oczywiście, proszę pana.

Dyrektor kiwa głową w kierunku Booksa.

– Może tak mu się spodoba, że odzyskamy go na zawsze.

Books odchrząkuje.

– Mam kierować zespołem, panie dyrektorze?

Moriarty wskazuje palcem na prawo.

– Dowodzić i raportować bezpośrednio mnie będzie zastępca dyrektora, Dickinson.

– Chyba pan żartuje – wyrywa mi się, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Wszystkie oczy zwracają się na mnie. Złamałam obietnicę, którą przed wejściem dałam Booksowi, ale naprawdę... to Dick ma prowadzić całą tę operację? Jaja sobie ze mnie robią czy co?

Books kładzie dłoń na mojej ręce.

– Świetnie, panie dyrektorze. Czy jednak będę miał coś do powiedzenia w sprawie składu zespołu?

Moriarty zdaje się zdziwiony, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego zwraca się mu głowę czymś takim.

– Na pewno ustalicie to sobie z Julusem.

– Oczywiście, ale konkretnie... mamy tu Emmy Dockery, jedną z naszych analityczek, która zebrała te wszystkie materiały...

Books urywa, bo dyrektor już go nie słucha. Nachylił się do niego Dick i coś mu szeptem. Z drugiej strony dołączyła kadrowa. Kiedy jego podwładni o czymś go cicho przekonują, zwraca na mnie wzrok. Staram się robić wrażenie odpowiedzialnej, opanowanej analityczki, a nie kogoś, komu za chwilę chyba rozerwie czaszkę.

Wreszcie dyrektor Moriarty gestem daje im znak, by umilkli.

– Panno Dock... Dockery?

– Słucham.

– Proszę nas zostawić.

Zostawić? Co to, u diabła, znaczy? Patrzę na Booksa.

– Chce, żebyś wyszła, byśmy mogli o tobie porozmawiać – wyjaśnia.

Podnoszę się z krzesła i nawet nie patrzę w stronę tych decydentów. Boję się, że z moich oczu wystrzelą pioruny i dobrze dadzą im po uszach.

– Dziękuję – mówię, nie bardzo wiedząc, czemu wybrałam to właśnie słowo.

Zamykam za sobą drzwi, żeby ważniejsi ode mnie mogli zdecydować o moim losie.

Rozdział 14

Recepcjonista albo jakiś inny sługus przejmuje mnie, kiedy tylko wychodzę z sali konferencyjnej. Nikomu nie wolno się tu wałęsać. W efekcie ląduję w niewielkiej poczekalni, gdzie czytam w „Time” artykuł o tym, dlaczego Amerykanie tyją. O kurde, teraz dopiero to odkryli?

Kiedy poznaję szokujące wnioski badaczy, że dzieci tyją, bo przesiadują przed gramami komputerowymi, pochłaniając napakowane tłuszczem fast foody i pełne cukru, chemicznie wzbogacane napoje i batoniki, pojawia się Books i siada naprzeciw mnie. Unoszę pytająco brwi.

Uśmiecha się, kręci głową, a wreszcie klaszcze w dłonie.

– Jutro, punktualnie o piątej, spotykamy się w biurze Dickinsona. Wyda nam odpowiednie polecenia – informuje mnie. – I będziemy je wypełniać, Emmy.

– To znaczy, że wejdę w skład zespołu?

– Tak. Dyrektor się zgodził, choć Dickinson oczywiście był temu przeciwny. Możesz asystować zespołowi. Pod moim nadzorem.

– Nie bardzo mi się to podoba.

– Mnie też nie. Zastanawiam się, czy w ogóle powinienem w to wchodzić.

Po jego zbolalej minie widzę, że mówi poważnie. Pewnie musiał tam o mnie walczyć i powinnam być mu wdzięczna. I chyba jestem. Po prostu nie lubię być traktowana jak ktoś, kogo trzeba niańczyć. Co za głupia, zdominowana przez mężczyzn instytucja...

– Uśmiechnij się, Emmy – rzuca. – Bo jak ci to nie pasuje, to wracam do Alexandrii sprzedawać książki. A beze mnie nadal pozostajesz zawieszona w obowiązkach.

– Nie musisz kazać mi się uśmiechać, Books.

Śmieje się. Nie dlatego, że uznaje to za żart czy że jest w dobrym humorze. Znam ten śmiech. Tak reaguje, by

rozładować frustrację i złość, kiedy jest zirytowany.

– Masz swój prywatny interes w tym śledztwie – dodaje. – W tej sytuacji żaden agent nie zostałby dopuszczony do grupy dochodzeniowej. Żadnemu agentowi nie pozwolono by brać udziału w śledztwie dotyczącym śmierci jego siostry...

– Nie jestem agentem – bronię się, trzepocząc rękami jak nastolatka. – Jestem tylko analityczką.

– I twoje szczęście – odpowiada. – Bo udało się to załatwić tylko dlatego, że formalnie rzecz biorąc, jedynie asystujesz w śledztwie. Jesteś częścią zespołu.

Ma rację. Wiem, że ma rację. Powinnam się teraz cieszyć. Odchylam głowę do tyłu, przełykam ślinę i biorę głęboki wdech.

– Zorganizowałeś to spotkanie z Moriartym i udało się – mówię. – I walczyłeś, by mnie przyjęli. Doceniam to wszystko, Harrison. Naprawdę. Tak.

Cholera, znów powiedziałam „tak”.

Grozi mi palcem.

– Nie nazywaj mnie Harrisonem. Wróciłem, bo możliwe, całkiem możliwe, że wytoczył nam wojnę seryjny morderca, a ja z zasady nie lubię seryjnych morderców. I tylko dzięki tobie się o nim dowiedzieliśmy. Jeśli on rzeczywiście istnieje, jeśli tak jest, to jeszcze nigdy nie miałem z kimś takim do czynienia.

– I my go złapiemy – dodaje.

– Tak. Jeśli tylko to prawda, dopadniemy go. A cała chwała przypadnie Juliusowi Dickinsonowi. I ty się z tym pogodzisz.

Podnoszę ręce na znak, że się poddaję.

– Pod warunkiem że go złapiemy.

Books patrzy na mnie uważnie, po czym podrywa się z fotela.

– Pod warunkiem że on w ogóle istnieje – mówi.

Rozdział 15

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 4
29 sierpnia 2012

Cześć, moja klaso. Nie przeszkadza wam, że tak się do was zwracam? Zakładam, że słuchacie tego, bo chcecie nie tylko dowiedzieć się czegoś o mnie – skąd się wzięłem, co mną kieruje i tak dalej – ale też czegoś ode mnie. Może nie dotyczy to każdego z was. U niektórych to jedynie niezdrowa ciekawość, ucieczka od codziennej nudy, poszukiwanie sensacji, jak wtedy, gdy mijając wypadek na drodze, zwalniamy, w nadziei że uda się wam dostrzec krew ciekącą z czoła, nieruchome ciało na noszach, opadającą bezwładnie dłoń. Ale jestem pewien, że przynajmniej niektórzy z was chcą wiedzieć więcej, niż tylko jak to robię i dlaczego.

Chcecie wiedzieć, czy wy też moglibyście coś takiego zrobić.

I tu dobra wiadomość – jak najbardziej! Powiem wam jak.

Teraz wejdę do środka. Zbiera się na deszcz. Wewnątrz będę mówił trochę głośniej. Mam nadzieję, że przebiję się przez gwar, bo naprawdę robi się tam tłoczno.

Tak dla waszej informacji, jeśli zastanawiacie się, jak do was mówię w tłumie ludzi: mój dyktafon wygląda jak smartfon. Trzymam go więc przy uchu, jakbym rozmawiał z kumplem przez telefon. Dopóki odgrywam to jak należy – raz po raz robiąc przerwy, że niby to słucham tej urojonej osoby po drugiej stronie, urywając w pół zdania, dorzucając „co?”, „słyszysz mnie teraz?” albo takie tam inne, krzywiąc się, zakrywając drugie ucho dłonią i od czasu do czasu starając się „skupić” – nikt nie wątpi, że gadam przez telefon.

Na przykład teraz przebijam się przez klientelę, która coraz liczniej wypełnia bar, a niespełna metr ode mnie jest krótko przyszyżony mięśniak w koszulce o dwa numery za małej. Taki,

co to z nim nie ma żartów. I wiem, że mogę sobie mówić o nim, co tylko zechcę, a on nawet nie mrugnie, bo mój ton i to, że trzymam aparat przy uchu, wskazują, że rozmawiam przez telefon. Zaraz wam zademonstruję. Chętnie bym spędził z tym dżentelmenem chwilę sam na sam, żeby wbić mu szpikulec do lodu w ucho i pchać tak długo, aż usłyszę trzask, a potem podpaliłbym jego ciało przy użyciu nafty i palnika. A ty nie masz zielonego pojęcia, że mówię o tobie, prawda, przyjacielu?

Co, co? Halo, halo... słyszysz mnie? A teraz... lepiej? Dobrze mnie słyszysz?

Widzicie, idzie jak po maśle. I to jedna ze spraw, do której będę wracał: cokolwiek robisz, zmierzając do swojego celu, musisz umieć to sprzedać. To znaczy sprzedawać od początku do końca, dać z siebie wszystko. W tym, co ważne, i w szczegółach. Tak naprawdę właśnie drobiazgi potrafią pokrzyżować nam plany w chwili, kiedy powinniśmy wykazać największą ostrożność.

Jak na przykład ja teraz. Po skończonym nagraniu mógłbym po prostu wrzucić imitujący komórkę dyktafon do kieszeni, nie zwracając sobie głowy tym, co zwykle robi się na koniec rozmowy: pożegnaniem czy dotknięciem, jakim się rozłączamy, albo – jeśli to ta druga osoba przerwie połączenie – wołaniem do „głuchej” słuchawki, po którym kręci się głową, jakby człowiek się zdziwił albo wkurzył. Innymi słowy, mógłbym przestać udawać i po prostu wetknąć dyktafon do kieszeni.

Ale co, jeśli z jakiegoś powodu ktoś by mnie obserwował? Albo gdyby ktoś z plakietką policjanta przy kurtce przeglądał potem nagranie wideo z tego baru, wypatrując jakichś podejrzanych zachowań? Ręczę wam, że to mało prawdopodobne, ale gdyby jednak tak się stało? Zobaczyliby, jak idę przez bar, najwyraźniej rozmawiając przez telefon, który potem, ni stąd, ni zowąd, chowam do kieszeni. Domyśliliby się, że udawałem. Zwróciliby na mnie uwagę. A nie chcemy zwracać na siebie uwagi. Bo to jest – i zapamiętajcie to sobie raz na zawsze – ostatnia rzecz, na której by nam zależało.

Dlatego za każdym razem, kiedy będę brał dyktafon i do was mówił w miejscu, gdzie ktoś może mnie śledzić, na pewno najpierw powiem „Cześć, jak się masz?” albo coś w tym rodzaju. A na koniec naszej sesji dorzucę „Pogadamy później”, „Do zobaczenia”, cokolwiek, po czym dotknę ekranu, że niby się

rozłączam. Wyjaśniam tak dla jasności, żebyście się w tym nie pogubili.

To ważne, bo liczę się z tym, że policja może zechce – niekoniecznie, ale zawsze jest taka możliwość – przejrzeć dzisiejsze nagrania z tego baru, gdy dowie się, że to tutaj po raz ostatni widziano Curtisa Valentine'a. To on, tam w kącie, facet z włosami ściągniętymi w kucyk i lekkim brzuszkiem. Czarna koszula, niebieskie dżinsy. Pochyla głowę nad kuflem spienionego piwa, niezgrabnie przestępując z nogi na nogę. Zajmuje się obsługą stron internetowych. Pracuje w domu, pod szyldem Idealne Projekty Graficzne. Dowiedziałem się tego z Facebooka. Wydaje się dość miłym gościem. Takie odniosłem wrażenie, gadając z nim wczoraj przez telefon, kiedy umawialiśmy się na piwo w tutejszym pubie.

No dobra. Zauważył mnie. Nigdy nie widzieliśmy się na żywo, ale domyśla się, że to ja, bo rozglądam się dokoła, jakbym kogoś szukał.

Curtis? Hej, jak się masz? Miło cię poznać osobiście. Chwila, pozwól, że skończę rozmowę.

W porządku, moja klaso. Muszę lecieć. Pogadamy później. Cześć!

Przepraszam, Curtis. Fajnie, że wreszcie się spotykamy...
(koniec)

Rozdział 16

Books przychodzi do mnie – a właściwie, z formalnego punktu widzenia, do domu mojej mamy – żeby pogrzebać więcej w materiałach, i zostaje na noc. To pierwsza noc, którą spędzamy pod jednym dachem, od czasu kiedy zerwałam nasze zaręczyny. Owszem, jest dziwnie. Tak dziwnie jak w *Alicji w Krainie Czarów*. Ale ma stąd daleko do domu, więc rozsądniej było, żeby został.

Tak czy inaczej, to jednak dziwaczne.

Jesteśmy w kuchni. Siedzę przy stole i sprawdzam w laptopie maile oraz dobrze mi znane strony internetowe, a Books gotuje makaron. Robi to lepiej ode mnie, co zresztą mało powiedziane. Tak naprawdę zwykle gotowaliśmy razem. Otwieraliśmy butelkę wina i całowaliśmy się po szyjach, krojąc warzywa i mieszając sosy. To miłe wspomnienia. Mam wiele dobrych wspomnień związanych z Booksem. Poza Martą był jedyną na świecie tak bliską mi osobą i... pewnie dlatego nam się nie udało.

– Jest tu może w przyprawach jakaś ostra papryka? – pyta Books.

– Nie mam pojęcia – mówię w roztargnieniu, przekopując się przez maile dotyczące ostatnich pożarów, odrzucając te, które z miejsca można wykluczyć, i zaznaczając te, które wydają się podejrzane. – Poszukaj.

– Świetna rada. A myślałem, że jak stanę, zamknę oczy i wystawię dłoń, to papryka w sposób magiczny sama się pojawi. Powiadasz, że mam poszukać?

Brzęczy moja komórka leżąca na stole. To Dorian. Dzwoniłam do niej wcześniej i się nagrałam.

– Cześć, mamo.

– Mówiłaś, że masz dobre wiadomości – odzywa się trochę bełkotliwie.

Tak to bywa od czasu, kiedy pięć lat temu zmarł tata. Nigdy nie upija się do nieprzytomności, ale lubi przed kolacją osłodzić sobie życie ginem z tonikiem. Przez krótki czas po śmierci Marty było z tym jeszcze gorzej. Zawsze myślałam, że to Marta jest jej ulubienicą. Jednakowe charaktery. Obie umiały być duszą towarzystwa. I to ich podejście do życia, wiara w szczęście. Kiedy dorastałam, Dorian często mawiała: „Nie rozumiem cię, Emmy”, zamiast powiedzieć wprost: „Dlaczego tak bardzo się różnimy? Dlaczego nie jesteś bardziej podobna do Marty?”.

– Mam. Na szczęście znów mnie zatrudnili.

– A kto?

– Jak to: kto? FBI, mamó. Odzyskałam pracę.

– O, to świetnie. Pozwolili ci wrócić wcześniej?

– Tak. Pokazałam im materiały, które zebrałam na temat pożarów, i zgodzili się wszcząć śledztwo. Będę w zespole dochodzeniowym.

Cisza. Mama od początku miała ambiwalentny stosunek do tej mojej obsesji na punkcie pożarów. Myślała, że na siłę próbuję znaleźć coś pozytywnego w śmierci Marty. Bo gdybym zdołała to powiązać ze zbrodnią, której zagadkę rozwiążę, mogłabym dostrzec w tym jakiś sens – „Marta zginęła, żebyśmy mogli złapać zabójcę”, coś takiego. Mama nigdy nie wierzyła, że Marta została zamordowana.

– W takiej chwili matka powinna powiedzieć córce: „Cieszę się, cudownie, kochanie!”.

– Gdybym tak sądziła, Emily Jean, tobym tak powiedziała.

– Books też jest w zespole – dodaję w nadziei, że może przynajmniej to nastroi ją bardziej entuzjastycznie.

Zawsze lubiła Booksa. Wszyscy go lubią.

Zerkam na niego. Pochylony nad parującym makaronem, pracowicie go miesza.

– Harrison? Myślałam, że odszedł z FBI, kiedy go rzuciłaś.

Uroczo to podsumowała.

– Złożył wypowiedzenie, mamó, ale nie dlatego, że z nim zerwałam. Zrobił to, czego sam chciał, potrzebował odmiany.

– Ja w to nie wierzę – mówi mama. – Odszedł stamtąd, bo było dla niego zbyt bolesne pracować w tym samym budynku co ty.

– On tu jest, więc najlepiej spytajmy jego samego – proponuję, lekko poirytowana. – Books, chodź no, powiedz mojej matce, dlaczego odszedłeś z FBI.

Books odkłada drewnianą łyżkę, którą próbował sosu, wyciera dłonie w ręcznik i podchodzi do stołu. Bierze mój telefon.

– Cześć, Dorian, jak się masz?... Ja świetnie, dziękuję... Tak, sprzedaż książek w tych czasach nie idzie najlepiej, ale dajemy sobie radę. A jak tam w Naples?... Cieszę się bardzo, to wspaniale... W każdym razie odszedłem z FBI, bo Emmy ze mną zerwała. Taki był powód.

Oddaje mi komórkę. Jeszcze nigdy nie widziałam tak szerokiego uśmiechu na jego twarzy.

– To nieprawda – oświadczam matce. – On tylko tak mówi.

– Nie tylko tak mówię! – woła, przykładając dłoń do ust, żeby go było słyhać.

– On wcale nie mówi tego ot tak – popiera go matka.

– Mamo, muszę lecieć. Dawno nam się tak przyjemnie nie gawędziło.

Rozłączam się.

– To naprawdę było miłe z twojej strony, Books.

– Makaron prawie gotowy. Kończysz swoje rozeznanie?

– Już za chwilę. Chyba zeszłej nocy nikt nie zginął w pożarze.

– No, marnie. Ale w gruncie rzeczy to dobrze, prawda?

Books nakłada nam na talerze – penne z sosem pomidorowym, brokuły z czosnkiem, gotowane na parze, trochę sałaty. Po raz pierwszy dostrzegam ślady siwizny na jego skroniach. Bardziej to widać przy dłuższych włosach. Łapie mnie na tym, że mu się przyglądam, więc szybko odwracam wzrok. Gdyby unikanie intymnych momentów było kategorią olimpijską, zdobyłabym złoty medal.

Kiedy otwiera butelkę wina, właśnie kończę przeglądać maile i strony internetowe. Na chwilę zostawiam laptop. Wiadomości sypią się lawinowo, bez przerwy.

– Za dużo pracujesz – mówi, siadając.

Krzywię się.

– Ty je przyniosłeś?

Wino, które Books kupił gdzieś w mieście, ma metaliczny posmak, jest zbyt cierpkie.

– Wiesz – zaczyna – uświadomiłem to sobie, dopiero kiedy odszedłem z FBI. W życiu nie tylko praca się liczy.

– Tak? I co, zajmiesz się teraz wspinaczką górską? Zacznieś grać w gry planszowe?

– Nie kpij z tego, co mówię.

– Wcale nie kpię. Nigdy nie śmiałabym cię lekceważyć.

Books pociąga spory łyk wina, smakuje je, trzyma chwilę w ustach, połyka i wreszcie wzdycha zadowolony.

– A zostawienie kogoś przed ołtarzem to nie oznaka lekceważenia?

– Ależ skąd!

– Nie? To jak to nazwać? Komplementem? Wyrazem szacunku?

Właściwie lubię takiego Booksa. Na luzie, bardziej sarkastycznego, zrelaksowanego.

– To była... życiowa decyzja – mówię.

– Ooo, od razu mi lepiej. – Mruga do mnie. – Nie ma sprawy, mała. Było, minęło. Teraz jedz, co masz na talerzu, zrozumiano? Musisz jutro zrobić dobre wrażenie na zespole.

Rozdział 17

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 5
29 sierpnia 2012

Cześć, cześć, kochanie! U mnie świetnie... Co takiego... och, naprawdę? Wspaniale... Co? Trudno tu złapać zasięg... och, jestem w Champaign w Illinois. Pamiętasz tę firmę zajmującą się stronami internetowymi, o której ci mówiłem, Idealne Projekty Graficzne? Curtis Valentine? No to jestem teraz w jego biurze w suterenie i muszę ci powiedzieć, że to wprost niesamowite miejsce! Nie, nawet lepsze, niż myśleliśmy!

Curtis, wybaczyć, nie gniewaj się, że odbieram telefon, ale cały tydzień rozmawialiśmy o tym spotkaniu.

(Uwaga spisującego: w tle słychać męski głos, nie da się zrozumieć, co mówi).

No dobra, odchodzę na chwilę od Curtisa, żeby powiedzieć coś wam, moim słuchaczom. Mówiłem, że na razie nie pozwolę wam zobaczyć ani usłyszeć, co robię, i nie złamię tej zasady. Wyłączę dyktafon, zanim zabiorę się do rzeczy, ale powinniście wiedzieć, jaki jestem w tym dobry. Zaskarbiłem sobie całkowite zaufanie Curtisa, mogę zająć go od tyłu i skraść mu życie. Wszystko idzie jak z płatka, jeśli człowiek jest zdyscyplinowany i skupiony na swoim celu. No tak, owszem, chcę też, żebyście widzieli, jakie to dla mnie ekscytujące. Niezmiennie. Nigdy mi nie powszednieje. Szkoda, że nie możecie poczuć mojego uniesienia, radosnego bicia serca, krążącej mi w żyłach adrenaliny i tej euforii, która mnie ogarnia. Chwytnie to, prawda? Nie chodzi o nienawiść. Chodzi o miłość.

No dobra. Zróbnmy to. Wracam do Curtisa za 3... 2... 1...

W każdym razie, kochanie, szkoda, że nie widzisz, co Curtis potrafi wyczyniać ze stroną internetową. Myślę, że możemy prowadzić obłądne interesy z tym gościem. Curtis siedzi za swoim

biurkiem i ma... – ile ich masz Curtis, cztery? – cztery komputery pracujące jednocześnie. Jest w swoim żywiole, bez reszty pochłonięty pracą, jakby...

Jakby nie miał zielonego pojęcia, co ja z nim zaraz zrobię.

(koniec)

Rozdział 18

Ja i Books pojawiajemy się w biurze tego palanta o siedemnastej, jak nam kazano, ale zostajemy skierowani do sali konferencyjnej w głębi korytarza. Wyznaczenie spotkania na sam koniec pracy jest wymowne: Dick nie zamierza poświęcić nam wiele czasu. Ale okazuje się, że wygląda to jeszcze gorzej, bo na dodatek każe nam czekać ponad dwie godziny. Wreszcie, o dziewiętnastej piętnaście, wparowuje do sali. Kończy coś przeżuwać (ten dupek pewnie jadł sobie kolację, kiedy my siedzieliśmy tu jak na szpilkach) i ciężko opada na krzesło, nie zadając sobie trudu, by chociaż skinąć nam głową. Kolejne dziesięć minut poświęca na czyszczenie okularów swoją jedwabną chusteczką, czym daje nam wyraźnie do zrozumienia, jak mało się z nami liczy. Okulary mają pierwszeństwo przed naszym dochodzeniem.

Przyprowadził ze sobą dwoje ludzi. Konsultanta kontraktowego, byłego agenta, Dennisa Sasserę, i analityczkę researcherkę, Sophie Talamas. Najwyraźniej to jest nasz zespół.

Denny Sasser ma starcze plamy na czole, resztki siwych kosmyków na czubku głowy, zapadnięte oczy i wąskie, zgarbione ramiona. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat osiągnął wiek emerytalny i starał się o odroczenie, ale po kilku odmowach dyrektora dał za wygraną. Nadal współpracował jednak z biurem jako konsultant zewnętrzny, w różnych dziedzinach. Ostatnio przy konfiskatach mienia, co jest zadaniem równie mile widzianym jak pojawienie się wola. Skierowanie kogoś do takich spraw oznacza zwykle: nie mamy zamiaru odnawiać z tobą umowy, chłopie. Nie można więc powiedzieć, by piął się po szczeblach kariery, co może i dobrze, bo nie sądzę, by zdołał wleźć na drabinę, nawet gdyby się z całych sił pchało mu tyłek. Pracował dla agencji w czasach sprzed elektryczności. Dick wyjaśnia nam, że Denny prowadził niegdyś śledztwa w sprawie podpaień, ale założył się o spłatę

hipoteki, że chodzi o przypadki z czasów, kiedy ogień rozniecało się przez pocieranie patyków, by upiec stegozaura upolowanego strzałą i przywleczonemu do jaskini.

Sophie Talamas nie znam. Musi być nowa. Jest młodsza ode mnie (w czym, niestety, nie ma nic nadzwyczajnego) i o wiele ładniejsza (patrz poprzednia uwaga). Czy jest dobra w tym, co robi, nie mam pojęcia, ale pewnie dopiero raczkuje i trzeba by ją poduczyć, a ja nie mam na to czasu.

Trudno byłoby to nazwać doborową drużyną. Już Dick się o to postarał.

Zostaliśmy skazani na porażkę.

– No dobrze – mówi Dickinson, ścierając ostatnie plamki ze szkieł. – Nie mam... zamiaru marnować cennych środków na... wędkarskie wycieczki. – Nakłada okulary i patrzy na nas z pogardą. – Przejrzałem tak zwany „raport”, przygotowany przez Emmy, i jak na razie dochodzę do wniosku, że nie ma tam nic ciekawego. Oczywiście, są te pożary. Ale w tym kraju zdarzają się one codziennie. I codziennie giną w nich ludzie. Widzę jedynie, że nasza Emmy sporządziła listę pożarów, z których każdy został zakwalifikowany przez śledczych jako przypadkowy. – Dick kręci głową. – Nie zauważyłem wśród nich ani jednego, który mógłby zostać uznany przez sąd za podpalenie.

– To prawda – rzucam zapalczynie. – On jest aż tak dobry.

– Jest aż tak dobry – powtarza za mną Dick – albo taki mistrz zbrodni wcale nie istnieje. I te przypadkowe pożary naprawdę były przypadkowe.

– Jeśli mogę coś wtrącić. – Denny Sasser unosi dłoń ze stołu na dowód, że w ogóle jest w stanie się ruszać. – Panno Dockery, nie widać tu żadnego powtarzającego się schematu. Różne miejscowości. Ofiary do wyboru, do koloru: mężczyźni, kobiety, czarni, biali, Latynosi, Azjaci, starzy, młodzi, bogaci, z klasy średniej, biedni. Co może łączyć te przypadki?

– Te pożary zdarzają się każdego dnia tygodnia poza niedzielą – odzywa się Books. – Trzeba więc wziąć pod uwagę aspekt religijny. Niewykluczone, że coś z tej sfery łączy ofiary. Może wszyscy grzeszyli, a ten fanatyk skazuje bezbożników na ognie piekielne. Prawdopodobna jest też motywacja satanistyczna.

Muszę przyznać, że choć zauważyłam to omijanie niedziel, nie przypisywałam temu większego znaczenia. A Books tak. To pierwsze, co rzuciło mu się w oczy. I dlatego go potrzebuję.

– Sataniści – mówi z namysłem Sasser. – Bo chodzi o ogień?

Books wzrusza ramionami.

– Możliwe. Powinniśmy przeprowadzić analizę numerologiczną. Daty lub adresy ofiar albo ich wiek. Skojarzenie z trzema szóstkami, liczbą bestii i tak dalej. Sophie, to byłoby dobre zadanie dla ciebie.

Sophie, istota o wielkich piwnych oczach, jedwabistych blond włosach i zgrabnej drobnej figurze, unosi głowę.

– Oczywiście, panie agencie.

– Books. Wszyscy nazywają mnie Books.

– Dobrze, Books.

Uśmiecha się do niego.

A on do niej.

Nawet Dickinson się uśmiecha. Do mnie. Triumfalnie szczyrzy zęby.

Och, Dickinson, ty wredny padalcu, to dlatego włączyłeś Sophie do zespołu. Wiedziałaś, że spodoba się Booksowi.

Dość tego. Weź się w garść, Em. Wreszcie masz szansę, na którą czekałaś. Czas dać pokaz.

Pora wyjaśnić tym ludziom kilka rzeczy.

Rozdział 19

– Te przypadki nie zostały odpowiednio zbadane – mówię. – Lokalne organa przyjmują łatwe wyjaśnienie, dokładnie to, co podsuwa im nasz obiekt jako przyczynę wypadku. Przy podpaleniu bardzo łatwo zatrzeć ślady, bo dowody giną w płomieniach. Czasem podpalacz pomaga śledczym, rozlewając w miejscu zbrodni środki łatwopalne, benzynę czy naftę, których obecność można potem wykryć. Ale w innych przypadkach podpalenia wykrywa się w bardzo mało naukowy sposób. Pomaga jakaś puszka po gazie, butelka zapalająca znaleziona na miejscu wypadku albo nóż przy przeciętych przewodach gazowych. Niekiedy świadkowie zgłaszają, że widzieli kogoś, kto w środku nocy uciekał z miejsca pożaru. Czasami tropem okazuje się jakiś ważny motyw, na przykład kwestie finansowe lub konflikt osobisty. W każdym razie chodzi o to, że jeśli podpalacz jest ostrożny i działa metodycznie, zwykle potrafi zatrzeć ślady zbrodni. A nasz obiekt jest, jak sądzę, bardzo ostrożny. Nie zostawia po sobie nic, co mogłoby budzić podejrzenia. Wybiera ofiary, z którymi nic go nie łączy, a na dodatek podaje śledczym jak na tacy proste wyjaśnienie pożaru. I jakie są ich wnioski? Za każdym razem przyjmują to proste wyjaśnienie i kończą sprawę.

Denny, który słuchał uważnie mojej przemowy, uprzejmie kiwa głową, ale widzę, że nie przeciągnęłam go na swoją stronę.

– Panno Dockery... – zaczyna.

– Mów mi Emmy.

Skoro Sophie ma mniej formalnie zwracać się do Booksa, to niech i Denny mówi mi po imieniu. Ale jakoś nie czuję, żebym wyrównała rachunki. On dostaje laleczkę Barbie, ja dziadunia.

– Emmy, musimy brać pod uwagę możliwość, że proste wyjaśnienie jest słuszne – stwierdza. – Jeśli nauczyłem się czegoś przez trzydzieści lat tej pracy, to tego, że zwykle najprostsze wyjaśnienie jest też tym właściwym. Chcesz, żebyśmy uwierzyli

w działanie jakiegoś genialnego podpalacza na podstawie faktu, że nie ma dowodów na podpalenia.

No tak. I właśnie dlatego nasz obiekt jest tak dobry w tym, co robi – dowodem na to, jaki świetny z niego podpalacz, jest brak śladów podpalenia.

– Nie znam jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania – przyznaję. – Potrzebne są nam wyniki sekcji zwłok, analizy kryminalistyczne z miejsc zbrodni, przesłuchania świadków i tak dalej.

– Nie mamy na to środków – ucina Dick.

– W takim razie musimy przekonać lokalne organa, żeby to dla nas zrobiły.

– Na jakiej zasadzie? – pyta Denny Sasser. – Nie widzę podstaw.

– Ja też nie – grzmi Dick.

Patrzę na Booksa, a on kiwa głową.

– Pokaż im – mówi.

Rozdział 20

Umieszczam mapę wielkości plakatu na sztaludze ustawionej przy końcu stołu. Miejsca naszych pożarów są zaznaczone małymi gwiazdkami na terenie całych Stanów. W sumie pięćdziesiąt cztery gwiazdki – trzydzieści dwie czerwone, dwadzieścia dwie niebieskie.

– Mamy tu pięćdziesiąt cztery pożary – mówię. – Pięćdziesiąt cztery, licząc z grubsza od poprzedniego Święta Pracy do dziś. Czyli przez rok. Jak widzicie, pożary wybuchały w różnych częściach kraju, od Kalifornii po Nowy Jork, od Teksasu do Minnesoty, od stanu Waszyngton po koniuszek Florydy. Pięćdziesiąt cztery pożary. Wszystkie uznano za przypadkowe. Pięćdziesiąt cztery ofiary śmiertelne.

W sali panuje cisza. Jest coś takiego w śmierci, nawet jak się pracuje w organach ścigania, nawet jeśli moja teoria byłaby kompletnie bez sensu... w każdym razie pięćdziesiąt cztery to dużo. Tylu ludzi straciło życie. Nie ma tu miejsca na kpiny czy żarty.

– Sądzę, że te pięćdziesiąt cztery pożary mają ze sobą jakiś związek. Czym różnią się od setek, jeśli nie tysięcy innych pożarów, które co roku odnotowuje się na terenie całego kraju? Ich wyjątkowość polega na czterech wspólnych cechach. Po pierwsze, robią wrażenie absolutnie przypadkowych. Po drugie, ginie w nich jedna, tylko jedna osoba. Po trzecie, w każdym z tych pożarów ofiara została znaleziona w miejscu, gdzie musiały pojawić się pierwsze płomienie. Po czwarte, jest to zawsze sypialnia.

– I to jest takie niezwykle? – pyta Denny Sasser.

– Bardzo – mówię. – Pożary rzadko zaczynają się od sypialni. Ogromna większość bierze początek w kuchni. Niektóre bywają spowodowane przez wadliwe przewody gazowe w piwnicy lub pralni. Inne są wynikiem spięcia w sieci elektrycznej, często

w pobliżu źródeł ciepła, za sprzętem stereo i tego typu rzeczami. Ale w sypialni? Tak naprawdę to bardzo rzadkie przypadki.

Denny przyjmuje to do wiadomości.

– Nie przeglądałem najnowszych statystyk.

Uśmiecham się do niego.

– A ja tak. Jednak bez względu na to, gdzie zaczyna się pożar, większość ludzi nie ginie w tym właśnie miejscu. Ludzie uciekają od ognia, a nie do niego biegną. Zwykle, w przypadku ofiar śmiertelnych, pożar wybucha, kiedy ludzie śpią. Zaczyna się gdzieś w domu, w kuchni czy pralni, i stopniowo się rozprzestrzenia. Jeśli ludzie giną, to najczęściej przez zatrucie dymem, kiedy mają odciętą drogę ucieczki. Raczej nie zostają spaleni na węgiel we własnym łóżku. Natomiast w tych wszystkich pięćdziesięciu czterech pożarach ofiary poniosły śmierć w pokoju, gdzie, jak ustalono, pojawił się ogień, a ich ciała z reguły odnajdywano leżące na łóżku lub tuż obok.

– Jednak to jeszcze nie musi świadczyć o działaniu osób trzecich – wtrąca Sasser.

– Oczywiście, Denny. W gruncie rzeczy powiedziałeś dokładnie to, co przyjęły za pewnik pięćdziesiąt cztery różne grupy dochodzeniowe. Każda z nich uznała pożar za przypadkowy. Biorąc pod uwagę pojedynczy incydent, racja, jest to możliwe, szczególnie kiedy znajdzie się oczywista, tak zwana „przypadkowa” przyczyna pożaru, którą nasz obiekt zawsze im podsuwa. Śledczy zadowolają się prostą odpowiedzią, zamiast podejrzewać jakiś diaboliczny plan. Ale my nie mamy do czynienia z pojedynczym incydentem. Patrzymy na to z perspektywy całego kraju i widzimy pięćdziesiąt cztery podobne zdarzenia w ciągu jednego roku. I dlatego uważam, że jest tu pewien schemat.

Zyskałam ich uwagę. Nie jestem najlepsza w czytaniu z wyrazu twarzy, ale mam wrażenie, że udało mi się pokonać pierwszy płotek. Może jeszcze nikogo z nich nie przekonałam, ale nie jestem już poza linią startu.

– Przyjrzyjmy się temu uważniej – ciągnę. – Zacznijmy od czterech pierwszych miesięcy, sprzed roku. Mniej więcej od początku września. Od Święta Pracy aż do drugiego stycznia, żeby określić dokładnie. Skupcie się teraz na czerwonych gwiazdkach. Przedstawiają trzydzieści dwa pożary, do których

doszło podczas tych czterech miesięcy. Popatrzcie: są rozrzucone po różnych częściach kraju, z wyjątkiem Środkowego Zachodu. W tych trzydziestu dwóch pożarach zginęły trzydzieści dwie osoby.

Ostatni pożar w tym okresie, drugiego stycznia, wydarzył się w Peorii, w stanie Arizona. Nadal pamiętam telefon mamy, przerażenie w jej głosie. Nie była w stanie wykrztusić tych słów. „Marta – powiedziała – Marta... twoja siostra...” Zajęło to z pięć minut, nim zdołałam wydobyć z niej, o co chodzi. Choć po kilku próbach mnie samą zaczął paraliżować strach, bo stawało się dla mnie jasne, że ma do przekazania wiadomość najgorszą z możliwych. „Marta co, mamgo?! – zawołałam łamiącym się głosem, nogi ugięły się pode mną, ziemia usunęła mi się spod stóp. – Co się stało Marcie?”

– Czyli to trzydzieści dwa pożary w cztery miesiące – podsumowuje, żeby mnie wesprzeć, Books.

Czuje, że utknęłam przez wspomnienia. Z wdzięcznością kiwam mu głową, biorę się w garść i kontynuuję:

– Zgadza się. Około dwóch pożarów tygodniowo. I jak widzicie z mapy, te pożary zwykle występowały dwójkami. Dwa w Kalifornii, Piedmont i Novato, ten sam tydzień września. Dwa w Minnesocie, Edina i Saint Cloud, ten sam tydzień października. Nasz obiekt wiele podróżował. Od Święta Pracy praktycznie do Nowego Roku stale był w rozjazdach. Dlaczego, tego nie wiem.

Nareszcie wszyscy słuchają uważnie. Prześliczna Sophie robi nawet notatki, na dowód, że umie pisać, a w każdym razie coś gryzmolić.

– Potem przechodzimy do drugiego etapu, od początku tego roku aż do dziś – mówię. – I tu zaczynamy dowiadywać się więcej o naszym obiekcie.

Rozdział 21

– Druga faza zbrodni naszego obiektu – kontynuuję – ciągnie się około ośmiu miesięcy, od stycznia do dziś. To są te niebieskie gwiazdki na mapie. W tym okresie mamy dwadzieścia dwa pożary i dokładnie dwadzieścia dwie ofiary. Jedna śmierć przypada na jeden pożar. Dość metodyczna robota, chyba zgodzicie się ze mną?

Denny Sasser i Sophie Talamas kiwają głowami. Books też, żeby nie było wątpliwości, choć słyszał już mój wywód. Dick siedzi niewzruszony, nie zdradza, co myśli.

Zakreślam wskaźnikiem krąg wokół niebieskich gwiazdek.

– Tyle że nasz obiekt nie podróżował zbyt wiele w tej drugiej fazie, prawda?

Books kręci głową.

– Wszystkie te dwadzieścia dwa pożary wydarzyły się w obrębie Środkowego Zachodu – wtrąca.

– Zgadza się. Illinois, Wisconsin, Iowa, Indiana, Missouri i Kansas. I zaczęły się w połowie stycznia. Ostatni odnotowałam w zeszłym tygodniu w Lisle, w stanie Illinois. Czyli to osiem miesięcy i zaledwie dwadzieścia dwa podpalenia. Zamiast dwóch tygodniowo, mniej więcej trzy miesięcznie. Dlaczego?

Patrzę na nasz zespół jak nauczycielka pytająca uczniów.

Kiedy nie odpowiadają, robię to za nich.

– Bo poświęca więcej czasu na wybieranie ofiar – mówię.

Znów nikt się nie odzywa. Przychodzi mi do głowy, że może drażni ich ta zabawa w pytania i odpowiedzi, chociaż mam wrażenie, że nawet im się to podoba. Wszyscy w tej sali, a przynajmniej niektórzy, przyszli tu pracować, bo lubią rozwiązywać zagadki.

– A niby czemu miałyby to robić? – pyta Dick, po raz pierwszy zabierając głos.

Nie wiem, czy uznać to za dobry znak, czy wręcz przeciwnie.

– Bo jak sądzę, mieszka na Środkowym Zachodzie – odpowiadam. – I jest zmuszony poświęcać czas na różne codzienne sprawy. W czasie podróży ma wolną rękę i może sobie swobodnie polować. Ale na miejscu, u siebie? Musi chodzić do pracy. Ma przyjaciół, rodzinę.

– Musi też być bardziej ostrożny – dorzuca Books. – Zabijając bliżej domu, bardziej ryzykuje, że go złapią. Zwiększenie środków ostrożności oznacza dłuższe przerwy pomiędzy kolejnymi zabójstwami.

– No właśnie – mówię. – Popatrzcie, każda jego akcja na Środkowym Zachodzie podpada pod inną jurysdykcję. Różne miasta, różne hrabstwa. Pilnuje, żeby nie popełnić drugiej podobnej zbrodni w rejonie działania tych samych organów śledczych. Boi się, że zaczęto by łączyć ze sobą te zdarzenia, zamiast uznać je za odrębne przypadki.

– Powiedziałaś, że ofiary zawsze zostają znalezione w miejscu, gdzie wybuchł pożar – odzywa się Denny Sasser. – Czy on robi to z jakiegoś powodu?

– Jak najbardziej. W tym miejscu pali się najdłużej, temperatura jest najwyższa. To tam są największe zniszczenia, więc można liczyć, że nie zachowają się żadne ślady.

– Aha. Czyli sądzisz, że wykorzystuje pożar tylko do tego, by usunąć dowody?

– Tak. Cokolwiek robi swoim ofiarom, nie chce dopuścić, żebyśmy to odkryli. Nie chce, żebyśmy przeprowadzali sekcję zwłok. Dokłada starań, by nie zostało już...

Myślę o Marcie i ściska mnie w gardle.

– ...nic, co można byłoby poddać autopsji – dopowiada za mnie Sophie.

Kiwam głową, niezdolna wykrztusić słowa. Nadal pamiętam, jak moja matka lamentowała przy pracowniku zakładu pogrzebowego i detektywie policji, przy każdym, kto jej słuchał: „I nawet nie mogę pochować swojego dziecka? Nie mogę urządzić jej przyzwoitego chrześcijańskiego pogrzebu?”.

Odchrząkuję. Books nie mylił się co do tego, że niebezpiecznie jest prowadzić śledztwo w sprawie dotyczącej kogoś z najbliższych. Nie chciałabym stać się bohaterką opowieści ku przestrodze.

– Czyli pożar jest tu sprawą drugorzędną – podsumowuje Denny Sasser. – On nie podpala dla frajdy, tylko zaciera ślady zbrodni. To chcesz powiedzieć?

Znów odchrząkuję.

– Tak, właśnie tak. A to, co robi, wymaga czasu. Dlatego wyszukuje ludzi, którzy mieszkają samotnie. Żeby ich sobie podporządkować i móc działać bez pośpiechu. A kiedy kończy, podpala ich sypialnie. Wie, że obecnie strażacy mogą być na miejscu w kilka minut. Czy uratują resztę domu, to już go nie obchodzi. I tak zanim dotrą, ofiary spalą się na węgiel.

Rozdział 22

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 6
30 sierpnia 2012

No cóż, sądzę, że formalnie rzecz biorąc, można to uznać za osobną sesję. Minęła północ. Oficjalnie mamy już czwartek. Cóż to był za dzień, chyba zgodzicie się ze mną?

Nie? Nic takiego się nie zdarzyło? Dobra, ludziki, ponieważ jestem w dobrym humorze, odpowiem na pytania z mojej poczty.

Chciałbym faktycznie ją otrzymywać, bo na pewno macie do mnie mnóstwo pytań. Odpowiedzi na nie będziecie usilnie szukać w tych nagraniach, czytając między wierszami, badając mój dobór słów, sposób mówienia i takie tam. Ale na pewno byłoby wam miło, gdybym wyjaśnił niektóre rzeczy wprost.

Od czasu do czasu uprzedzę więc wasze pytanie i zgadując, co może was interesować, udzielę wam odpowiedzi. Na przykład mam tu jedno takie wyciągnięte z torby na pocztę. Poproszę o dżingla. Co? Nie mamy oprawy muzycznej? O, przepraszam, będę musiał nad tym popracować.

Pytanie: Jak wybierasz swoje ofiary?

Najprostsza odpowiedź: Szukam tego, co mnie inspiruje. Zależnie od chwili, mogą to być różne rzeczy, więc i moje ofiary są różne. Nie oczekujecie przecież, żeby Beethoven komponował dwa razy tę samą symfonię, prawda? Albo żeby Tołstoj pisał dwa razy identyczną powieść?

Czasem wyszukuję tych ludzi, a czasem sami do mnie przychodzą. Raz muszę się trochę natrudzić, by znaleźć to, czego potrzebuję, a kiedy indziej pojawia mi się to tuż pod nosem, niczym zapach perfum.

Można powiedzieć, że jestem smakoszem.

Czasami wolę jagnięcinę z kieliszkiem shiraz. Innym razem homara ze schłodzonym chablis. Bywa, że marzy mi się kanapka

włoska z wołowiną i papryką, a do tego chipsy ziemniaczane. Nie wiem, na co następnym razem będę miał apetyt. Wiem tylko, że za jakiś czas znów zaczniesz mi burczeć w brzuchu.

Pytanie: Jaki jest twój ulubiony kolor?

Założę się, że według was to czerwony, tak? No, blisko, blisko. To fiolet. Przewrotny, złożony kolor – ma w sobie pasję czerwieni, smutek błękitu i niegodziwość czerni. Fiolet nie jest ani wesoły, ani smutny. Zawierają się w nim nie tylko ból i rozpacz, ale również tęsknota – żarliwe pragnienie, pobite i posiniaczone, lecz rwące się naprzód, zdecydowane pokonać przeciwności, gotowe raczej walczyć do końca niż się poddać.

A poza tym bardzo pasuje do koloru moich włosów.

Mamy czas na jeszcze jedno pytanie: Dlaczego podpalasz swoje ofiary?

No zaraz. Curtis, czy ja cię podpaliłem?

(Uwaga spisującego: w tle słychać jęki mężczyzny).

Nie, bynajmniej. Robiłem ci przeróżne rzeczy, Curtis, ale cię nie podpaliłem. Nie panikuj, nie trać głowy, Curtis... spalę cię, kiedy to się skończy. Jednak tylko dlatego, żeby ta zabawa pozostała naszą słodką tajemnicą.

Przepraszam was wszystkich, to był taki mały żarcik pomiędzy Curtisem a mną, o tym traceniu głowy. I jeśli jest to dla ciebie pewnym pocieszeniem, Curtis, to masz jeden z najładniejszych mózgów, jakie widziałem. To cię pociesza? Czujesz się pocieszony?

Pewnie byłbyś o wiele bardziej pocieszony, gdybym zabrał to lustro, prawda?

(koniec)

Rozdział 23

Porucznik Adam Ressler nie cieszy się na nasz widok. Nie mogę mieć do niego o to pretensji. Tydzień temu sprawa była już elegancko zamknięta, a tu nagle pojawiają się my, by zrujnować mu weekend Święta Pracy. Jego mocno wykrochmalony mundur wydaje się zbyt sztywny i za ciepły jak na to sierpniowe powietrze, gorące i parne niczym w saunie, które oblepia mnie natychmiast, gdy tylko wysiadam z wypożyczonego nam z floty biura w Chicago jeepa cherokee.

Jednak Ressler nosi swój mundur z godnością. Jest przystojny, dobrze zbudowany, gładko ogolony, z odpowiednio kanciastym zarysem szczęki. Z jego postawy widać, że spędził jakiś czas w wojsku. Gdyby nie strużki potu spływające spod jego nienagannie zaczesanych włosów w kierunku idealnie zaprasowanego kołnierzyka, pewnie nie umiałabym powiedzieć, czy w ogóle zauważył, jak jest gorąco.

– Porucznik Ressler, czy tak? – pytam, starając się o swobodny, pewny siebie, rzeźki ton, gdy włosy zaczynają mi się lepić do szyi i czoła.

Burczy coś potakująco, nie wyciągając dłoni na powitanie.

Ze swojego samochodu gramoli się ledwie żywy, wymiętolony Denny i dołącza do nas – Booksa, Sophie i mnie – stojących na chodniku. Dokonuję szybkiej prezentacji zespołu. Ressler skwapliwie ściska dłoń Booksa, biorąc go za naszego szefa, co akurat jest prawdą, ale przecież Ressler nie mógł tego wiedzieć. Typowy seksizm, jednak nie czas na moje feministyczne fochy. Na widok Denny’ego robi taką minę, jakby chciał powiedzieć: „Nie, to chyba jakieś żarty”. Denny przypomina na wpół stopniałego loda na patyku, ale zaczynam podejrzewać, że za spojrzeniem jego głęboko osadzonych oczu kryje się coś więcej, niż można by sądzić. Ressler jest za to wyraźnie zafascynowany Sophie, jak zresztą każdy heteroseksualny facet z jakim takim temperamentem.

– Panno Dockery – zaczyna porucznik – jak mówiłem podczas naszej rozmowy telefonicznej, przyczyną tego pożaru z całą pewnością nie było podpalenie. Nie rozumiem więc, po co chcą państwo zobaczyć miejsce zdarzenia. Gdyby tylko powiedziała mi pani, o co konkretnie wam chodzi, na pewno bylibyśmy w stanie wszystko wyjaśnić.

– Pan już ogromnie nam pomógł. – Staram się mu przypochlebić. – Po prostu musimy się tu trochę rozejrzeć. To wszystko.

Piorunuje mnie wzrokiem, po czym obraca się na pięcie i rusza dziarskim krokiem w stronę domu. Domyślam się, że nie jest zachwycony perspektywą opieki nad się przez całe popołudnie ludźmi z FBI.

Przystaję na chwilę, by popatrzeć na pierwszy własny dom Joelle Swanson, który okazał się też jej ostatnim. To skromny, jednopiętrowy, wolno stojący budynek z ceglaną fasadą. Na szczycie schodów, przed wejściem, są dwie okrągłe kolumny. Dom jest nowy. Zresztą całe osiedle jest dość nowe, obsadzone młodymi, budzącymi nadzieję drzewkami. Trawniki wielkości znaczka pocztowego są pokryte świeżą darnią. Część okien domu Joelle została zabita sklejką. Prąd pewnie wyłączono. Ale poza tym niewiele jest śladów tej tragedii sprzed tygodnia.

Tylko ten zapach.

Spalona smoła, roztopiony plastik i w tle jeszcze coś innego, wyraźnie chemicznego. Wszystko to łączy się w dziwnie przyjemny zapach wilgotnego zwęglonego drewna, jak z jesiennych ognisk.

– Ogień, jak państwo widzą, zajął najpierw tył domu – mówi Ressler. – Sypialnia z tamtej strony spłonęła doszczętnie, podobnie jak główna łazienka i korytarz. Reszta pomieszczeń ucierpiała od dymu, a poza tym, mimo że minął tydzień, wszystko oczywiście jest jeszcze wilgotne po akcji gaśniczej.

Próbuję to sobie jakoś poukładać. Robiłam szczegółowe rozeznania, ale to pierwszy spalony dom, do którego wchodzę, od czasu, kiedy byłam u Marty. Wszystko jest całkiem inne, ale i tak nogi się pode mną uginają, muszę się przemóc, żeby iść dalej. Dom Marty był typowy dla Południowego Zachodu: łuki w drzwiach, mnóstwo płytek, jaskrawe kolory i otwarte przestrzenie. Ten ma rozkład bardziej charakterystyczny dla

Środkowego Zachodu: na dole salon, mała łazienka i kuchnia, na górze dwie sypialnie i duża łazienka.

Zatrzymuję się przy schodach, żeby wziąć się w garść. Od góry do połowy schodów ściany są pokryte sadzą. Wyraźnie zarysowane ślady wskazują drogę płomieni, zanim je ugaszono. To „kształty okopceń”, jak dowiedziałam się w domu Marty.

Na półpiętrze znowu przystaję. Zamykam oczy i znów widzę języki ognia z moich snów – „palce aniołów”, jak nazywają je strażacy – wijące się pod sufitem. Kłęby dymu przez moment falują niczym powierzchnia oceanu, po czym piętro wybucha ogniem i jednocześnie zaczyna płonąć wszystko, co tylko jest palne, a przytulny dom zamienia się w piec z termoobiegiem.

Ressler, na szczęście nieświadomy moich odczuć, ciągnie dalej:

– Źródło ognia było tutaj, w głównej sypialni. Proszę teraz uważać... w tym miejscu wszystko paliło się bardzo szybko, w ogromnej temperaturze. Pożar raczej nie naruszył belek stropu, jednak nie chciałbym odkryć, że jest inaczej, gdy jakiś agent FBI przeleci przez podłogę.

Śmieje się – takie szybkie, jak z karabinu maszynowego: ha, ha, ha – by podkreślić, że żartuje. Ale wcale nie jestem tego pewna.

Dochodzimy do sypialni. Do pokoju Joelle, a nie Marty – upominam siebie i aż mnie zatyka na jego widok. Łóżko albo to, co z niego zostało, stoi dokładnie naprzeciw drzwi. Nic takiego strasznie wyjątkowego, ale to jednak niezbyt często spotykane rozwiązanie. Tak jakby ona i Marta przeglądały ten sam magazyn wnętrzarski i wybrały ten sam pomysł na urządzenie sypialni. A przecież kiedy ostatni raz odwiedziłam siostrę, układ mebli był zupełnie inny. Musiała wszystko poprzestawiać, zanim zginęła. Przynajmniej tak wtedy pomyślałam.

Szeroki materac, obok stolik nocny (czy to, co niego zostało). Przy oknie wyścielany fotel, który niewątpliwie był niegdyś z łatwopalnego poliuretanu, z podobnie łatwopalnymi poduchami i kocami. Mokre stosy czarnego popiołu to zapewne pozostałości stert jakichś książek.

Sufit otwiera się na niebo, tam gdzie strażacy starali się dać ujście płomieniom, by uniknąć wybuchów z powodu

nagromadzenia dymu. Powinno wtedy padać, myślę. Padało dla Marty, choć to było w Arizonie i w styczniu.

Cała nasza czwórka zaczyna oględziny. Ciało Joelle zostało stąd usunięte, ma się rozumieć, ale wiemy, że jej szczątki znaleziono po lewej stronie resztek łóżka. Zdjęcia przedstawiały jej zwłoki skulone w pozycji charakterystycznej dla ofiar ognia – nogi zgięte w kolanach, ręce w nadgarstkach i łokciach. Wiem, że od żaru i wysychania mięśni i ścięgien członki są przyciągane do tułowia jak u bezwładnej marionetki.

Kształty okopceń, tam gdzie je widać, tworzą szpiczaste V po prawej stronie okna, kończąc się przy podłodze, wśród szerniałych szczątków biurka, które Ressler wskazał jako punkt, gdzie znajdowało się źródło ognia. Wykładzina roztopiła się i spaliła niemal całkowicie, choć w najbardziej odległych kątach można dostrzec ślady jej pierwotnego koloru.

Po dwóch godzinach oglądania tego wnętrza, centymetr po centymetrze, wszyscy czworo pachniemy jak spalarnia. Nie ma żadnych śladów podpalenia ani substancji przyspieszających pożar, który najwyraźniej był przyczyną śmierci panny Swanson. Porucznik Ressler i wydział policji w Lisle mieli wszelkie dane po temu, by dojść do takich wniosków, do jakich doszli.

Ale ja nabieram tylko jeszcze większej pewności, że to była robota naszego obiektu.

Rozdział 24

– A zatem podsumujmy, co wiemy – mówię do swojego zespołu, kiedy siadamy w sali konferencyjnej w chicagowskim oddziale FBI. – Po pierwsze: była jakaś świeczka, która, w ten czy inny sposób, mogła być źródłem pożaru. Po drugie: ogień bardzo szybko ogarnął zasłony i resztę pokoju, aż doszło do wybuchu prawdziwego pożaru i paliło się tam już wszystko. Po trzecie: w domu był alarm przeciwpożarowy, ale nie zadziałał. Po czwarte: jedno okno było otwarte. W pokoju gościnnym po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko sypialni Joelle. W noc pożaru, o pierwszej trzydzieści, na zewnątrz było dwadzieścia osiem stopni i Joelle miała włączoną klimatyzację. Mimo to zostawiła otwarte okno. Po piąte: w całym domu nie znaleźliśmy żadnych innych świec. Joelle chyba nie była wielką entuzjastką ich palenia. Po szóste: niestłuczone szyby nie zostały zbyt mocno osmalone, podobnie jak inne szklane powierzchnie, a kształty okopceń pasują do bardzo gorącego i szybko rozprzestrzeniającego się ognia. To często wskazuje na użycie przyspieszaczy. Jednak nie znaleźliśmy żadnych ich śladów w pobliżu źródła ognia ani też nigdzie indziej. Po siódme: „trójkąt ognia”. Pożar potrzebuje tlenu, paliwa i ciepła. W pokoju Joelle były porozkładane książki, wiele z nich otwartych, a na podłodze leżały papiery. To paliwo. Świeczka stała zapalona na biurku, zbyt blisko zasłony. To jest ciepło. A otwarte okno w pokoju naprzeciwko sypialni Joelle to tlen. I nie tylko. Bo wpadające przez to okno powietrze płynęłoby przez otwarte drzwi w kierunku łóżka, na którym leżało ciało panny Swanson. A ponieważ tam, gdzie trafia nawiew, ogień jest najgorętszy, jej ciało znalazło się w centrum największego żaru i zostało w stosunkowo krótkim czasie niemal doszczętnie spalone, wraz ze skórą, tkanką tłuszczową i większością mięśni. Po ósme: nie wezwano specjalnego zespołu do spraw podpaień, działającego w hrabstwie DuPage. Uznano ten pożar za

nieszczęśliwy wypadek. I nie leży w ich interesie ponowne wszczynanie śledztwa. Sekcja zwłok nie zostanie przeprowadzona, jeśli nie przekonamy kogoś, że jest po temu powód. Lub jeśli nie przejmujemy tej sprawy. Po dziewiąte: są pięćdziesiąt trzy inne pożary, które mają niemal wszystkie wymienione tu cechy. Ze względu na ograniczone w ostatnich miesiącach możliwości, nie byłam w stanie dowiedzieć się, jak stały łóżka w każdej z tych pięćdziesięciu trzech sypialni, ale uzyskałam informacje co do osiemnastu z nich. I okazało się, że zawsze... układ był dokładnie taki sam.

Patrzę wymownie na Booksa, żeby zrozumiał jasno: dotyczy to także pokoju w Peorii.

Odzywa się Sophie:

– Ciekawe, że wszyscy ci ludzie poustawiali sobie jednakowo meble w sypialni, a potem się spalili. Myślę, że to wystarczający powód, by przeprowadzić kilka autopsji. Nie sądzicie?

Może mimo wszystko ta Sophie nie jest taka zła. Polubiłabym ją jeszcze bardziej, gdyby przytyła z piętnaście kilo i zrobiła się pryszczata.

– Zaczniemy więc od tego – mówi Books. – Dowiedzmy się, jak stały łóżka w pozostałych sypialniach. Dokończmy to, co zaczęła Emmy.

Kiwam mu głową.

– I nie ma czasu do stracenia – zaznaczam. – Bo za dwa dni Święto Pracy. A jeśli nasz obiekt będzie trzymał się swojego schematu działania, to oznacza, że znów się uaktywni w trasie. I zacznie zabijać dwie osoby tygodniowo.

Rozdział 25

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 7
1 września 2012

Dobry wieczór, uczniowie. Dziś nie będę odpowiadał na wasze pytania. Chcę powiedzieć kilka słów o kłamstwie, istotnej składowej portfolio każdego szanującego się artysty. Kłamstwa są fascynujące, bo obnażają paradoksy naszego społeczeństwa.

Czym jest kłamstwo? To wypaczanie rzeczywistości, przedstawiane jako prawda. Mówimy, że jest złe. Uczymy dzieci, że nie wolno kłamać. Nawet wtrącamy ludzi do więzienia za to, że kłamią. A jednak żyjemy wśród kłamstw i często nawet nie próbujemy się z tym kryć.

Reklama telewizyjna z radosną rodziną opychającą się frytkami i hamburgerami pod okiem wesołego klauna? Wszyscy wiemy, że to aktorzy, którym płaci się za odgrywanie szczęśliwej rodziny. Wcale się dobrze nie bawią. Prawdopodobnie musieli powtarzać tę scenę ze dwadzieścia razy, są zmęczeni, czują już mdłości i ostatnia rzecz, na jaką mają ochotę, to wetknięcie sobie do ust kolejnej frytki. A co z tymi grubymi przepyszными burgerami z reklamy – czy takie dostajemy, kiedy wpadniemy do restauracji? Nic z tego nie jest prawdziwe i my o tym wiemy, ale nam to nie przeszkadza.

Kobiety ubierają się tak, by ukryć swoje mankamenty. Mężczyźni wciągają brzuchy, kiedy te kobiety przechodzą obok. Pracownicy zabawiający się układaniem pasjansa w pracy szybko przełączają widok na ekranie komputera, kiedy pojawia się szef. Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Uczy się nas, żeby nie nazywać grubasa grubym albo kogoś głupiego głupim. To brzydko, powtarzamy dzieciom. Nie mów prawdy, jeśli może to zranić czyjeś uczucia. Tego typu kłamstwa są w porządku, a nawet, w gruncie rzeczy, pożądane.

Nie narzekam, bynajmniej, po prostu mówię, jak jest. Stąd moje podejście. A jest ono następujące: korzystaj z tego pełnymi garściami! Skoro wszyscy inni kłamią, to i ty lepiej kłam, bo nie warto płynąć pod prąd, kręcąc się w kółko i na próżno się szarpiąc. Nikt nie chce miotać się bezradnie w miejscu, prawda?

Jak możecie się domyślać, w kłamaniu jestem mistrzem. Czy inaczej potrafiłbym omotać tych wszystkich łatwowiernych ludzi, żeby wpuścili mnie do swojego życia i zwykle również do swoich domów? Kłamać jest łatwo, ale kłamać dobrze to już wyższa sztuka. Oto mój autorski *Podręcznik kłamania*:

Po pierwsze: nie kłamać więcej, niż to konieczne. Bo przez ten czas, który spędzacie ze swoim obiektem – mogą to być dwie godziny lub dwa tygodnie – musicie żyć z tym kłamstwem. Jeśli chcecie nawiązać bliższe relacje z kimś, kto na przykład jest palaczem, mówiąc mu, że i wy palicie – co, tak przy okazji zaznaczę, działa, bo wszystkich wielbicieli nikotyny łączy jakieś milczące braterstwo – to lepiej, żebyście byli gotowi co parę godzin zapalić. Ja, stosując ten fortel, twierdzę, że zerwałem z nałogiem, ale oczywiście uwielbiam papieroski i może skuszę się na jednego dla towarzystwa, jednak jeśli spędzam więcej czasu ze swoim obiektem, mam dobrą wymówkę, żeby potem już nie palić.

Po drugie: kłamiąc, jak najmniej precyzować. Im mniej konkretów, tym większy margines bezpieczeństwa.

Pozwólcie, że na przykładzie wyjaśnię, o czym mówię. Ten ostatni facet, Curtis Valentine. Znalazłem go bez trudu, bo prowadził firmę projektującą strony internetowe. Pracował w domu w Champaign. Był też na Facebooku. Żeby zaprosił mnie do siebie, posłużyłem się dwoma kłamstwami:

1. Otwieram firmę konsultingową i potrzebuję strony.
2. Wcześniej wynająłem już kogoś do tego celu, ale zostałem wykiwany i tylko straciłem kasę.

Nie mógłbym się umówić z Curtisem, gdybym nie potrzebował jego usług, stąd ta firma konsultingowa. Ale powiedziałem, że dopiero zamierzam ją otworzyć, a nie że ją prowadzę, bo gdyby Curtis sprawdził w internecie i jej nie znalazł, mógłby nabrać podejrzeń.

A po co to drugie kłamstwo? Z kilku powodów. Większość projektantów stron internetowych nigdy nie spotyka się bezpośrednio z klientami. Porozumiewają się telefonicznie albo

mailowo. Ale ja już raz trafiłem na oszusta, więc nic dziwnego, że chcę popatrzeć, co robi ten nowy facet, upewnić się, że tym razem nie zostanę wystrychnięty na dudka. Usprawiedliwiało to również moją niechęć do jego pytań w stylu: „Jakim dokładnie konsultingiem będzie się pan zajmował?”. Byłoby to ostatnie pytanie, na jakie chciałbym udzielić odpowiedzi, bo gdybym oznajmił, że jestem inżynierem mechanikiem albo prywatnym detektywem, mogłoby się okazać, że Curtis studiował na wydziale inżynierii lub jego przyjaciel czy brat jest prywatnym detektywem, a wtedy naprawdę musiałbym się orientować w tych dziedzinach. Tymczasem dzięki kłamstwu numer dwa mogłem ograniczyć się do stwierdzenia: „Wolałbym o tym nie mówić, dopóki nie zdecyduję się na pana usługi”. No wiecie, bo raz się już sparzyłem i tak dalej.

Kłamałem nie więcej, niż to konieczne, i zostawiałem sobie maksimum swobody. Kilka piw w barze. Curtis opowiedział, jak mógłby mi pomóc rozwinąć biznes. Ja zachwycony, ale nieufny po swoim wcześniejszym doświadczeniu. I co słyszę? On sam wpada na pomysł, żeby pójść do niego, to pokaże mi bezpośrednio, jak pracuje.

Jakieś pytania? Dobrze. Klasa może się rozejść. Ale nie odchodźcie daleko, zaraz czeka nas sporo atrakcji!

(koniec)

Rozdział 26

Budynku FBI na Roosevelt Road w Chicago właściwie nigdy się nie zamyka, bo FBI też działa bez przerwy. Ale to Święto Pracy i w dodatku jest już po godzinach, więc niemal wszystkich stąd wymiotło, o ile to w ogóle możliwe. Ósme piętro, gdzie mamy tymczasową siedzibę, jest kompletnie wyludnione.

Nasza czteroosobowa grupa, przekonana (przynajmniej jeśli chodzi o mnie), że nie ma chwili do stracenia, robiła, co w jej mocy, by popchnąć sprawę naprzód, ale jesteśmy tu w sobotę świątecznego weekendu i jak na razie nie mieliśmy okazji skorzystać z żadnego normalnego dnia pracy. Mimo to staramy się kontaktować z odpowiednimi osobami, dzwoniemy do policjantów i szeryfów hrabstw, w których grasował zabójca. Prosimy, by zajrzeli do akt dotyczących „przypadkowego” pożaru i sprawdzili dla nas, jak było ustawione łóżko w sypialni, w której znaleziono zwłoki. Warto byłoby też złapać ekspertów z firm ubezpieczeniowych. Często robią więcej zdjęć niż gliny, bo w końcu chodzi o ich forszę, więc będziemy ich szukali, kiedy pojutrze wszystko zacznie normalnie działać.

Na szczęście komputery nie wiedzą nic o urzędowych godzinach pracy, więc Sophie i ja, analityczki researcherki, próbowałyśmy znaleźć jak najwięcej szczegółów, które mogłyby wskazywać na ustalony sposób działania. Wiemy już (o ile na tym etapie można w ogóle powiedzieć, że coś wiemy), że wybiera osoby mieszkające samotnie i że każda z ofiar korzystała, w większym lub mniejszym stopniu, z portali społecznościowych, czy to z Facebooka, Twittera, LinkedIna, czy z jakichś innych. Ale musi tu być coś więcej. Coś jeszcze musi tych ludzi łączyć. Nikt nie wybiera tak całkiem na chybił trafił.

O dziewiętnastej wstaję, żeby rozprostować nogi, i zaglądam do sąsiedniego pokoju, gdzie stacjonuje Books.

– Dziękuję, panie szeryfie, bylibyśmy ogromnie wdzięczni – mówi i wznosi oczy do nieba, kiedy mnie widzi. – Proszę

dzwonić do mnie bez względu na porę, w dzień czy w nocy... Nawzajem, dobranoc panu.

Odkłada telefon i krzywi się. Dzwonił do ludzi z wyższego szczebla lokalnych jurysdykcji, próbując ich przekonać, by wznowili śledztwa, a przynajmniej by zarządzono sekcję zwłok. Problem w tym, że nawet gdyby FBI przejęło te sprawy, to wszystkie ofiary zostały już pochowane, więc trzeba by występować o sądowy nakaz ekshumacji.

– Powiedział, że poprosi rodzinę, by zgodziła się na ekshumację – mówi Books.

– Ich zgoda nie jest konieczna.

Kiwa głową.

– Ale od tego zacznijmy, bo w ten sposób dałoby się ominąć sąd. W każdym razie mam wrażenie, że on tylko szuka pretekstu, żeby nas splawić. – Ciężko wzdycha. – Te sprawy zostały już dawno zamknięte, niektóre kilka miesięcy temu. Jeśli chcemy sekcji zwłok, będziemy musieli zwracać się do lokalnych sądów o pozwolenie na otwarcie grobu. I wszystko zależy od tego, czy te zechcą nas wesprzeć, co wcale nie jest takie pewne.

– Tak czy owak, będziemy próbować.

– Jasne, ale czy wiesz, ile czasu to zajmie? Kilka tygodni minimum. Dickinson... nie dał nam dość środków.

– Czy mógłbyś wciągnąć w to więcej agentów?

– Paragraf dwudziesty drugi, moja pani.

– Racja – przyznaję.

Nie dostaniemy więcej ludzi, dopóki nie przedstawimy mu jakichś twardych dowodów. A nie zdobędziemy ich szybko bez zwiększenia składu zespołu.

Tymczasem nasz obiekt nadal zabija.

To dlatego nie mogę odpuścić dwóch ostatnich przypadków – Joelle Swanson w Lisle, w stanie Illinois, i Curtisa Valentine'a w Champaign, w tym samym stanie. Nie pojechaliśmy na miejsce zdarzenia w Champaign, jednak detektyw z tamtejszej policji okazał się na tyle uprzejmy, że przesłał mi mailem nagranie wideo. To był dom jednorodzinny, nie szeregowiec, ale poza tym okoliczności śmierci Curtisa Valentine'a uderzająco przypominały te, w których zginęła Joelle Swanson. Pożar zaczął się od sypialni i tam właśnie znaleziono zwłoki. Prawdopodobnym źródłem ognia była

świeczka. Widać te same kształty okopceń i bardzo niewielkie osmalenie, co wskazywałoby na błyskawiczne rozprzestrzenianie się pożaru, choć nie wykryto żadnych śladów przyspieszaczy. Łóżko stało dokładnie naprzeciw drzwi.

Boże, ale sprytny jest ten nasz obiekt. Muszę przyznać, że nawet ja uznałabym to za nieszczęśliwy wypadek, gdybym wiedziała tylko o tym jednym pożarze. A żaden z tamtych śledczych nie ma pojęcia, że niemal ten sam schemat powtarzał się w różnych zakątkach Stanów.

– Widzę, że padasz ze zmęczenia, Em – mówi Books.

– To prawda.

– Skrzyknijmy się i chodźmy coś zjeść w hotelowym barze.

Wzdycham.

– Może jak zmienimy scenerię i pogadamy z dala od telefonów i komputerów, przyjdzie nam coś mądrego do głowy – dodaje.

Chyba ma rację. Może powinniśmy się trochę przewietrzyć, popatrzeć na to bardziej całościowo, urządzić burzę mózgów. Może drzewa zasłaniają nam las.

Zerkam na Booksa, który uśmiecha się do mnie.

– Co? – pytam.

– Jedyne sposoby, żeby nakłonić cię do wspólnej kolacji, to obietnica, że będziemy mówić o sprawie, tak?

Rozkładam ręce.

– A o czym jeszcze można mówić?

Wzrusza ramionami.

– Moglibyśmy pogadać o Chiefsach. W ten weekend zaczynają grać.

Books jest zagorzałym kibicem futbolu. To jego jedyna wada.

– No dobrze, poddaję się. – Books unosi ręce. – Pomówimy o sprawie. Może na coś wpadniemy.

Rozdział 27

Nasz skromny zespół rusza do bistra w chicagowskim Marriotcie, gdzie się zatrzymaliśmy. Books strasznie się napalił na ten lokal, bo podają tu piwo beczkowe z okolicznych małych browarów. Jadąc gdzieś, Books zawsze lubił poznawać lokalne specjały. Jako agent FBI miewał do tego sporo okazji.

Są tu przyćmione światło, ciemne dębowe meble, żółte miękkie siedziska, drewniana podłoga. Pod ścianami zaciszne boksy, stoliki rozrzucone wokół baru. Na przymocowanych do ścian monitorach leci jakiś mecz futbolowy. Books zamawia sobie Domaine DuPage, cokolwiek to znaczy (przypuszczam, że piwo – DuPage to, jak pamiętam, nazwa hrabstwa, w którym została zamordowana Joelle Swanson), Denny bierze coś bezalkoholowego, a Sophie jagodowe mojito.

Wszyscy cieszą się na jedzenie. Dla Booksa to burger, dla Denny'ego kanapka klubowa. Ja zamawiam francuską zupę cebulową, a Sophie sałatkę z gruszką i orzechami pekan. Czy ładne młode kobiety mają w genach skłonność do picia owocowych drinków i skubania zieleniny dobrej dla królików, czyli sałatek z niskotłuszczowym sosem? Dlaczego Sophie nie może choć raz złamać tej zasady i wydudlić kufła piwa, opychając się nachos z topionym serem, który ściekałby jej po brodzie?

Wspomniana tu Sophie siada przy naszym kwadratowym stoliku, jak odnotowuję, obok Booksa i przysuwa do niego swoje krzesło. Spija każde słowo z jego ust, gdy on zabawia nas opowieścią o jakiejś akcji. Agenci specjalni potrafią sypać anegdotami jak z rękawa – dziwaczni świadkowie, głupie wpadki, charyzmatyczni przestępcy, których złapali. Ja już większość tych historii słyszałam. Najbardziej lubię tę, jak to kilkanaście lat temu Books pomógł federalnym w ujęciu zbiega. Działo się to w Marylandzie. Wyważył drzwi frontowe domu, ale potknął się o wieszak, który runął i tak walnął go w głowę, że

Books stracił przytomność. Reszta agentów musiała uważać, żeby na niego nie nadebrać, wdzierając się do środka. Później mówili, że przynajmniej „świetnie blokował drogę”.

Sophie pyta:

– Czy kiedykolwiek tropiłeś seryjnego zabójcę?

A on zbywa to krótkim:

– Och, pracowałem przy paru śledztwach, jasne.

Jedno z nich prowadził, kiedy zerwaliśmy zaręczyny. Złapał mordercę, a potem odszedł z FBI. Reginald Trager, który zgwałcił i zamordował wiele młodych kobiet w Portlandzie, miał zwyczaj odcinać im głowy.

– Na przykład sprawa Freddy’ego Maczety – mówię, bo wiem, że Books sam tego nie powie.

Denny Sasser pociera brodę.

– Pracowałeś przy tej sprawie?

– Wierz mi, to nie było tak fascynujące, jak by się mogło wydawać.

Choć Books lubi opowiadać różne historie, to zwykle przedstawia się w żenujących sytuacjach. Nie należy do tych, którzy się puszą. To jedna z pierwszych rzeczy, które zauważyłam, kiedy poznaliśmy się cztery lata temu. Tak znakomicie rozszyfrował schemat działania grupy napadającej na banki w Wirginii, że jego zespół spokojnie czekał na złodziei, kiedy ci napadli na spółdzielczą kasę pożyczkową w Arlington. Analitycy w zespole wiedzieli, że to zasługa jego zdolności dedukcyjnych, ale on wszystkim dokoła gratulował sukcesu, a nawet przeszedł się po biurze i zostawił każdemu z analityków kartkę z osobnym podziękowaniem za pomoc i pochwałą za konkretny wkład w akcję. Szeregowi pracownicy doceniają takie rzeczy. Większość agentów specjalnych kompletnie o nas zapomina, kiedy tylko rozwiążą swoją zagadkę.

Reginald Trager, nazwany przez prasę w Portlandzie „Freddym Maczetą”, był bezrobotnym malarzem pokojowym, który stracił mieszkanie za długi i najwyraźniej kompletnie mu odbiło. Oszalał. Jego ofiarą padło pięć czy sześć kobiet, nie pamiętam dokładnie. Potem okazało się, że już wcześniej miał symptomy choroby psychicznej i dostał wyrok za usiłowanie gwałtu.

– Czy on sam wymyślił sobie taki pseudonim? – pyta Sophie. – Zostawiał jakieś wiadomości czy coś w tym rodzaju? Chciał być sławny?

Nie umiem powiedzieć, czy ona flirtuje z Booksem, czy to zawodowa ciekawość. Może Sophie stara się po prostu chłonąć wiedzę płynącą z doświadczeń starszych kolegów. I oto nasuwa się pytanie: dlaczego tak mnie to rusza?

Books kręci głową.

– Reggie Trager nie byłby zdolny zostawiać wiadomości czy szukać rozgłosu. Był chory psychicznie. Klasyczny zboczeniec, sadystyczny psychopata. Bił kobiety, obcinał im głowy i odbywał stosunki seksualne.

– W tej kolejności? – Sophie aż się wzdryga.

– Tak. Uprawiał seks z ciałami bez głów. Ten gość był prawdziwym potworem.

– A jakiego rodzaju seks... zresztą nieważne – mówi szybko Sophie. – Nie chcę wiedzieć.

– Nie, na pewno nie chciałybyś wiedzieć.

Ale ja wiem. Jestem prawdopodobnie jedyną osobą, która wie, poza członkami zespołu, który złapał tego potwora. Szczegółów nie podano do wiadomości publicznej, a proces Reggiego Tragera jeszcze się nie odbył, więc w gruncie rzeczy są to na razie informacje poufne.

Akty seksualne polegały na gwałcie waginalnym. Ale on nie używał swojego penisa. Używał maczety. Ostrze przechodziło gładko przez macicę i okrężnicę, na wylot, aż przez pośladki. Jedyna pocięcha, że te kobiety już nie żyły, wcześniej zostały pozbawione głów.

Books pociąga z kufła łyk piwa o karmelowej barwie. Pewnie jednak miło mu, że jest w centrum uwagi. Nie mogę mieć mu tego za złe. Jeśli się odchodzi z FBI, to fajnie zakończyć karierę taką sprawą jak tamta.

Popijam wodę, bo nie mam ochoty na alkohol, i pozwalam Booksowi pogrzać się chwilę w blasku chwały. Ale to nie w jego stylu. I przyłapuję go na tym, że patrzy na mnie.

– Emmy chciałyby porozmawiać o naszej sprawie – mówi. – Od czego zaczniemy?

– Od charakterystyki. Ciekawa jestem, jak z twojego punktu widzenia wygląda profil naszego obiektu.

Rozdział 28

Po kolejnym łyku Books na chwilę zaciska wilgotne od piwa wargi.

– Nie potrafię powiedzieć – powtarza to, co mówił mi już kilka razy.

Przez „kilka razy” rozumiem, że dzień w dzień, odkąd wciągnęłam go w tę sprawę. Zwraca się do Sophie, swojej wdzięcznej uczennicy:

– Zanim zaczniesz się poważnie pracować nad profilem przestępcy, trzeba oczywiście najpierw ustalić, jakiej...

– ...zbrodni dokonano – kończę za niego. – Ale, Books, przyjmijmy, że to są morderstwa. Morderstwa, których ślady zostają zatarte przez podpalenia. Jaki byłby ten profil? Wiem, że masz swoją koncepcję.

Nie zaprzecza, ale znów zwraca się do Sophie:

– Profilowanie to dziedzina sztuki, nie nauki ścisłe. To nie tak, że można wrzucić fakty do bębna, pomieszać je i wyjąć gotową charakterystykę. Trzeba dokładnie przyjrzeć się miejscu zbrodni, przesłuchać ofiary, jeśli to możliwe... Zrobić mnóstwo rzeczy, których my tu nie zrobiliśmy. A nawet jeśli przeprowadzi się wszystko jak należy, to i tak bardzo łatwo się pomylić.

– A ty bardzo się pomyliłeś przy profilowaniu Reggiego Tragera, „Freddy’ego Maczety”? – pyta Sophie przymilnym głosem.

Jeśli dalej będzie się tak wdzięczyć do Booksa, chyba sama rozejrzę się za maczetą.

– No właśnie, to dobry przykład – mówi Books, jakby miał ją zaraz pogłaskać po główce. Nie jest ślepy. Podoba mu się jej uroda lalki Barbie i widzi, jak ona na niego patrzy. – Mieliśmy możliwość badać miejsca zbrodni i ciała ofiar. Stało się dla nas jasne, że on nie morduje według jakiegoś ścisłego planu. Nie zachowywał ostrożności i nie było żadnej logiki w tym, jak

wybierał swoje ofiary. I w ogóle nie starał się zacierać śladów. Jego ofiary były okrutnie okaleczone, zgwałcone, miały obcięte głowy. Wszystkie białe, tuż po dwudziestce, same blondynki. Na podstawie tego stworzyliśmy profil. Uznaliśmy, że sprawcą jest chory psychicznie człowiek, który zabija pod wpływem impulsu. Biały mężczyzna w wieku dwudziestu, trzydziestu lat. Samotnik. Nie ma przyjaciół, nie gada z sąsiadami, nie nawiązuje kontaktów towarzyskich. Wychowywał się w rodzinie, w której był surowo karany, prawdopodobnie przez matkę. Możliwe, że wyleciał ze szkoły średniej. Nie miał poważnych związków z kobietami i raczej jest impotentem. Bezrobotny albo pracownik fizyczny. Ostatnio mogło przydarzyć mu się coś przykrego, może wylali go z pracy albo opuściła go kobieta. Snuje brutalne fantazje na temat kobiet i nie potrafi tego kontrolować. Mieszka gdzieś w promieniu kilometra czy dwóch od swoich ofiar. I zapewne nie ma na imię Freddy.

Sophie nagradza go promiennym uśmiechem. Ach, ten Books, co za czaruś się z niego zrobił.

– A dlaczego pomyślałeś, że on mieszka blisko swoich ofiar? – pyta.

– Mordercy, którzy działają bez planu, zwykle nie jeżdżą samochodem. Są zbyt pochłonięci swoimi rojeniami. Nie wybierają starannie ofiary, nie jadą na miejsce, by popełnić zbrodnię, a potem wrócić do domu. Nie, oni zabijają spontanicznie.

– No dobrze, rozumiem. – Sophie jest urzeczona profesorem.
– To w czym się pomyliłeś?

– Och, po pierwsze, on nosił przy sobie narzędzie zbrodni. Większość działających pod wpływem impulsu zabójców posługuje się tym, co znajdują pod ręką. Nie chodzą z bronią, gotowi do ataku. A Reggie nosił tę maczetę pod swoim długim czarnym płaszczem i nigdy nie zostawiał jej na miejscu zbrodni. Po drugie, brał sobie coś na pamiątkę po każdej z ofiar. To nietypowe dla spontanicznych zabójców, którzy najczęściej po prostu mordują i uciekają... Ale najważniejsze – dodaje po chwili – że jego ostatnia ofiara wcale nie została wybrana na chybił trafił. Była tą samą kobietą, którą próbował zgwałcić lata wcześniej, za co go skazano. Na pewno więc tym razem działał według planu. Tak naprawdę właśnie ta sprawa pomogła nam

go złapać. Po napadzie na ostatnią ofiarę prosty wywiad środowiskowy naprowadził nas na trop gościa, który zaatakował ją poprzednio, a który akurat mieszkał siedem przecznic od niej. Kiedy go docisnęliśmy, odkryliśmy, że ma maczetę i wszystkie te pamiątki.

– Jakże? – pyta Sophie, cała w wypiekach.

– Tego też raczej nie chciałybyś wiedzieć – stwierdza Books.

– Chcę. Nie daj się prosić.

– Zbierał ich języki – mówię. – Wycinał je i trzymał pod łóżkiem, w pudełku po butach.

Strasznie mi przykro, że psuję jej apetyt. Przydałby się jej pożywny posiłek.

– W każdym razie – dorzuca Books, chrząkając – chodzi mi o to, że nie jest tak, że nakreśliśmy sobie idealną charakterystykę Reggiego Tragera i go ujęliśmy. To był czysty przypadek. Popęłił wielki błąd, atakując drugi raz tę samą osobę. Równie dobrze mógłby nam wysłać pięknie wydrukowane zaproszenie.

– Ale to nie znaczy, że profilowanie nie jest pomocne – wtrącam. – I nie znaczy, że nie wyrobiłeś sobie jakiejś opinii o naszym obiekcie.

– Nie, Emmy. Muszę wiedzieć więcej.

– To powiedz mi jakąś jedną rzecz o nim, Books – proszę. – Jedną jedyną. Tylko nie mów, że jest pedantyczny i wysoce zorganizowany, bo to akurat chyba wszyscy widzimy.

Przyparty do muru Books kręci głową.

– Jedną rzecz – naciskam.

– On jest coraz lepszy – mówi wreszcie. – Zorganizowani mordercy poprawiają i doskonalą swoje metody działania z każdą kolejną zbrodnią. Nasz obiekt prawdopodobnie od początku był już niezły. Ale jeśli naprawdę istnieje, jeśli jest ktoś taki, kto morduje i podpala miejsca zbrodni, pozorując przypadkowe pożary, to doprowadził swoje hobby do perfekcji. – Books wzdycha. – Nie poda się nam na tacy jak Reggie Trager. Nie tylko będziemy potrzebowali współpracy policji, ale też przyda się nam sporo szczęścia.

– Mój Boże! – Odsuwam krzesło od stołu. – Trafiłeś w samo sedno, Books.

– O co chodzi? Coś ci się skojarzyło z tym „szczęściem”? Daj spokój, wiedziałem, że jestem dobry, ale żeby zaraz...

Już nie ma mnie przy stole. Idę szybko, zaczynam biec, aż wreszcie wskakuję do pierwszej taksówki, jaką udaje mi się złapać.

Rozdział 29

Znów jestem w biurze na Roosevelta, stukając w klawiaturę komputera i analizując dane, kiedy Books zagląda do środka.

– Emmy, masz talent do dramatyzowania – mówi. – Zechcesz wyjaśnić, co ci strzeliło do głowy? Przecież nic takiego nie powiedziałem. Tyle tylko, że nasz obiekt jest coraz lepszy w tym, co robi.

– Nie musiałeś mówić nic więcej.

Mój wzrok pada na dużą mapę Stanów Zjednoczonych. Teraz jest na niej pięćdziesiąt pięć gwiazdek oznaczających miejsca pożarów. Trzydzieści dwie są czerwone – wskazują serię pożarów, która zaczęła się mniej więcej rok temu, a skończyła na początku stycznia, tym u Marty.

– Gdzie zdarzył się pierwszy pożar? – pytam.

– Pierwszy... przyznam, że chyba nie pamiętam – mówi.

Nie utrzymał sobie tych wszystkich szczegółów tak mocno jak ja.

– Na Florydzie. W Atlantic Beach – podpowiadam. – To było ósmego września dwa tysiące jedenastego roku. Tak zaczęła się jego szaleńcza trasa po kraju, trwająca od września do stycznia, zanim wrócił na Środkowy Zachód.

– No dobrze, i co z tego?

– A skąd wiadomo, że to było jego pierwsze zabójstwo?

– Fakt, tego nie wiemy na pewno – przyznaje Books. – Ale przecież sprawdzałaś wcześniejsze doniesienia i nie znalazłaś innych pożarów, które pasowałyby do tej wyjątkowej charakterystyki. Pojedyncza ofiara, znaleziona w miejscu, gdzie pojawił się ogień, w sypialni, z pozoru nieszczęśliwy wypadek...

– No właśnie – mówię. – Ale może było też coś, co nie zostało uznane za przypadkowe? Tego nie szukałam. Takie sprawy po prostu pominęłam. Bo nie pasowały mi do wzorca.

– W porządku... i co z tego wynika?

Dalej stukam w klawiaturę, przeglądając bazę NIBRS, do której z domu, zawieszona w obowiązkach, nie miałam dostępu. Kolejne dane migają po ekranie, jakby tańczyły, muszę uważać, żeby w tym tempie czegoś nie przeoczyć. Kiedy krew krąży szybciej, a materiałów jest taka masa, przypomina to poszukiwanie skarbu, zgłębianie wielkiej tajemnicy. Czuję, że gdzieś tutaj kryje się właściwy trop.

– Myślę, że miałaś rację, że on jest coraz lepszy. Możliwe, że na początku swojej morderczej trasy nie był aż tak dobry.

– Aha. Rozumiem. Może przy pierwszym pożarze nie udało się mu do końca zatrzeć śladów. I niewykluczone, że ten przypadek zakwalifikowano jako podpalenie.

– No właśnie.

I dlatego tak dobrze mieć dostęp do tej bazy, gdzie odnotowane są podpalenia i pożary, których przyczyny były podejrzane.

– Założę się, że coś sknocił przy pierwszym pożarze – mówię.

– A może spaprał więcej niż jedną taką robotę.

– I w takim razie co? Przesiewasz wszystkie pożary na terenie całych Stanów, przed tym pierwszym w Atlantic Beach?

– Nie szukam po całym kraju. Doszliśmy do wniosku, że mieszka na Środkowym Zachodzie, prawda? Zaczynam od tego rejonu.

Stojący za mną Books milczy. Wreszcie oglądam się na niego.

– To gigantyczna praca, Em. Nawet jeśli zawężysz to do Środkowego Zachodu, masz tony danych do przejrzenia. Chcesz zacząć teraz? Jest już jedenasta.

– Wyśpię się po śmierci – mówię. – Albo kiedy dorwiemy tego gościa.

Rozdział 30

Biorę się do roboty, ale Books jakoś nie wychodzi, zatrzymał się w progach.

– Co? – pytam.

– Mieliśmy... zamierzaliśmy właśnie wybrać się na drinka.

Ściska mnie w dołku. To coś nowego dla Booksa. Kiedy był na etacie w FBI i prowadził śledztwo – w którym czasie naprawdę się liczy, a stawką jest ludzkie życie – ostatnie, na czym można byłoby go przyłapać, to picie alkoholu. Napięty jak struna, skupiony bez reszty, wciąż na nowo analizował materiał dowodowy. Zdarzało się, że kiedy byliśmy razem i siedział obok lub naprzeciwko mnie przy stoliku, czułam wyraźnie, że myślami jest daleko – próbuje odgadnąć, co dzieje się w głowie potwora, zastanawia się nad przyjętymi założeniami, usiłuje spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, jakby zamykał to jedno, to drugie oko i sprawdzał, czy to zmienia obraz całości. Pamiętam, jak kiedyś byliśmy w kinie i z jakiegoś powodu popatrzyłam na niego w trakcie projekcji. Na jego twarzy mignęło światło, bo akurat na ekranie zmieniała się scena. Szeroko otwarte oczy Booksa błyszczały i wiedziałam, że gdyby w nie zajrzeć, to okazałoby się, że wcale nie oglądają filmu, tylko odgrywają sobie od nowa scenę zbrodni popełnionej w Alamedzie, Nowym Orleanie czy Terre Haute.

A teraz polujemy na mordercę i on chce iść na drinka. Nietrudno zgadnąć, co się stało.

„Zamierzaliśmy właśnie wybrać się na drinka”. My. Ale to nie oznacza, że ze mną. I choć polubiłam nawet Denny’ego Sassera, nie sądzę, by miał ochotę balować po jedenastej wieczorem.

Books ma pełne prawo to robić, upominam siebie. Jest singlem, podobnie jak Sophie.

Sama go rzuciłaś. Jesteś ostatnią osobą pod słońcem, która miałaby prawo się go czepiać.

I czy nie masz nic lepszego do roboty? Przecież znalazłaś się tu, żeby powstrzymać zabójcę. Nawet jeśli tylko ty rzeczywiście wierzysz, że ten morderca naprawdę istnieje.

– No to idźcie – mówię, nie zwalniając tempa pisania. – Ja wolę popracować.

– Na pewno nie masz ochoty dołączyć? A może zostanę i ci pomogę?

– Nie, nie, dam sobie radę – zapewniam. – Czasem idzie mi lepiej, kiedy jestem sama i mogę się skupić.

Jeśli kiedykolwiek powiedziałam prawdę, to właśnie teraz. Lepiej czuję się sama. Jestem wtedy bardziej swobodna. Powinnam być sama. Te liczby i statystyki, schematy, odnośniki i dane, te próby wyłapania tropów to jedyne towarzystwo, jakiego mi trzeba.

Oglądam się i słucham, jak kroki Booksa oddalają się po wykładzinie korytarza, aż w końcu milkną. Wtedy zabieram się z powrotem do pracy.

Rozdział 31

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 8
4 września 2012

Dzień dobry wszystkim. Właśnie jem sobie pysznego burgera – krwistego, oczywiście – z frytkami i oglądam stary mecz futbolowy na kanale ESPN Classic. Używam dyktafonu, udając, że to komórka, jak robię zawsze w miejscach publicznych, takich jak ta tawerna. Nie planowałem dziś wieczorem żadnego wykładu, ale oglądając ten mecz, stwierdzam, że nadarza się nam, jak to mówią, idealna okazja do lekcji.

Zastanawiałem się, na ile moja sztuka przypomina akcje rozgrywającego. Wiem, wiem, wyobrażacie sobie jednego z tych twardzieli z plakatów, jak Peyton Manning czy Tom Brady, i myślicie: „A cóż oni mają, do licha, wspólnego z artystą zbrodni takim jak Graham?”.

Każdy może kiepsko grać w piłkę, tak jak każdy może dźgnąć nożem kilku ludzi albo nacisnąć spust czy przytrzymać kogoś pod wodą. Ale żeby stać się najlepszym, osiągnąć szczyty, trzeba wyrzeczeń, poświęcenia, dyscypliny, pokory i przygotowań. Człowiek musi się przełamywać, karcie samego siebie, analizować, poznawać swoje słabości i jednocześnie starać się je eliminować. A te, których wyeliminować się nie da, należy przynajmniej sprowadzić do minimum. Trzeba stworzyć sobie plan na podstawie swoich mocnych stron, tak by nasze niedostatki nie miały znaczenia. Nie wystarczy sama wola zwycięstwa. Każdy go pragnie, na Boga. Ale jedynie garstka z nas jest gotowa pracować nad sobą tak, by zwyciężyć. Przejść przez to, co trudne, nieprzyjemne, bolesne.

Trzeba dziś robić to, czego nikt inny nie robi, żeby jutro osiągnąć coś, co jest nieosiągalne dla innych.

Poza tym jest oczywiście jeszcze ten ostateczny sprawdzian dla rozgrywającego – zmiana zagrywki. Odstąpienie od pierwotnego planu. Rzut oka na sytuację i błyskawiczne podjęcie decyzji o innej akcji. I to jest to, co zamierzam teraz zrobić.

Bo właśnie miałem przyjemność poznać Luthera. Luther Feagley siedzi przy barze, zaledwie dwa stołki ode mnie, ze śliczną dziewczeczką o imieniu Tammy. Luther nie zdobyłby żadnych nagród za inteligencję czy klasę. Ani za swój strój, składający się z szarego podkoszulka z napisem: „Nie pieprz się z Huskersami” i workowatych szortów. Ale za to gada jak najęty ze swoją damą, Tammy, o zasadach futbolu, a ona najwyraźniej niewiele wie na ten temat i uznaje każde jego słowo za święte, choć bystrzejsi faceci, tacy jak ja, od razu widzą, że gość ściemnia.

Zaznaczę, że dziś wieczorem miałem ochotę jedynie na burgera i mecz. Jestem w drodze do miejsca, gdzie realizuję nowy projekt. Nie snułem żadnych planów co do Luthera czy Tammy, czy kogokolwiek innego w tym barze. Ale dobry gracz podejmuje decyzję na gorąco, jeśli dostrzeżę okazję. Kiedy tylni obrońcy się zbliżają i robi się niebezpiecznie, rozgrywający biegnie prosto do pola punktowego, prawda?

Oczywiście. A Luther i Tammy są zbytnią pokusą, żeby ich tak sobie odpuścić. Luther, bo nie potrafi się zamknąć, do cholery, i bez końca nawija na temat, o którym nie ma zielonego pojęcia, wbrew temu, co mu się zdaje. Poza tym podobają mi się te jego fajne duże rzepki kolanowe, pewnie bardzo wrażliwe na dotyk. A Tammy, bo pod tymi rudymi lokami kryje się ładna krągła główka. I mam przeczucie, że jej mocny, gardłowy głos na pewno zabrzmiałby rozkosznie, jak będzie błagała o litość.

Tak, decyduję się na zmianę zagrywki.

Muszę lecieć, moi drodzy. Czas poudzielać się towarzysko.

(koniec)

Rozdział 32

Jestem w mieście Aurora, w stanie Illinois. W kuchni, gdzie siedzę, jest tak cicho, że słycać szum lodówki i kapanie wody do zlewu. Gretchen Swanson, drobniutka pani, nieco zgarbiona, ma pooraną zmarszczkami twarz, gęste, kręcone, starannie uczesane włosy, bielutkie jak u Świętego Mikołaja. Jej oczy wypatrują czegoś daleko za oknem i dużym podwórzem. Nie wiem, czy zastanawia się nad tym wszystkim, co jej powiedziałam, czy po prostu myśli o córce, która pewnie kiedyś kołysała się na tej huśtawce, z której odpada teraz farba, i bujała się na oponie, nadal zwisającej z konara wielkiego dębu.

Kuchnia jest jasno oświetlona, ale wszystko spowija jakiś mroczny welon, jakby coś zepsutego skaziło ten niegdyś tętniący życiem dom, nadając pomalowanym na jaskrawożółto ścianom bury odcień, zmieniając promienną serdeczność Gretchen w rezerwę i rozpacz. Pamiętam, jak sama czułam się po śmierci Marty. Każda piękna rzecz wydawała mi się nieprzyzwoita. Jak cokolwiek może być błyszczące i śliczne, myślałam, pośród tego bólu i cierpienia. Jak ci ludzie, chodzący ulicami, mogą śmiać się i uśmiechać. Jak to niebo ma czelność być tak cudownie błękitne.

Wracam spojrzeniem do kuchennego stołu i aż zrywam się z krzesła na widok ogromnego karalucha. Dopiero kiedy znów siadam, uświadamiam sobie, że nie jest prawdziwy. To tylko porcelanowa figurka. Kto trzyma w domu takie ozdóbki?

– Przepraszam – mówi Gretchen. – Mamy go od lat. Joelle go uwielbiała. Ona... – Gretchen znów patrzy w przestrzeń. – Kiedy była dzieckiem, słyszała taką piosenkę, *La Cucaracha*. Zna ją pani? *La Cucara-CHA, La Cucara-CHA?*

– No pewnie – potwierdzam z uśmiechem.

– Ona usłyszała ją kiedyś w radiu. Miała trzy, może cztery lata. Zaczęła tańczyć i próbowała strzelać palcami do rytmu. Jak te jej blond loczki podskakiwały... – Twarz Gretchen na moment

się rozpromienia. – Mój mąż, Earl, nazywał ją odtąd swoją malutką „cucarachą”. Nie umiała jeszcze tego wymówić. Wychodziło jej „ku-ku-lu-cia”, „jestem twoja ku-ku-lu-cia”.

Na tę myśl, słodką i bolesną zarazem, Gretchen prawie się uśmiecha. A ja staram się zdławić własne wspomnienia – z godzin tuż po otrzymaniu wiadomości. Jak czekałyśmy z matką na lot do Phoenix, ona piła jedną Krwawą Mary po drugiej, a samolot miał opóźnienie. Przez cały czas zastanawiałam się, czy to nie jakaś pomyłka, łudziłam się, że jest jeszcze cień nadziei, że moja siostra dokądś się wybrała, a u niej spał ktoś inny, że spalone ciało to nie ona, że kiedy dotrzemy wieczorem do jej domu w Peorii, pojawi się, ubrana na sportowo, z plecakiem, i pyta: „Co wy tu robicie? Czy coś się stało?”.

Teraz nie mam śmiałości się ruszyć, poza tym, że grzechoczę kostkami lodu w stojącej przede mną szklance lemoniady. Ledwie daję radę oddychać.

Gretchen zamyka oczy i w milczeniu kręci głową. Już wiem, że to jedyne, co można zrobić w takiej żałobie. Taka tragedia zwala z nóg, jest nie do pojęcia, a wszelkie próby odnalezienia w niej jakiegoś sensu skazane są na porażkę. Można tylko kręcić głową i płakać.

– No dobrze, Emmy, zgoda – mówi, choć nie dostrzegam ruchu jej warg.

Ja też zamykam oczy i odmawiam cicho modlitwę. A potem podsuwam jej papiery i podaję pióro. Dziękuję jej długim, serdecznym uściskiem, który kończy się łzami nas obu.

Kiedy jestem już na zewnątrz, klikam w telefon i łączę się z zastępcą prokuratora stanowego hrabstwa DuPage, niejakiem Fellerem, z którym kontaktowałam się wcześniej.

– Matka Joelle Swanson właśnie wyraziła zgodę na ekshumację – mówię, trochę przerażona radością w swoim głosie.

Pracowałam nad tym facetem intensywnie przez ostatnie dwa dni, aż wreszcie udało mi się wymóc na nim obietnicę, że jeśli uzyskam zgodę matki na ekshumację, ich patolodzy przeprowadzą sekcję.

Kiedy kończę rozmowę, znów dzwonię, tym razem do prokurator hrabstwa Champaign, Lois Rose, która przyjmuje mój telefon z takim entuzjazmem, jakby to był kamień nerkowy.

– Hrabstwo DuPage zdecydowało się na ekshumację Joelle Swanson – mówię. – A ten wasz Curtis Valentine jeszcze nawet nie został pogrzebany.

– Wszystko dzięki tobie, Emmy – przypomina.

Rodzina Valentine'ów zorganizowała wczoraj w Champaign mszę żałobną za Curtisa. Trumna oczywiście była zamknięta. Jednak pod moim naciskiem bliscy zmarłego zgodzili się wstrzymać kilka dni z pochówkiem.

– Daj spokój, Lois. Jeśli w DuPage zdecydowali się nawet rozkopać grób, to dlaczego wy nie możecie przenieść zwłok z domu pogrzebowego do kostnicy?

Urywam, przestraszona swoim bezdusznym określeniem „zwłoki”. Moja siostra też była „zwłokami”.

Lois Rose sapie zirytowana i ostentacyjnie wzdycha do słuchawki.

– Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że jesteś cholernie uparta?

– Zdarzyło się raz, może dwa.

– Jeśli każę naszym patologom przeprowadzić sekcję, przestaniesz do mnie wydzwaniać?

Naprawdę się śmieję. A kiedy kończę tę rozmowę, zatrzymuję mój wynajęty samochód i zaciskam pięści tak mocno, że aż boję się, czy nie połamię sobie palców.

– Nareszcie – szepczę.

Nareszcie będzie sekcja – a właściwie dwie – i zyskamy dowód, którego nam trzeba, by zmusić chłopaków z budynku Hoovera do przydzielenia nam większego zespołu, mocnego oddziału, żebyśmy dorwali tego potwora.

Rozdział 33

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 9
5 września 2012

No dobra, w ten wieczór muszę przedyskutować z wami coś ważnego.

Myślałem, że to może poczekać, ale nie. Podczas naszego ostatniego, wczorajszego, spotkania byłem w barze w Grand Island, a na kanale sportowym ESPN Classic leciał mecz sprzed dwóch lat, w którym grali Houston Cougars. Pewnie pamiętacie, że wspominałem faceta o imieniu Luther. Luther Feagley siedział dwa stołki ode mnie, z tą ślicznotką, której chciał zaimponować, Tammy Duffy, kojarzycie? W każdym razie po tamtej naszej sesji Luther zaczął tej dziewczynie pleść o sprytnym sposobie ataku, stosowanym przez Cougarsów, nazywanym „bieg i strzał”. Profesorskim tonem, jakby wszystkie rozumy pozjadał, wyjaśniał jej, że taka akcja wymaga czterech skrzydłowych z rozgrywającym, który rzuca piłkę przy każdej próbie.

Możecie więc zrozumieć, że trochę mnie to wkurzyło.

Cougars nie prowadzili ofensywy tego typu. To był atak rozproszony. A to spora różnica. Tak naprawdę wiele różnic.

Strategia „bieg i strzał” została opracowana, by zwiększyć możliwości rozgrywającego – w tym chodzi właśnie o bieg. Zwykle rozgrywający rzuca się naprzód albo nagle atakuje róg, co umożliwia mu szybkie ruchy. A skrzydłowi robią swoje w zależności od pozycji obrony. Jest to więc bardzo dynamiczna forma ataku, wymagająca biegania.

(Uwaga spisującego: w tle słychać stłumiony, piskliwy głos mężczyzny, jakby zakneblowanego, próbującego coś powiedzieć).

Cicho bądź, Luther, nie mówię do ciebie. Czy wygląda na to, że mówię do ciebie? Mówię o tobie. To nie to samo co mówienie do ciebie. Rozumiesz różnicę, Luther?

Przepraszam. Mój przyjaciel musi nauczyć się dobrych manier. Wracając do sprawy: atak rozproszony. Nie ma w tym nic magicznego. Po prostu rozstawia się swoich skrzydłowych po boisku, by trzymali na dystans obronę i torowali ci drogę. Nie wymaga to szczególnej finezji.

Próbowałem więc najpierw grzecznie. Wyjaśniłem panu Lutherowi Feagleyowi, jaka to była zagrywka, a ten stypendysta Rhodesa z Oksfordu, uczony od siedmiu boleści, wielce kulturalny inteligent, czcigodny mędrzec, który niesie maluczki kaganek oświaty, postanawia mnie potraktować jak pierwotniaka. Wiesz, na czym polegał twój błąd, Luther? Wiesz? Jeśli zgadniesz, oddam ci twoje zęby. No, przynajmniej niektóre. Górne.

Nie? Denerwujemy się trochę, co? Twój błąd polegał na tym, że obraziłeś kogoś, kogo nie znasz. Wyglądałem na miłego, normalnego, nieszkodliwego gościa, co?

Zaraz odłożę dyktafon... nie, chwila, przypnę go sobie do wiatrówki... dobra, fajnie, nadal możecie mnie słyszeć... teraz chodź tu, kochana...

(Uwaga spisującego: stłumione krzyki kobiety słychać do końca tego nagrania).

Jesteś... cięższa, niż... myślałem... o tutaj. Uff!

No dobrze, panno Tammy Duffy, trochę się zabawimy. Ale najpierw... ułożę cię... trochę wygodniej. No przestań, nie szarp się ze mną... (niezrozumiałe) ...nie będzie przez to łatwiej.

Mówię ci, Luther, nie spodziewałem się takiego zwrotu akcji. Miałem wieczorem zjeść sobie burgera w barze, pooglądać stare mecze futbolowe i wesoło ruszyć dalej w drogę. Ale na gorąco zmieniłem plan, ogłosiłem zmianę zagrywki, bo jesteś takim skończonym dupkiem.

Dam ci wybór, profesorze od dynamicznego ataku. Mogę zabić najpierw ciebie albo możesz popatrzeć sobie z pierwszego rzędu na to, co zrobię Tammy, zanim zajmę się tobą.

Trudna decyzja? No dobra, wobec tego masz miejsce w pierwszym rzędzie. Dla ciebie to chyba korzystne, bo daje ci dodatkowe pół godziny życia. Wszyscy się go tak rozpaczliwie czepiacie, prawda? Do ostatniego tchu.

Ale kiedy będziesz oglądać, co robię Tammy, może pożałujesz tej decyzji.

(koniec)

Rozdział 34

Odrywam się od komputera i patrzę na zegar. Jest już po piątej. Gdzie one są? Przytupuję nerwowo. Trudno mi się skupić. Powinnam przedzierać się przez morze danych z bazy NIBRS, wyszukując niewyjaśnione przypadki podpaleń lub budzące podejrzenia pożary, ale nie mogę się skoncentrować, teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko. Oba hrabstwa, Champaign i DuPage, obiecały mi przesłać wyniki sekcji do piątej rano. Piąta minęła i co? Ludzie!

Idę do pokoju Booksa. Po drugiej stronie biurka siedzi Sophie Talamas. Nachyla się, żeby mogli prowadzić cichą rozmowę. Oboje z łokciami na blacie, głowa przy głowie. Z mowy ich ciała można odczytać jakąś bliskość, subtelną zażyłość, która ich łączy. Nie trzeba mi tego pokazywać palcem. Ślepa małpa zauważyłaby tę chemię między nimi.

Na mój widok gwałtownie odsuwają się od siebie. Każde odchyła się teraz do tyłu. Po wyrazie ich twarzy widać, że nie spodziewali się mnie. Wolałabym szybko wrzucić wsteczny i wyjść z pokoju, ale wtedy sytuacja zrobiłaby się jeszcze bardziej niezręczna.

– Dostałaś już wyniki sekcji? – pyta Books, odzyskując przytomność umysłu.

Kręcę głową i unoszę telefon.

– Przypuszczam, że będą lada chwila.

– Wejdz. Siadaj.

Sophie przesuwa się z krzesłem i robi mi miejsce obok siebie.

– Przejrzałaś pożary z zeszłej nocy? – zwracam się do niej.

Przydzieliłam jej zadanie, które przez ostatni rok wykonywałam sama, monitorując strony internetowe i zapisując się na mailowy biuletyn informacyjny dotyczący pożarów, by wyłowić kolejne zabójstwa.

– Tak – mówi. – Wczoraj i w nocy nie było nic.

Bez przekonania kiwam głową. Nie jestem pewna, czy ona daje sobie z tym radę. Sprawdziłabym sama, czy czegoś nie przeoczyła, gdybym miała na to czas. We czwórkę wykonujemy pracę, której byłoby dość dla kilkunastu osób.

– Tłumaczyłem właśnie Sophie zasady jurysdykcji – wyjaśnia Books niepytany, pewnie czytając mi w myślach.

Kiwam głową, jakbym mu wierzyła. Ale to, jak nachylali się ku sobie, jak gwałtownie się odsunęli od siebie na mój widok... Nie sądzę, by akurat zasady jurysdykcji były tematem ich rozmowy.

Jurysdykcja FBI nie obejmie tej sprawy, dopóki nie przekroczy ona granic stanu. Nawet jeśli stwierdzimy, że morderstwa dopuszczono się i w Champaign, i w Lisle. Jedno i drugie leży w Illinois, czyli w tym samym stanie. O ile więc lokalne organa nie zwrócą się do nas o pomoc, nie mamy szans. Spory problem, choć na razie napotykamy wyłącznie problemy, czyli to żadna nowość.

– Nie chciałabym przeszkadzać – mówię.

– Nie wygłupiaj się – rzuca Books, zbyt skwapliwie. – Wchodź. Ratuje mnie dzwoneczek. Sygnał mojego telefonu zwiastujący nadejście maila. Patrzą, co przyszło.

– Wyniki autopsji Joelle Swanson – mówię.

Rozdział 35

Ściągam załącznik mailowy na pulpit, żeby łatwiej było czytać raport z biura koronera hrabstwa DuPage. Dotąd czytałam tylko jedną analizę patologa sądowego i pochodziła ona z innej jurysdykcji, więc nie jest to dla mnie bułka z masłem. Ale tak jak w tamtym przypadku – zresztą pewnie jak w każdym innym – na końcu jest podsumowanie, jasne nawet dla laika, na ile to możliwe. Mówi ono, co na temat okoliczności śmierci Joelle Swanson z Lisle ustalił patolog. Z zapartym tchem przechodzę do tego punktu.

Inspektorzy straży pożarnej, badający przyczyny pożaru, nie znaleźli żadnych śladów wskazujących na podłożenie ognia. Doszli do wniosku, że powodem była paląca się w pokoju denatki świeca, od której zajęły się zasłony i w efekcie całe piętro domu.

– No dobrze – mruczę pod nosem.

O tym wiedzieliśmy od początku. Już on dobrze się postarał, żeby wszystko wyglądało na przypadek. To żadna niespodzianka. A teraz wyniki sekcji.

Obecność czystej sadzy na błonie śluzowej tchawicy i grzbiecie języka wskazuje, że ofiara żyła, kiedy wybuchł pożar, i nawdychała się dymu oraz innych toksycznych wyziewów. Tkanki miękkie i krew w narządach, które się zachowały, były ciemnoczerwone, co jest charakterystyczne przy poziomie karboksyhemoglobiny przekraczającym 30 procent i wskazuje na zatrucie tlenkiem węgla i cyjankiem.

– To musi być jakaś pomyłka – sapię.

Twierdzą, że Joelle wdychała dym. Czyli żyła, kiedy zaczęło się palić?

Ten wniosek jest zgodny z brakiem śladów przemocy na ciele zmarłej, takich jak stłuczenia czy inne urazy spowodowane przez siły zewnętrzne, poza ogniem.

Żadnych dowodów na rany klute czy postrzałowe, czy jakiegokolwiek inne. Nic, czego nie można byłoby wyjaśnić działaniem płomieni lub wytworzonego przez nie ciepła.

– No nie – mówię.

Na podstawie powyższych ustaleń stwierdza się, że śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku, a przyczyną zgonu było uduszenie się dymem w pożarze.

– Nie! – krzyczę, waląc w klawiaturę, aż wylatuje w powietrze i koziółkując, spada z biurka i zawisa na przewodzie łączącym ją z komputerem.

W drzwiach pojawia się Books.

– Złe wiadomości?

– To jakaś pomyłka – mówię. – To nie może być prawda. Nie może.

Na chwiejnych nogach wstaję zza biurka i opieram głowę o ścianę, wbijając wzrok w podłogę. Books podchodzi do komputera i czyta raport.

– Jezu, przykro mi, Emmy.

Mój telefon znów sygnalizuje nadejście maila. Nie ruszam się. Nie odrywam głowy od ściany, a wzroku od podłogi.

– W mojej skrzynce powinna być nowa wiadomość – mówię.

– Domyślam się, że to raport od koronera hrabstwa Champaign.

– Czekał. – Books podnosi klawiaturę, stawia ją z powrotem na biurku i klika myszą. – Tak. Jest.

– Przeczytaj go, dobrze, Books?

Zamykam oczy, chwila dłuży się w nieskończoność, a mnie nachodzą wspomnienia. Są jak policzek w twarz. Kłótnia z matką po śmierci Marty.

„Coś tu jest nie tak – powiedziałam. – Powinniśmy kazać im przeprowadzić sekcję”.

„Po co, Emmy? Bo wydaje ci się, że jej łóżko stało w innym miejscu niż miesiąc temu, kiedy u niej byłaś?”

„Nic mi się nie wydaje, mam, ja to wiem. W każdym razie mam pewne podejrzenia. Myślę, że trzeba...”

„Uważasz, że mam pozwolić, by pokroili moją córkę i powyciągali z niej wnętrzności? Nie sądzisz, że i tak już dość wycierpiała w tym pożarze? Chcesz, żeby pocięli ją na kawałki i potraktowali jak jakieś próbki laboratoryjne? Nie zgadzam się”.

– Cholera – odzywa się cicho Books. – Cholera jasna.

– Nic nie mów.

– Przykro mi, Em. To prawie identyczny raport jak tamten z DuPage. Koroner z hrabstwa Champaign stwierdza, że śmierć Curtisa Valentine’a to nieszczęśliwy wypadek. Bezpośrednią przyczyną było zatrucie wdychanym dymem.

Czuję jego dotyk. Kładzie dłonie na moich ramionach.

– Przestań. Nie ruszaj mnie. – Wyślizgnę mu się i przechodzę na drugą stronę pokoju. – Oni się mylą. Nie widzisz tego? I ci, i tamci się mylą!

Books odwraca wzrok i wpycha ręce do kieszeni swoich garniturowych spodni. Nie widzi tego, oczywiście. Widzi tylko kobietę upierającą się przy czymś, co wcale nie jest prawdą, małą dziewczynkę, która nie daje się przekonać, że zębowa wróżka nie istnieje.

– Przykro mi – powtarza. – Naprawdę mi przykro.

Rozdział 36

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 10
7 września 2012

Patrzę na tego chłopca. Ma pięć, może sześć lat. Piwne oczy, potargane, brudne włosy i niebieskie džinsy. Jest bosy, ale oni wszyscy są. To wymóg na wydzielonej dla dzieci przestrzeni w tym centrum handlowym, w parku zabaw Rocky Mountain. Rodzice siedzą w pobliżu. Rozmawiają, popijają latte ze Starbucksa albo krzyczą do dzieci, żeby nie psociły, zwolniły nieco czy uważały na młodszą siostrę.

Jest tu może pięćdziesiątka dzieciaków – biegają po wyłożonej pianką podłodze, wdrapują się na drabinki w zaaranżowanej dla nich dżungli, zjeżdżają ze zjeżdżalni z prosiakiem Porkym albo bawią się w podróżowanie tratwą z Sylwestrem i kanarkiem Tweetym. Większość raczej się nie zna, ale i tak nawiązują ze sobą kontakt, na swój dziecinny, niezdarny sposób. Czasem są wobec siebie miłe, czasem niegrzeczne, a nawet brutalne. Czasem potrzebują surowego sędziego, a czasem czułej uwagi. Niektóre tworzą grupy i wspólnie przemieszczają się od jednej atrakcji do drugiej, a niektóre wędrują solo i przyłączają się do każdego, kto jest tam, gdzie i one przystaną.

Ale nie ten chłopiec. Siedzi w kącie na podłodze. Z nikim się nie bawi, tylko obserwuje inne dzieci, które biegają dokoła, nie zwracając na niego uwagi. Przed chwilą wylądowała przy nim piankowa piłka, a on oddał ją jakiejś dziewczynce, która wzięła ją bez słowa podziękowania.

Chciałby brać udział w ich zabawach. Widzę to. Tę tęsknotę w jego oczach, kiedy patrzy na pędzące bez tchu dzieciaki, wrzeszczące i roześmiane. Też chce biegać, krzyczeć i śmiać się. Ale coś go powstrzymuje, każe mu siedzieć w kącie. Ma wrażenie, jakby tu nie pasował.

A chciałby. Naprawdę. Gdyby tylko dali mu szansę, zobaczyliby, że jest taki sam jak oni, jest chłopcem, który po prostu pragnie czuć się bezpiecznie, wiedzieć, gdzie jego miejsce, być częścią społeczności. Chce tego samego co oni. Boi się tego samego co oni.

Wstawaj, mały. Nie bój się. Polubią cię, naprawdę.

Niech ktoś da mu szansę, proszę. Wyciągnijcie do niego dłoń albo się odezwijcie. To przecież taki drobiazg. Wystarczy jeden mały życzliwy gest, a on z radością przyłączy się do zabawy. Nie potrzeba mu wiele, ręczę, nie potrzeba mu wiele. Tylko tyle, by choć jedna osoba, ktokolwiek, okazała mu odrobinę życzliwości, zanim będzie za...

(Uwaga spisującego: 7 sekund przerwy).

Wstań, mały. Wstań i idź się bawić.

(koniec)

Rozdział 37

Books przytrzymuje mi drzwi i szarmancko puszcza mnie przodem, więc to ja pierwsza widzę zadowoloną z siebie minę faceta siedzącego w skórzanym fotelu. To nie kto inny, jak sam zastępca dyrektora Julius D. Dickinson.

(„D” jak dupek. Nawet jego rodzice od razu wiedzieli, że będzie gnojkiem).

– Proszę, proszę.

Ten palant zawsze znajdzie sobie coś do roboty, kiedy się do niego wchodzi. Wszystko po to, żeby pokazać człowiekowi, jak ten mało znaczy, a jednocześnie podkreślić, jaki to on sam jest ważny. Dziś coś czyta, jakąś broszurę.

– Nie musicie siadać. – Tym stwierdzeniem zatrzymuje Booksa i mnie tuż przed swoim biurkiem. – To nie potrwa długo.

Każe nam czekać, wciąż przerzucając kartki leżącej przed nim broszury, aż wreszcie łypie na nas znad okularów.

– Podobno spędziliście owocny tydzień w Chicago – mówi. – Pozwólcie, że sprawdzę, czy wszystko dobrze uchwyciłem. Obecna tu Emmy zapewniała nas, że po kraju grasuje morderca, który sprytnie unika wykrycia, pozorując przypadkowe pożary. Jego charakterystyczne działania miały obejmować przestawianie łóżek w sypialniach w celu zmaksymalizowania dopływu tlenu i tym samym siły ognia.

Cytuje to niemal dosłownie z raportu, który zgodnie z jego poleceniem złożyliśmy wczoraj. Czyli przynajmniej go czytał.

– I podczas tego pełnego wrażeń tygodnia – ciągnie dalej – udało się wam potwierdzić, że w przypadku około połowy z tych pięćdziesięciu pięciu pożarów, które złożyły się na tak zwaną morderczą trasę, można zaobserwować identyczne ustawienie łóżek, dokładnie naprzeciw drzwi. – Przewraca kolejną kartkę broszury. – Ale nie wiecie, czy te łóżka zawsze tak stały, czy też ten wyimaginowany seryjny zabójca je przesunął.

„Poza przypadkiem Marty – ciśnie mi się na usta. – Łóżko Marty z pewnością zostało przestawione”.

– Jeśli chodzi o drugą połowę pożarów, nie macie pojęcia, gdzie stały łóżka. Sprawy są zbyt stare. Czy to wszystko prawda?

– Tak – potwierdza Books.

– W takim razie – kontynuuje Dickinson – w około połowie tych sypialni łóżka stały dokładnie naprzeciwko otwartych drzwi? Rzeczywiście, uznałbym to za fakt niezwykle znaczący...

Popatruje na mnie, jakby powstrzymywał uśmiech.

– ...gdybym był redaktorem naczelnym „Domów i Ogródów” – dodaje. – Ale nie jestem. Jestem zastępcą dyrektora w FBI i uważam to odkrycie za zupełnie drugorzędne i bez znaczenia. Ale wiecie, co za to wydaje mi się bardzo istotne?

Przygryzam dolną wargę. Z całych sił staram się nie wybuchnąć.

– Ogromnie istotne są dla mnie wnioski dwóch niezależnych patologów sądowych, którzy przebadali ciała dwóch z interesujących was ofiar i doszli do wniosku, że śmierć obu była nieszczęśliwym wypadkiem. A nie zabójstwem.

Bierze telefon i podnosi broszurę, którą ma przed sobą. Dopiero w tym momencie orientuję się, że to menu. Ten świr wybiera sobie lunch.

– Lydio – mówi do słuchawki – wezmę kanapkę z pieczoną wieprzowiną i sałatkę kartoflaną. I dodatkowo dwa kiszzone ogórki. Nie jeden. Dwa. – Przykłada telefon do piersi i patrzy na nas. – To śledztwo jest już oficjalnie zamknięte. Books, niniejszym rozwiązujemy też twoje czasowe zatrudnienie.

Books milczy. Trzyma dłonie splecione z tyłu.

– A ty, Emmy – dodaje Dickinson, zmieniając ton – przyjdź tu dzisiaj o szóstej, żebyśmy omówili status twojego zawieszenia w obowiązkach.

Nie ruszam się z miejsca, ale Books bierze mnie pod rękę i wyprowadza z gabinetu Dickinsona, który wraca do zamawiania swojego lunchu.

Rozdział 38

– Mogłeś przynajmniej trochę o nas powalczyć – mówię w windzie do Booksa. – Masz o wiele większą siłę przebicia niż ja.

– Nie u Juliusa. – Books kręci głową. – I pewnie u dyrektora też nie. Już nie.

– Mimo wszystko mogłeś bronić słusznej sprawy.

– Tak? – Obraca się do mnie. – A co jest słuszne? Powiedz mi, Emmy.

I dopiero wtedy dociera do mnie, co oznacza to, że od trzydziestu sześciu godzin, od czasu, kiedy dostaliśmy wyniki sekcji, zrobił się taki milczący. Przyjęłam za pewnik, że jesteśmy po tej samej stronie, że moja złość i frustracja, i niewzruszone przekonanie, że doszło do wielu zbrodni, są wspólne dla nas obojga.

– Już mi nie wierzysz – mówię. – Nie sądzisz, że to były morderstwa.

– No... – Pokasłuje i podnosi dłonie. – Wiesz, Emmy, są pewne fakty, których nie możemy ignorować.

Cofam się o krok.

– Nie do wiary.

– Hej. – Stara się mnie przytrzymać.

– Żadne „Hej”, Books. Powiedz wprost, co masz mi do zakomunikowania.

Bierze głęboki wdech.

– To nie jest kwestia tego, czy ja ci wierzę. Podobnie jak ja, wcale nie wiesz, czy to naprawdę były morderstwa. Trzeba opierać się na faktach. A dowody wskazują, że nie było żadnych zbrodni.

– Nie – kontruje. – Dowody wskazują, że nasz obiekt niezwykle sprytnie zaciera za sobą ślady.

– Ach, przepraszam! – Books znów unosi ręce. – Racja. Najpierw zupełny brak dowodów na podpalenie oznaczał, że ten

ktoś jest wyjątkowo inteligentnym podpalaczem. A teraz doszło jeszcze, że skoro nic nie wskazuje na morderstwa, to i w mordowaniu jest mistrzem. Co dalej? Brak dowodów, że to zabójca rodem z Marsa, będzie najlepszą wskazówką, że właśnie stamtąd przybył i jest prawdziwym geniuszem? Nic nie świadczy, że to wielkanocny króliczek, z czego wniosek, że wielkanocny króliczek jest najbardziej przebiegłym podpalaczem, jakiego świat widział?!

– Świetnie! – wrzeszczę. – Wiesz co? Jesteś dokładnie taki sam jak Dickinson! Naprawdę przykro mi, że przeze mnie straciłeś tyle czasu.

Books wali dłonią w przycisk windy, zatrzymując ją tak gwałtownie, że o mało nie tracę równowagi. Jego szyja jest pąsowa, brwi dziko zmarszczone.

– Nie zaliczaj mnie do tej samej kategorii co Juliusa – mówi, celując we mnie palcem. – Odczytałem na twoją korzyść każdą wątpliwość. Chciałem, żebyś miała rację. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. Ale nie masz racji, Emmy. I czas, żebyś odpuściła. Zapamiętaj Martę jako cudowną osobę, którą była, i zrób to, co robią wszyscy, którzy tracą kogoś ukochanego: pozwól sobie na żalobę. A później pomału się z tego podnieś. Ta kruczata zagraża twojemu zdrowiu psychicznemu i może przekreślić całą twoją karierę, jeśli nie będziesz ostrożna. A skoro już o tym mowa...

Uderza w przycisk, uruchamiając dźwig ponownie. Wybiera najbliższe piętro, choć nie tam jechaliśmy.

– Lepiej bądź o szóstej bardzo miła dla Dickinsona – mówi – albo raz na zawsze pożegnaj się z tą pracą.

Rozdział 39

Wałęsam się bez celu, zabijając czas do decydującego dla mnie spotkania z Dickiem o szóstej. Na Pennsylvania Avenue Northwest mijam budynek Archiwum Narodowego. Pamiętam, że jako mała dziewczynka byłam tu kiedyś podczas letnich wakacji. Mojego ojca najbardziej frapowało zwiedzanie siedziby FBI, oglądanie tego, co przypominało mu historie, które znał z czasów swojego dzieciństwa – o bandytach i dzielnych policjantach. Oglądał pamiątki po słynnych gangsterach – takich jak „Machine Gun” Kelly, „Pretty Boy” Floyd czy „Baby Face” Nelson – parasole z ukrytym pistoletem maszynowym, kolta Johna Dillingera i listy z żądaniami okupu po porwaniu Lindbergha. Z kolei Marta i moja matka zachwyciły się bogatymi zbiorami Instytutu Smithsona – a szczególnie Muzeum Historii, Nauki i Technologii Lotnictwa i Lotów Kosmicznych.

Mnie najbardziej podobało się tutaj, w archiwach, gdzie przechowuje się dokumenty sprzed wielu stuleci. Intrygowała mnie myśl, że można odtworzyć przeszłość i zrozumieć ją lepiej, a nawet przewidzieć przyszłość – to poczucie przeplatania się historii, związków pomiędzy teraźniejszością a tym, co było. Ojciec prorokował, że zostanę archeologiem, ale ja nie chciałam grzebać się w tak odległych czasach. Nigdy nie interesowały mnie hieroglify, piramidy czy kości dinozaurów. Fascynowały mnie liczby, dane i fakty, które łatwo uporządkować – wziąć jakieś sumy, odgadnąć wzór i przewidzieć, co się stanie. Moją pierwszą miłością była matematyka. Bawiłam się w myślach liczbami. Nauczyciel powiedział mi kiedyś, że jeśli dodam cyfry składające się na jakąkolwiek liczbę i suma będzie podzielna przez trzy, to cała ta liczba też jest podzielna przez trzy. Od tamtej pory, ilekroć popatrzyłam na jakąś liczbę, zawsze to sprawdzałam. Adres Linscott 1535 stawał się $1 + 5 + 3 + 5 = 14$, co nie dzieli się przez trzy, a więc i 1535 również. Numery

rejestracyjne KLT 438 stawały się $4 + 3 + 8 = 15$, co dzieli się przez trzy, podobnie jak liczba 438.

„Życie to nie tylko liczby i wzory – mawiała do mnie Marta, pouczając swoją wiecznie siedzącą z nosem w książkach bliźniaczkę. – Musisz żyć, Emmy. Spotykać się z ludźmi, dopuścić ich do siebie”.

Racja. Zrobiłam tak w przypadku Booksa. Wpuściłam go do swojego świata. Ale to już przeszłość. I ten ogień już się nie odrodzi. Nie dlatego, że brak iskry, ale dlatego, że nie byłabym w stanie wiecznie go podtrzymywać. Wiedziałam, że prędzej czy później rozczaruję Booksa. Nie dałoby się tego uniknąć. Ułożyłby sobie ze mną życie, a potem przekonałby się, że nie jestem tą osobą, za jaką mnie uważał i jakiej pragnął. Jest zbyt szlachetny, by to powiedział. Nie zostawiłby mnie, ale byłby skazany na bylejakość, uwięziony przy żonie bardziej przypominającej przyjaciółkę, towarzyszkę niż kochankę. Pewnie nigdy nie zrozumie, przed czym go uchroniłam, jakiej kuli uniknął. Nigdy nie pojmie, że wyświadczyłam mu przysługę, kiedy podjęłam decyzję o naszym zerwaniu.

Czy miał rację, mówiąc to, co powiedział w windzie? Czy to wszystko tylko jakaś moja kruczata, oderwana od rzeczywistości? Czy w ten sposób próbuję uporać się ze śmiercią Marty? Czy to możliwe, żeby dziewczyna, która zawsze uwielbiała dane liczbowe i na nich się opierała, nagle odwróciła się od faktów i uwierzyła w straszliwe potwory czające się w szafie?

Może czas, bym dorosła.

Może czas, bym próbowała ratować swoją pracę w FBI.

Sprawdzam godzinę. Jest piąta. Lepiej już wracać. Nie chcę się spóźnić na spotkanie.

Czas schować dumę do kieszeni i zobaczyć, czy mam szansę utrzymać tę pracę. Zanim dojdę do budynku Hoovera, dzwoni moja komórka. Wyświetla mi się, że to Sophie Talamas.

– Miałaś rację, Emmy – mówi rozgorączkowana. – Miałaś całkowitą rację!

Rozdział 40

Zatrzymuję się w cieniu jakichś drzew na Pennsylvania Avenue Northwest. Lekki wiatr muska mi włosy. Turyści spacerują leniwie chodnikiem, a wracający z pracy przebijają się między nimi, spiesząc do domów. Przyciskam palcem prawe ucho, żeby lewym lepiej słyszeć Sophie Talamas.

– To się zdarzyło w piątek – mówi jednym tchem. – Ofiara nazywa się Charles Daley. Był sprzedawcą butów, mieszkał w Lakewood, na przedmieściach Denver. Znalezione go martwego w sypialni, w której wybuchł pożar. Wiem, spytasz, jak było ustawione łóżko, ale tego jeszcze nie udało mi się sprawdzić.

Cały czas kiwam głową, choć przecież ona mnie nie widzi.

– To wygląda na robotę naszego obiektu – przyznaję. – Ale...

– Ale co?

– Zwykle, kiedy krąży po kraju, zabija dwie osoby w tej samej okolicy – przypominam. – A ty masz tylko tego mężczyznę w Lakewood?

– No właśnie... w tym rzecz. Krótka odpowiedź brzmi: tak. Ofiara jest jedna. Ale spodziewałam się, że niedaleko stamtąd znajdę jeszcze i drugi pożar, tak jak mówiłaś. Rozszerzyłam więc trochę poszukiwania. I myślę, że znalazłam. Choć tym razem jest trochę inaczej.

– To znaczy?

– W tym pożarze zginęły dwie osoby, nie jedna – mówi Sophie. – Poza tym wszystko się zgadza. Ogień w sypialni, wygląda to na przypadkowy pożar... tyle że są dwie ofiary. Luther Feagley i Tammy Duffy. Mieszkali razem w Grand Island w Nebrasce.

– Nebraska? Ile to kilometrów od Lakewood w Kolorado?

– Około sześciuset. Sześć godzin samochodem. Ale to by pasowało, Emmy. Luther i Tammy zostali znaleźieni martwi w Nebrasce dwa dni przed morderstwem w Kolorado, w środę,

piątego września. Jeśli twoja hipoteza, że nasz obiekt mieszka na Środkowym Zachodzie, jest słuszna, to najpewniej jechał międzystanową numer osiemdziesiąt na zachód, do Denver. Grand Island w Nebrasce jest po drodze, tuż przy osiemdziesiątce.

Zastanawiam się nad tym.

– Jechał więc na przykład z Illinois albo skądś, gdzie mieszka, osiemdziesiątką. W środę zatrzymał się w Grand Island i zabił dwoje ludzi, Luthera i Tammy. To daje mu mnóstwo czasu, by mógł w piątek znaleźć się w Denver i zabić sprzedawcę butów.

– No właśnie. Miałaś rację, Emmy. Wznowił swoje popisy w trasie po Święcie Pracy. Miałaś absolutną rację.

Może i tak, ale nikt z tych, którzy podejmują decyzje, mi nie wierzy. Właśnie dwóch niezależnych patologów poinformowało mnie i zastępcę dyrektora FBI, że jestem w błędzie. Całe moje poszukiwania zostały wrzucone do kosza, cofnięto mi uprawnienia.

– Jak tam poszło dziś z Dickinsonem? – pyta.

Próbuję dobrać właściwe słowa.

– Jeszcze nic nie wiadomo do końca.

– No, teraz nie możemy odpuścić, Emmy. Musimy złapać tego gościa.

Oby Bóg jej wysłuchał. Albo Dickinson. Oczywiście ma rację. Teraz nie wolno nam odpuścić. Bo on nie odpuszcza. Ale jak mam tego dokonać?

Jak mogę wznowić to śledztwo?

Rozdział 41

Zatrzymuję się w swoim biurowym boksie, zanim pójde na spotkanie z Dickinsonem. Spoglądam w głąb korytarza i widzę, że Books jest w gabinecie, który przydzielono mu na okres tymczasowego zatrudnienia w firmie. Oto właśnie ta cała tutejsza hierarchia. Mężczyzna, który nawet nie jest pełnoetatowym pracownikiem, dostaje osobny pokój tylko dlatego, że pełnił niegdyś funkcję „agenta specjalnego”.

Kilka drobiazgów, które Books sobie przyniósł, żeby czuć się jak u siebie – zdjęcie rodziców, piłka podpisana przez Kansas City Chiefsów w 1995 roku, dyplom z FBI – są już spakowane w pudełku, gotowe, by zabrać je do Alexandrii. Books jest wyraźnie wyczerpany. Zmęczenie w oczach, ciężkie powieki, rozluźniony krawat. Może czuje ulgę, że to już się skończyło, może cieszy się, że wraca do swojej księgarni.

Idę do jego pokoju.

– Trochę za bardzo na ciebie napadłam – mówię. – Wiem, że wiele zrobiłeś, by mi pomóc, na ile to było możliwe.

Uśmiecha się blado i tylko macha ręką.

– Były dwa kolejne morderstwa – oznajmiam. – Jedno w Nebrasce, drugie w Kolorado. W ciągu dwóch dni. On jest już w trasie. Te same okoliczności. Ten sam sposób działania.

Books kręci głową.

– I założę się, że te same wyniki sekcji, jeśli kiedykolwiek do niej dojdzie. Śmierć od zatrucia wdychanym dymem, w przypadkowym pożarze.

Pewnie to słuszna uwaga. Nie da się znaleźć sprawcy zbrodni, jeśli nikt nie chce przyznać, że w ogóle została popełniona.

– Wiesz – dodaje – mówią, że człowiek tak naprawdę nie pozna tej pracy, dopóki nie trafi na jednego z nich.

– Kogo?

– Takiego, co nie da się złapać. Na sprawę, która pozostaje nierozwiązana.

Racja. Books miał taką w karierze. Stale do niej wracał.

– Zabójca kowbojek – mówię.

Zaciska usta i kiwa głową. Siedem zabójstw w ciągu sześciu lat, na Południowym Zachodzie. Teksas, Nowy Meksyk i Arizona. Każda ofiara była atrakcyjną kobietą pochodzącą z ranczerskiej rodziny. Zabójca najpierw odcinał im ręce i nogi, potem je gwałcił. W całej prasie podawano drastyczne szczegóły.

Ale jedno nigdy nie przeciekło do mediów: odcinał palce u stóp i wpychał im do ust.

Books późno włączył się w to śledztwo, ale z tego, co mi opowiadał, wiem, że sprawa pochłonęła go bez reszty. Pracował nad nią latami, bez skutku. W FBI, które lubi nadawać nazwy prowadzonym dochodzeniom, mówiono o „zabójcy kowbojek”. Ostatnie takie morderstwo zdarzyło się jakieś pięć lat temu. Od tamtej pory Books w napięciu czeka, czy nie dojdzie do następnego.

– Człowiek ma nadzieję, że ten gość wpadł, popełniając jakąś inną zbrodnię, albo już umarł – mówi Books. – Codziennie zadaję sobie pytanie, czy on jeszcze żyje i czy ma możliwość kontynuowania swojego szaleństwa. Czy może dzisiaj znów kogoś zabije i kolejna osoba zginie, bo nie wykonało się swojej roboty jak należy?

I właśnie przed tym tak bardzo się bronię. Nie chcę, żeby nasz obiekt stał się moją opowieścią ku przestrodze. Nie chcę, żeby stał się moim „zabójcą kowbojek”.

Books opiera dłonie na poręczach fotela, wstaje i podchodzi do mnie.

– Cokolwiek się stanie u Dickinsona, trzymaj się tej pracy, Emmy. Będzie cię obrażał, poniżał i bawił się twoim kosztem. A ty znieś to z godnością, dobrze? I olej to wszystko, jeśli tylko dzięki temu zostaniesz w FBI. Bo będąc tam w środku, możesz więcej zdziałać.

– Więcej...

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Więcej, by znaleźć swojego podpalacza mordercę, mała. Jeśli naprawdę wierzysz, że on istnieje i że to rzeczywiście są zbrodnie, nie słuchaj, co mówią inni. Nieważne, co myślę ja,

Dickinson czy jakiś koroner. Nawet jeśli będziesz musiała zrobić wszystko sama, nie poddawaj się.

Przez krótki, istotny moment patrzymy sobie w oczy, po czym oboje odwracamy wzrok. Oczywiście Books ma rację. Zresztą ani myślałam postąpić inaczej. Nie mam najmniejszego zamiaru rezygnować z tego śledztwa.

Pytanie tylko, co będę musiała poświęcić, by je kontynuować.

Rozdział 42

– Wejdz, Emmy – mówi Dickinson.

Jego asystentka, Lydia, już skończyła pracę i wyszła. Piętro, gdzie urzęduje kadra kierownicza, jest w połowie puste i wokół panuje cisza. Gabinet Dickinsona wydaje mi się o tej porze mniej przestronny.

Po raz pierwszy Dickinson nie udaje, że jest czymś zajęty. Nie każe mi czekać, nim przejrzy jakiś raport czy lunchowe menu albo pogada przez telefon, by dać mi odczuć, jak niewiele znaczę. Tym razem chętnie mnie tu widzi, popatruje na mnie łakomie jak rekin, który poczuł krew w wodzie. Ma mnie. Jestem jego. Oboje to wiemy. Przegrałam. On zwyciężył.

Podchodzę do krzesła przy jego biurku, ale nie siadam.

– Możesz usiąść, jeśli chcesz – mówi.

– Postoję.

Mlaska językiem.

– Emmy, Emmy, Emmy. Zawsze wszystko komplikujesz, zamiast wybrać prostą drogę.

Oboje wiemy, co rozumie przez „prostą drogę”. Zdawałam sobie z tego sprawę już ponad rok temu, kiedy po raz pierwszy położył rękę na mojej talii i kiedy nachylał się nade mną, udając, że chce zobaczyć coś na ekranie mojego komputera. A potem były zawołowane propozycje drinka lub kolacji po pracy, aż wreszcie zapytał, czy pojedę z nim na weekend do Nowego Jorku, na Manhattan. Pamiętam, że nie od razu załapałam. Byłam jak najdalsza od brania pod uwagę romantycznej relacji z tym gościem, nie przyszło mi nawet do głowy, że może mu chodzić o dwudniowy wypad kochanków. Myślałam, że to sprawa służbowa. „A po co mamy tam jechać?”, spytałam. Zamrugął i popatrzył na mnie znacząco, jakby to było oczywiste. „Żebyśmy spędzili trochę czasu sami”, wyjaśnił.

I wtedy parsknęłam śmiechem. Wyrwało mi się, nic więcej, ale to wystarczyło. Zrozumiał, że sama myśl o nas, kotłujących

się w pościeli, jest dla mnie wprost komiczna.

Czułam, że głupio to wyszło. Nawet chciałam pomówić z nim o tym następnego ranka. Ale do tego nie doszło. Bo nazajutrz rano dowiedziałam się, że zastępca dyrektora Julius Dickinson oskarżył mnie o molestowanie seksualne i niewłaściwe zachowania.

– A jaka jest ta prosta droga?

Dickinson praktycznie puszcza do mnie oczko. Aż mi się robi niedobrze. Potem wstaje z fotela i przechodzi na moją stronę biurka. Pokazuje mi małe, kieszonkowe urządzenie podobne do dawnego walkie-talkie z lampkami i antenką.

– To się nazywa wykrywacz podsłuchu – mówi.

Wciska guzik i aparat budzi się do życia. Jedna lampka świeci pomarańczowo, na ekraniku pokazuje się migająca niczym w elektrokardiogramie krzywa mierząca częstotliwość fal radiowych.

– Przed tym nie ukryje się żadna pluskwa. Czy to będzie telefon, nadajnik GPS czy miniaturowa kamera. – Wymachuje tym nade mną i przechodzi za mnie. Brzęczyk nie zmienia natężenia. – Nie masz żadnego mikrofonu – podsumowuje. Czuję jego oddech przy uchu, od czego dostaję gęsiej skórki na karku. – Teraz muszę cię przeszukać. Podnieś rękę.

– Dlaczego?

– Bo mój mały gadżet nie wykrywa zwyczajnych staromodnych magnetofonów. A może po prostu dlatego, że mam na to ochotę.

Podnoszę rękę. Oklepuje mnie od góry do dołu. Nie spieszy się, obmacuje każdą część mojego ciała tak dokładnie, że na pewno wie już, jaką bieliznę mam na sobie. Po przebadaniu wszystkich wypukłości, bierze mój telefon, zwykły iPhone, i ogląda go uważnie, zanim mi oddaje.

– Świetnie – mówi, wyłączając swój wykrywacz pluskiew, i brzęczyk nagle milknie.

– Po co ta cała konspiracja? – pytam.

– Po co? – Odchyła się i staje oparty o blat biurka, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Bo chcę z tobą porozmawiać, Emmy. W cztery oczy.

Rozdział 43

Nadal opierając się o biurko, Dickinson splata ramiona na piersi, kręci głową i patrzy na mnie jak na niesforne dziecko.

– Czyli to rozmowa prywatna – mówię. – Wyjaśnij mi, co to znaczy, że powinnam wybrać „prostą drogę”?

– Dobrze wiesz, co to znaczy. – Julius rozkłada dłonie. – Czy to byłoby takie straszne, Emmy?

Niby wejście z nim w relację seksualną? Wolałabym raczej dać sobie na żywca wyrwać ząb obcęgami. Albo wykąpać się we wrzącej lawie.

Dzwoni moja komórka. Zerkam na ekran. Wyświetla się: „Mama”.

– Ach, telefon od mamusi – mówi kpiąco Dickinson, spoglądając na mojego iPhone’a.

Mama lubi dzwonić o tej porze. Kiedy kończą się godziny, w których drinki są w promocyjnej cenie, zbiera jej się na czułości wobec jedyne dziecko, jakie jej pozostało, i coś mi tam plecie bełkotliwie w słuchawkę. Alkohol jak nic innego uwalnia w niej emocje, które tłamsiła latami, i w takich chwilach wylewają się z niej słodkie jak ulepek słowa miłości i żalu, po czym znów, trzeźwiejąc, mama zamyka się w sobie.

– Zaraz to wyłączę – mówię.

Przyciskam kilka razy i dzwonięcie ustaje. Odkładam telefon na krzesło obok.

– O czym to mówiliśmy? – W kąciku jego ust pojawia się lubieżny uśmiezek.

– Nie pociągasz mnie w ten sposób – mówię. – Bez obrazy.

Dickinson śmieje się cicho.

– Ależ skąd, Emmy, bynajmniej. – Patrzy na mnie i przechyla głowę. – Nie chwytasz, o co chodzi, prawda? Dla mnie to tylko fajniej.

Staram się opanować. To jedyne, co mogę zrobić, żeby nie uciec z tego pokoju. Dla niego byłoby jeszcze bardziej

podniecające, gdybym spała z nim wbrew swojej woli. Moje obrzydzenie by go rajcowało.

Na jakie poświęcenia jestem gotowa?

„Trzymaj się tej pracy – radził mi Books. – Bo będąc tam w środku, możesz więcej zdziałać”.

– A jeśli... powiem „tak”? – pytam, odwracając od niego głowę, niezdolna patrzeć mu w oczy.

– Jeśli powiesz „tak”, Emmy, to odzyskujesz etat. Od zaraz.

Zamykam powieki.

– A co z zespołem? Czy możemy dalej prowadzić śledztwo w sprawie tych pożarów?

Dickinson nie odpowiada. Ma zamglony wzrok. Wysuwa język i oblizuje usta. Uświadamiam sobie, że on to sobie w tej chwili wyobraża. Fantazjuje, jak uprawiamy seks.

Zbiera mi się na wymioty. Odsuwam od siebie obraz tego kluchowatego, opalonego w solarium faceta z kiepską zaczeską, w wersji roznegliżowanej, ze mną.

– A więc – mówię – jeśli się z tobą prześpię...

– Albo będziesz robić inne rzeczy, których zechcę. Mam różne potrzeby jako mężczyzna.

Opuszczam głowę, ściskam palcami grzbiet nosa i pozwalam, by zapadło pomiędzy nami milczenie. Dopiero po chwili podnoszę wzrok i mówię:

– Nie, nie mogę.

Dickinson, który był na prowadzeniu, co tak uwielbia, stara się nie dać mi tej satysfakcji, że zobaczę, jak bardzo jest rozczarowany. Więc tylko wzrusza ramionami.

– No to właśnie przepracowałaś ostatni dzień w FBI.

– Nie możesz mnie wylać za to, że się z tobą nie prześpię.

– Nie robię tego. Zwalniam cię, bo nadal uważam, że jesteś nieźrównoważona psychicznie. Co to za gadanie, że niby domagam się od ciebie seksu? – Nachyla się do mnie. – Wygląda, że będzie to moje słowo przeciwko twojemu, prawda, Emmy?

– Może tak – bąkam – a może nie.

– Myślę, że słyszałem to samo co Emmy – rozlega się tubalny głos Booksa przez mikrofon.

Dickinson jak oparzony odskakuje od biurka, jakby zobaczył przebiegającego przez pokój szczura. Jest szary na twarzy.

– Co... co to takiego?

– To Books – mówię. – Chyba zamiast wyłączyć telefon, musiałam go przez pomyłkę odebrać. Najwyraźniej Books słuchał przez cały ten czas.

Nadal zszokowany takim obrotem zdarzeń, Dickinson robi się coraz bledszy. Cała krew odpływa mu z policzków (a pewnie i z moszny).

– Przecież to dzwoniła... twoja matka...?

Och, może zmieniłam sobie w komórce zapis. Books pojawił się jako mama. To mogło się zdarzyć, na przykład jakieś pół godziny przed moim wejściem tutaj.

– Kiepsko wyglądasz, Julius – mówię. – Może lepiej usiądź.

Dickinson chwiejnym krokiem się cofa. Byle dalej od tego telefonu i ode mnie, aż wreszcie natyka się na ścianę. Cały czas gorączkowo usiłuje przypomnieć sobie naszą rozmowę, zastanawiając się, co mówił i ile z tego Books usłyszał, i czy można będzie jakoś tak to zinterpretować, żeby on mógł się wykłamać albo wszystkiemu zaprzeczyć.

Wreszcie, zgarbiony, wyraźnie już rozumie, że tę rundę przegrał. Powiedział mnóstwo rzeczy, które go pogrążają. I choć usłoby mu to na sucho, gdyby się tego wyparł, i byłoby to jego słowo przeciwko słowu niskiej rangą analityczki, wie, że Books jest ulubieńcem szefa. Biorąc to wszystko pod uwagę, najwyraźniej decyduje, że dalsza walka jest bezcelowa.

– Nie możesz tego zrobić – mamrocze, ale bez przekonania.

– Stało się – mówię. – Teraz siadaj, Julius, a ja wyjaśnię ci, co dalej.

Rozdział 44

Books i ja razem opuszczamy budynek Hoovera. Mży. W milczeniu idziemy do jego samochodu, nadal trochę roztrzęsieni po wykonaniu tego numeru. Books miał opory, nie sądził, że to w porządku podsłuchiwać rozmowę zastępcy dyrektora, ale go przekonałam. Bo jeśli Dickinson chciał się do mnie dobrać – a byłam raczej pewna, że tak, skoro wezwał mnie do siebie po godzinach – to jedynym wyjściem było zwalczenie ognia ogniem. (Przepraszam za niefortunne określenie).

– Co za dupek – rzuca Books, kiedy jesteśmy już dość daleko od siedziby agencji. – Wiedziałem, że to świr, ale... żeby aż tak.

– Pewnie powinniśmy byli poprosić o więcej – mówię. – Możliwe, że dostalibyśmy więcej.

Wchodzimy do garażu na Tenth Street Northwest, zadowoleni, że uciekliśmy przed padającym coraz mocniej deszczem. Books nie lubi deszczu. Nigdy nie lubił. Śnieg, proszę bardzo. Piekielny upał czy siarczysty mróz – nie ma sprawy. Ale nie znosi, kiedy pada. Drażnią go mokre ubrania i wilgotne włosy, cały ten nieporządek. Ja z kolei uwielbiam czuć zapach i smak deszczu na twarzy, a potem ten aromat pleśni w powietrzu i śliską trawę pod stopami. Może Matka Natura próbowała nam coś powiedzieć o tym, jak do siebie pasujemy?

– To my jesteśmy ci dobrzy, pamiętaj – mówi. – Poprosiliśmy o to, co nam się należy na tym etapie. O nic więcej. Nie jestem bardziej rozrzutny w wydawaniu środków FBI niż Dickinson. Twoje śledztwo, Emmy, musi stanąć na własnych nogach, a jeśli się to nie uda, nie możemy zmuszać Dickinsona, by je podtrzymywał.

Ma rację. A jednak... było dość fajnie zarzucić lasso na szyję Dickinsonowi i patrzeć, jak się miota. Jakaś częśćka mnie chciała zażądać od niego przeróżnych rzeczy – własnego gabinetu, wyższej pensji, diet – ale miałam przy sobie Booksa, głos rozsądku, który kazał mi zachować umiar.

Zawsze to robił, przypominam sobie. Zawsze mnie temperował. Był jak kotwica, kiedy ja podskakiwałam na falach.

– To pewnie twoja ostatnia szansa – mówi Books. – Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Dochodzimy do jego auta, nowej hondy sedan, i jedziemy na lotnisko Reagan National, by zdążyć na lot powrotny do Chicago.

Rozdział 45

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 11
10 września 2012

Dziś wieczorem jadę. Wracam do domu. To długa samotna podróż samochodem przez niekończące się przestrzenie niczego. Tylko dobrze oświetlona autostrada i ciemności po obu stronach. Wierście mi, od tego może pomieszać się w głowie.

Czy wy... czy wy wiecie, czemu to robię? Dlaczego nagrywam dla was swoje przemyślenia? Robię to, bo myślicie, że mnie znacie, ale to nieprawda. W gruncie rzeczy nie znacie nikogo. I mogę wam tego dowieść.

Na przykład: macie myśli, których nikt inny nie zna, prawda? Myśli, którymi nie podzieliliście się z żadną istotą ludzką, nawet najlepszym przyjacielem, siostrą czy bratem – z nikim. A czasami to coś więcej niż myśli. To działania, rzeczy, które robicie.

Możesz być najbardziej opiekuńczym, kochającym ojcem, najbardziej szlachetnym z ludzi, ale gdyby twoi kumple dowiedzieli się o tych zdjęciach, które ściągnąłeś sobie na komputer, przedstawiających młodzieńki Azjatki, uznałyby cię za zbrojeńcę i już wszystko inne przestałoby się liczyć – dlatego trzymasz te fotki w tajemnicy. Możesz być wierną żoną, która nigdy nie zdradza męża, ale gdyby wiedział, że dotykasz się pod prysznicem, myśląc o dyrektorze szkoły albo jakimś gwiazdorze, zmieniłby swoją opinię o tobie, więc się z tym ukrywasz.

Nie dzielcie się z nikim takimi myślami, z obawy, że wasze szaleństwa będą was definiować, że ludzie pozwolą, by te drobiazgi przesłoniły wszystko inne, co o was wiedzą, by zniszczyły cały starannie skomponowany przez was obraz waszego „ja”. Więc się kryjecie. Nakładacie maski. Ale nie widzicie? Nikt nie zna was naprawdę, nie wiedząc nic o waszych szaleństwach. Jeśli znają tylko mdły, przesłodzony trzon, bez

ostrzych, nierównych krawędzi, mają obraz niepełny, fragmentaryczny.

I sądzicie, że jesteście w tym wyjątkowi? Myślicie, że tylko wy coś ukrywacie? Jasne, że nie. Wszyscy dokoła to robią. Każdy ma jakieś obsesje seksualne lub odrobinę sadyzmu albo ulega czasem słabości, którą zwykle tłumi w sobie – każdy kryje coś takiego pod swoim garniturem od Armaniego, pod ekstrawaganckim makijażem, pod ciepłymi uśmiechami czy uprzejmym śmiechem. Tak naprawdę nie znacie nikogo na tym świecie, z wyjątkiem, być może, samych siebie.

I dlatego mówię wam o sobie wszystko. Chcę, żebyście mnie poznali. Chcę, żebyście wiedzieli wszystko. Bo oczywiście znacie moje szaleństwa, prawda? Znacie moje sekrety. Czy to one powinny mnie definiować? Prawdopodobnie będą, ale niesłusznie. Jestem czymś więcej niż to, co o mnie wiecie. To nie cały ja.

Na przykład, czy wiecie, że nigdy, przenigdy, nie zrobiłbym krzywdy zwierzęciu? Czy wiecie, że sponsoruję jedno z tych dzieci z krajów Trzeciego Świata, wysyłając co miesiąc trzydzieści dolarów? Czy wiecie, że kiedyś zapłaciłem za pogrzeb sąsiada i nagrobek, bo wdowy nie było stać na taki wydatek?

Taaak, to na pewno zrobiło wam mętlik w głowach, co? Chcielibyście, żebym był zły, bo to łatwo zrozumieć. Nie chcecie wiedzieć, że potrafię być wspaniałomyślny i miłosierny. To nie pasuje do waszego wygodnego, zgrabnego wyobrażenia. Wydaje się bezsensowne, bo namalowaliście mnie sobie jednym pędzlem, jednym kolorem – i na inny nie ma miejsca na waszej mentalnej palecie.

Po prostu myślę, że to nie fair, i tyle. Nie spodziewam się, by ktokolwiek uznał mnie za świętego, ale przynajmniej musicie zrozumieć, że mam złożony charakter, jak wszyscy. I przynajmniej zdjąłem dla was swoją maskę. To więcej niż to, czym sami moglibyście się pochwalić, prawda?

(koniec)

Rozdział 46

Biuro Medycyny Sądowej mieści się w dużym betonowym gmachu z beżową elewacją, któremu jakiś architekt próbował dodać urody obramowaniem okien. Podmuch zimnego powietrza, który wita nas w środku, jest wręcz cudowny. Nie sądziłam nigdy, że wejście do kostnicy może mnie tak uszczęśliwić. Podczas krótkiej jazdy z chicagowskiej siedziby FBI klimatyzacja w wynajętym samochodzie ziała na naszą czwórkę letnim powietrzem. Sophie Talamas ma tylko wilgotne czoło i zaróżowione policzki, ale Denny Sasser, Books i ja wyglądamy na przepuszczonych przez wyżymaczkę, wściekłych urzędasów.

Zestresowana recepcjonistka pośpiesznie prowadzi nas do malutkiej salki bez okien. Wszyscy padamy na nieco sfatygowane fotele, a ja biorę do rąk magazyn „Vogue”, jakbym miała jakąkolwiek szansę go poczytać.

– Czyli zabił parę w Nebrasce – odzywa się Books. – A potem sprzedawcę butów w Denver.

– Zgadza się.

– Dokąd wybiera się w tym tygodniu, Emmy?

Gdybym to ja wiedziała. Seattle? Austin w Teksasie? Burlington w Vermoncie?

Wreszcie do pokoju wchodzi doktor Olympia Janus. To przystojna kobieta, wysoka, wyprostowana, robi wrażenie silnej. Ma krótkie włosy, czarne z pasemkami siwizny. Nosi okulary o prostych kwadratowych oprawkach, zabezpieczone łańcuszkiem na szyi. Wygodne buty – firmy Dansko? – szare spodnie o klasycznym kroju i niebieską bawełnianą bluzkę.

– Cześć, Lia – mówi Books.

Denny Sasser wstaje, żeby też się z nią przywitać.

– Books, Danny! Jak miło was widzieć.

Przedstawiamy się. Wszyscy kolejno ściskają jej dłoń. Doktor Olympia Janus jest agentem specjalnym FBI i lekarzem medycyny sądowej. Agencja rzadko sama przeprowadza sekcje,

ale jeśli to robi, zwykle zajmuje się tym Lia Janus. Pracowała przy sprawie Twin Towers, oblężenia Waco i Ruby Ridge – wszędzie, gdzie było to ważne dla FBI.

To moja ostatnia szansa, jedyne ustępstwo, jakie wymogłam na Dickinsonie – że pozwoli, by Lia Janus przeprowadziła sekcję dwóch naszych ofiar z Illinois – Joelle Swanson i Curtisa Valentine’a. „Jeśli stwierdzi, że żadnego przestępstwa nie było – powiedziałam Dickinsonowi – dam temu spokój i przestanę się szarpać”.

Serce bije mi coraz szybciej, kiedy Lia siada u szczytu stołu i kładzie na blacie dwie ciężkie teczki. Jest rzeczowa. Profesjonalna w każdym calu. Opanowana. Ale nie ma w niej śladu agresji.

– Jestem wdzięczna za wszystkie dodatkowe informacje na temat denatów, które mi dostarczyłeś, Denny – mówi. – To się przydało.

– Po to tu jestem.

Denny robił rozeznanie w terenie. Delikatnie omijając miejscowe organa śledcze, dowiedział się, ile tylko mógł, o Curtisie Valentine i Joelle Swanson.

Lia Janus rozgląda się po pokoju i ciężko wzdycha.

– Niewątpliwie bardzo skomplikowaliście życie paru całkiem przyzwoitym koronerom.

To źle czy dobrze? Wydaje się, że dobrze... czy tak?

– Odkąd tu pracuję, przeprowadziłam już ponad tysiąc autopsji – mówi. – Widziałam ludzi okaleczonych, zarżniętych i torturowanych, zmiażdżonych, zatłuczonych, pociętych i spalonych. Widziałam już wszystko, moi drodzy. Właściwie nie da się mnie niczym zaskoczyć.

No i? No i?

– Możecie jednak uznać, że to, co zobaczyłam podczas sekcji Joelle Swanson i Curtisa Valentine’a, mnie zaskoczyło.

– Nie umarli na skutek zatrucia dymem? – wyrzywa mi się, nim zdążę pomyśleć.

– Rzeczywiście zatruli się dymem – odpowiada, zwracając się do mnie.

To ostatnie, co chciałabym usłyszeć, jasne, ale coś w jej tonie, błysk w oku, mówi mi, że jeszcze nie wszystko dla mnie stracone.

– Jednak ich śmierć nie była przypadkowa – dodaje. – To były zabójstwa. Dokonane z zimną krwią w najbardziej genialny, metodyczny, okrutny sposób, jaki kiedykolwiek widziałam.

Rozdział 47

– Chciałabym od razu na wstępie zaznaczyć – kontynuuje doktor Janus – że gdybym dostała te ciała w rutynowy sposób, bez wcześniejszych rozmów z wami, prawdopodobnie doszłabym do tych samych wniosków co ci lokalni patolodzy. Że śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Otwiera pierwszą teczkę i puszcza w obieg odbitki zdjęć i dokumenty.

– Mamy tu Curtisa Valentine’a z Champaign, w stanie Illinois. Mężczyzna, lat trzydzieści dziewięć. I Joelle Swanson z Lisle, w stanie Illinois. Kobieta, lat dwadzieścia trzy – ciągnie sucho, lekko schrypniętym głosem, jakby powtarzała to już setki razy. – U obojga denatów stwierdza się obecność sadzy na śluzówce krtani i na grzbiecie języka. Tkanki miękkie i krew w narządach były ciemnoczerwone, co jest typowe przy poziomie karboksyhemoglobiny przekraczającym trzydzieści procent, czyli przy zatruciu tlenkiem węgla i cyjankiem. Wszystko wskazuje więc na to, że w czasie pożaru byli żywi i wdychali dym oraz substancje toksyczne. I do takiego właśnie wniosku doszli patolodzy w hrabstwach Champaign i DuPage.

Wszyscy zgodnie kiwamy głowami.

Urywa i patrzy na nas, na każdym zatrzymując wzrok odrobinę dłużej, aż robi się nam trochę nieswojo. Choć naprawdę trudno nas speszyć po tym tygodniu, który mamy za sobą. Wydaje się, jakby chciała nas oszacować.

– Ale prosiliście, żebym poszukała dokładniej – mówi. – Zrobiłam więc różne testy, których zwykle się nie wykonuje. Na przykład zbadalam szczegółowo sadzę z ich ust, gardła i płuc. Przeprowadziłam analizę gazów toksycznych. Oczywiście, na ogół to tlenek węgla i cyjanowodór. Najczęściej to są właśnie główni winowajcy, a szkody spowodowane przez inne gazy są trudne do wyodrębnienia. Logiczne. Ale kiedy pokopałam głębiej, zgadnijcie, co odkryłam.

– Co takiego? – pytam jak gorliwa uczennica.

Domagam się drastycznych szczegółów, które potwierdziłyby moją hipotezę, a zarazem ich nie chcę, bo przecież jedną z ofiar była moja siostra. Trudno powiedzieć, co bardziej sprawia, że szumi mi w głowie, a ręce i nogi się trzęsą.

– Osad związków chemicznych w gardle i w płucach to nie jest to, czego spodziewałabym się, kiedy ktoś leżał w łóżku, a wokół paliły się różne materiały, gąbka poliuretanowa, wykładzina, książki. Odkryłam niezwykle wysokie stężenie dwutlenku siarki. O wiele wyższe, niż można by oczekiwać w przypadku normalnego pożaru domu. To bardziej... – Śmieje się jakby przepraszająco.

– Co? – pytam.

Kręci głową.

– Jakby nawdychali się dymu z palącej się opony.

– Z palącej się opony? – powtarzam.

– Właśnie. – Uśmiecha się do mnie ponuro. – A nie zauważyłam, by w raportach lub dodatkowych informacjach była jakakolwiek wzmianka o spalonej na miejscu zdarzenia gumie.

– Rzeczywiście, nic takiego nie ma – przyznaje Denny Sasser.

– To jeszcze nie wszystko – dodaje Janus. – W tchawicach czy płucach nie ma śladów poparzeń. Dym, który wdychali, nie mógł więc być bardzo gorący. – Postukuje w blat wymanikiurowanym paznokciem. – Gdyby wdychali dym z pożaru, mieliby takie poparzenia.

– W takim razie... jak byś to zinterpretowała? – pyta Books.

Doktor Janus wzrusza ramionami.

– Nieoficjalnie powiedziałabym, że ktoś musiał sprokurować tego rodzaju dym i zmusił ich do jego wdychania, by wyglądało na to, że żyli, kiedy wybuchł pożar, i by lekarz sądowy doszedł do wniosku, że śmierć nastąpiła w wyniku zatrucia dymem. Jednak dym, który te osoby wdychały, musiał mieć inne źródło. Kiedy ich domy płonęły, oni oboje już nie żyli.

Wydaje się, jakby wszyscy w pokoju przyjęli te informacje z ulgą. Skład dymu i to, że nie mógł być gorący, absolutnie wykluczają możliwość, by Curtis Valentine i Joelle Swanson wdychali dym z pożaru. Już samo to przekreśla orzeczenia koronerów w Champaign i DuPage.

Dopiero teraz zauważam, że moje palce uderzają o blat – to nie takie bezwiedne, nerwowe postukiwanie, ale konwulsyjny łomot. „Opanuj się – upominam sama siebie. – Musisz tego wysłuchać. Nie myśl o niej. Nie chodzi o Martę. Chodzi o to, by złapać zabójcę”.

– Przypuszczam, że to jeszcze nie wszystko, co masz nam do powiedzenia – mówi Books.

Lia Janus parska nerwowym śmiechem.

– Rzeczywiście, nie wszystko – przyznaje. – Gdyby to było wszystko, to dziś w nocy nie dręczyłyby mnie koszmary związane z pracą, co nie zdarzyło mi się od dwudziestu lat.

Rozdział 48

Zamieniamy się w słuch, czekając na dalsze odkrycia doktor Olympii Janus. Ale grunt, że już odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Wnioski, do których doszli miejscowi koronerzy, można wyrzucić za okno.

Tylko dlaczego nie czuję euforii, że miałam rację? Bo jak to się mówi: „Uważaj, o czym marzysz”. Doktor Janus przedstawi nam za chwilę więcej szczegółów o śmierci Curtisa Valentine’a i Joelle Swanson – a tym samym również o śmierci mojej siostry.

Każde z naszej czwórki reaguje teraz podobnie, nawet nie mając do tego tak osobistego podejścia jak ja. Spuszczamy oczy, kulimy ramiona, przytupujemy nerwowo nogami. Wiemy już, jak niesamowicie przebiegły jest ten człowiek, a teraz dowiemy się, jaki jest okrutny i zły.

Janus rozkłada błyszczące odbitki zdjęć, które, jak wyjaśnia, pokazują w powiększeniu fragmenty uda Curtisa Valentine’a oraz okolice łokci i kolan Joelle Swanson.

– Popatrzcie na pęknięcia tkanki – mówi. – Takie spękania same w sobie są normalne przy tego rodzaju śmierci. Gdy płomień przypiekają zewnętrzne warstwy, żar ognia powoduje, że naskórek pęka i się odrywa. Później grubsze warstwy skóry wysychają, kurczą się i pękają. Te pęknięcia są równoległe do włókien mięśniowych, widzicie to?

Chyba tak. Komuś takiemu jak ja trudno się połapać, co jest na tych zdjęciach. Ale wygląda na to, że skóra pękła pionowo, ukazując mięśnie biegnące w tej samej linii. Jak łupina odsłaniająca ziarna.

– I o to chodzi – kontynuuje Janus. – Pęknięcia skóry spowodowane żarem są równoległe do włókien mięśniowych. Te, które byłyby raną szarpaną czy zadaną ostrym narzędziem, jak nóż, zwykle biegną w poprzek włókien. Podczas sekcji tak właśnie rozpoznaje się działanie osób trzecich: porównując

kierunek pęknięć z tym, jak biegną włókna mięśniowe. Rozumiecie, o czym mówię?

– Tak – mówi Books. – A te pęknięcia są równoległe do włókien mięśniowych, czyli wygląda na to, że spowodował je żar ognia.

– Zgadza się. Ale jeśli przyjrzeć się dokładniej, widać, że te pęknięcia biegną ściśle tak jak trzeba. Powiedziałabym, że są precyzyjne jak cięcie chirurga. Równiuseńkie i symetryczne. Po prostu zbyt idealne, żeby mogły powstać w sposób naturalny. I był przy tym bardzo sprytny. Wybrał te miejsca, które niemal doszczętnie zniszczył ogień i zostało niewiele poza resztką ciała na zwęglonej kości. Albo te, na których pęknięcia występują w sposób naturalny. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć solidną wiedzę medyczną i pewną rękę. Wasz obiekt pociął swoje ofiary na kawałki, i to tak, żebyśmy tego nie wykryli.

Znów trzęsą mi się ręce i żeby nad nimi zapanować, mocno splatam palce. Szum w głowie przybiera na sile, jak przy ładowaniu się silnego akumulatora.

– Na pewno słyszeliście o pozycji bokerskiej, którą przyjmują ofiary ognia, prawda? – pyta doktor Janus.

Wracam myślami do Marty, spalonej, zastygłej w pozie boksera. Kolana i ręce ugięte, postawa obronna. Zamykam oczy i oddycham głęboko.

– W przypadku śmierci w ogniu przykurcze, wywołane żarem, powodują ekspozycję stawów obwodowych, takich jak nadgarstki, łokcie i kolana, i często dochodzi do zwęglenia ich powierzchni. Uszkodzenia kości w tych miejscach to nic wyjątkowego. Ale popatrzcie tutaj – mówi, wskazując na staw łokciowy Joelle. – W tym miejscu stwierdziłam ubytek fragmentu kości, choć głębokość zwęglenia jest taka sama w całym tym fragmencie, tak jakby część kości została usunięta przed pożarem. Okoliczne tkanki w dużym stopniu uległy spaleni, choć widać ślady pęknięć skóry aż do kości.

– Prosimy o tłumaczenie – odzywa się Books.

– Przepraszam. Mówię o tym, że nasz obiekt przecinał im skórę, rozsuwał włókna mięśniowe lub przedostawał się głębiej, metodycznie dokonując w nich pionowych cięć, i wykrawał fragmenty kości swoich ofiar, zanim umarły. W zasadzie ciała tych nieszczęśników na drobne kawałki w łokciach,

nadgarstkach i kolanach. Rozcinał skórę i usuwał kość. Wyobraźcie sobie, że operują wam kolano bez znieczulenia, na żywcą, a zrozumiecie, przez co musieli przejść ci ludzie. Tylko że to były oba kolana, oba łokcie i oba nadgarstki. Pomnóżcie więc to doświadczenie razy sześć.

– Jezus Maria, Matko Boska – szepce Denny Sasser.

– I wiedział, że będzie to właściwie nie do wykrycia, bo te części należą do najbardziej narażonych na spalenie w pożarze.

Jakimś sposobem moje ręce znowu się rozłączyły, podejmując swoją spazmatyczną dygotkę, i nagle zdaję sobie sprawę, że światło w tym pokoju zrobiło się oślepiająco białe i od głośnego szumu wiruje mi w głowie, a wokół unosi się ohydny zapach zgnilizny...

– W porządku? Nic ci nie jest? – Doktor Janus prawdopodobnie kieruje to pytanie do mnie.

Twarz mnie pali, żołądek mi się skręca...

– Emmy – mówi Books.

– Zapomniałam... – rzuca doktor Janus. – Zapomniałam o związku osobistym...

– Nie, nie – słyszę swój głos. – Mów... mów dalej... bo jest coś więcej... prawda?

– Jest coś więcej – potwierdza Janus. – Tak naprawdę właśnie od tego momentu te dwie śmierci zaczynają się od siebie różnić. I wierzcie mi lub nie, ale tutaj robi się jeszcze gorzej.

Rozdział 49

– Czyli on nie zrobił tego samego obu ofiarom? – pyta Denny Sasser.

– No, niezupełnie – mówi Olympia Janus. – Oboje nawdychali się tego dymu, jakkolwiek to osiągnął. Także to bardzo bolesne nacinanie i usuwanie fragmentów kości w stawach można stwierdzić u obu osób. Ale przy dalszych oględzinach ciał widać już różnice. Zacznijmy od Curtisa Valentine’a.

Wyciąga z teczki dwa komplety odbitek zdjęć.

– Znalazłam ślady obrażeń na kościach skroniowych, a właściwie na czaszce. Widzicie te dwa pęknięcia, tu i tu? – Wskazuje miejsca na czole po obu stronach czaszki. – Czy to coś wyjątkowego? Bynajmniej, jeśli ktoś ginie w ogniu. Pęknięcia czaszki, spowodowane żarem, występują zwykle na kościach skroniowych. Obserwuje się je tuż za skronią lub nieco niżej. Na ogół ich krawędzie są nierówne, rozchodzą się promieniście od środka i mogą przecinać szwy kostne. Te tutaj właśnie tak wyglądają i są pod każdym względem typowe dla ofiary pożaru, jakby powstały po śmierci, na skutek działania ciepła. Ale popatrzcie – mówi dalej, wiodąc po jednej z linii gumką ołówka – na punkty centralne obu pęknięć. Mają identyczną średnicę. Identyczną. Jakie są szanse, że dwa takie pęknięcia u jednej ofiary będą dokładnie takie same? A przy okazji zaznaczę, że taką właśnie średnicę ma najpowszechniej stosowany szpikulec do lodu.

– Czyli sądzisz, że on dwukrotnie przebił czaszkę Curtisa Valentine’a szpikulcem do lodu – odzywa się Books. – W takich miejscach, żeby koroner uznał te pęknięcia za typowe dla ofiary pożaru.

– Właśnie tak. I w miejscach, gdzie można spodziewać się również pęknięcia skóry. A skoro już o tym mowa... tak samo jak w przypadku kolan, łokci i nadgarstków, tutaj, na czaszce, też

ciał wzdłuż tkanki mięśniowej, żeby wyglądało to na naturalne pęknięcia, spowodowane żarem ognia.

Na chwilę zapada cisza. Wszyscy starają się nadażyć za wywodem naszej uczonej pani patolog i każdy próbuje jakoś przetrwać te informacje, nie tracąc przy tym zjedzonego lunchu.

– Curtis Valentine został oskalpowany – podsumowuję w osłupieniu.

– Tak – potwierdza Janus. – Nasz obiekt przebił czaszkę pana Valentine’a w dwóch miejscach, by chwycić za skórę, a potem odrywał ją kawałek po kawałku, tak jak obiera się pomarańczę. Skrawki skóry pozostawił zwisające luźno na czaszce. Odpadały w miarę przypiekania i łatwo było uznać to za naturalne u ofiary pożaru.

– Dobrze – mówię, choć nie jestem pewna, czy nie tylko do siebie, żeby się uspokoić, żeby skupić się na obrazie klinicznym i nie myśleć o siostrze. – A czy on... kiedy to się działo... czy Curtis... czy on...

– Cały czas żył – oświadcza Janus. – Podczas rozcinania skóry na łokciach, kolanach i nadgarstkach, wycinania kości, skalpowania... ekspertyza histologiczna tkanek wykazała ich opuchliznę na krawędziach, co obserwuje się tylko w przypadku, gdy ofiara żyje.

Nie myśl o tym. Nie myśl o niej. Skup się na sprawie, zagadce, rozwiązaniu. Nie ma w tym nic osobistego. Nie chodzi o Martę...

Marta. Och, moja biedna, kochana Marta...

– Opiszysz jakieś straszne tortury – odzywa się Denny Sasser.

– Tortury to mało powiedziane – mówi Janus. – Emmy? Źle się czujesz?

Otwieram powieki i widzę wewnątrz swoich dłoni. Nie zdawałam sobie sprawy, że zakrywam nimi twarz. Opuszczam je i mrużę oczy, bo razi mnie światło.

– Emmy?

Kręcę palcem wskazującym w powietrzu, w nadziei że ona zrozumie, że chcę, by mówiła dalej, bo nie wiem, czy wydobędę z siebie głos.

– A co z Joelle Swanson? – pyta Books. – Nie została oskalpowana?

– Nie. – Lia Janus wzdycha. – W jej przypadku też zleciłam dokładne badanie histologiczne dostępnych próbek skóry, które jeszcze nadawały się do zbadania. Jej skóra i tkanka mięśniowa zostały niemal całkowicie zniszczone przez żar ognia, ale zachowały się fragmenty głębiej położonych tkanek z jej ud, noszące ślady oparzeń drugiego stopnia. Doznała ich przed śmiercią, bo w tkankach zdążyło dojść do takich reakcji jak obrzęk, rumień, stan zapalny, krwawienie. Moim zdaniem, wszystko wskazuje na to, że Joelle Swanson została poparzona.

– Poparzona? – powtarza Denny Sasser. – Jak przy oblaniu wrzątkiem?

– Tak – potwierdza doktor Janus. – Parzył ją wielokrotnie, ale dopuszczał jedynie do oparzeń drugiego stopnia.

– Dlaczego na tym się zatrzymał?

Lia Janus uśmiecha się smutno.

– Gdyby doszło do oparzeń trzeciego stopnia, uległyby zniszczeniu komórki nerwowe i to by już nie bolało. Natomiast rozległe oparzenie drugiego stopnia powoduje niewysłowioną mękę. Czy kiedykolwiek byliście w szpitalu na oddziale oparzeń? Tego rodzaju cierpienie może doprowadzić człowieka do obłądu, odbiera wolę życia. – Kręci głową. – On wiedział dokładnie, jak zmaksymalizować ból.

Books odchrząkuje.

– Czyli... oblewał ją wrzątkiem. Nacinał jej stawy rąk i nóg. Zmusił ją do wdychania duszącego dymu z palącej się gумы. A potem spalił w pożarze.

Nie Marta... nie Marta... jej to nie spotkało...

– Tak to wygląda – mówi Lia Janus. – Słuchajcie, nie jestem pewna, czy rozumiecie, co mówię o szczególnych cechach tych obrażeń. Przede wszystkim każde, ale to każde, zaplanował tak, by mogło zostać uznane za naturalne u ofiary pożaru. Czy moglibyśmy skazać go w sądzie na podstawie tego, co wam dziś powiedziałam? Nie. Bo za dużo tu niewiadomych. Głęboko wierzę w to, co wam przekazałam, ale zręczny adwokat zapędzi mnie w kozi róg, bo nigdy nie mogłabym całkowicie wykluczyć, że śmierć nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku... Ale do rzeczy. Każdy z tych czynów... każde z tych obrażeń zostało specjalnie wybrane po to, by spowodować niewyobrażalny ból, a jednocześnie zachować ofiarę przy życiu. Wrzynał się im

w ciało ze zręcznością chirurga, ale nie uszkodził ani jednej tętnicy. Jego ofiary nie wykrwawiały się, bo on nie chciał, by wykrwawiły się na śmierć.

Patrzy po kolei na każde z nas.

– Nie wiem, jak wpadliście na jego trop ani w jaki sposób zdołaliście skojarzyć te dwa przypadki. W każdym razie wykonaliście świetną robotę i muszę was za to pochwalić. Bo jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z czymś, co byłoby tak bliskie zbrodni doskonałej. I muszę dodać, że te morderstwa należą też do najohydniejszych, na jakie się kiedykolwiek natknęłam. Nasz obiekt dopuścił się niewiarygodnie okrutnych tortur i zdołał pozostać absolutnie niewidzialny.

Doktor Olympia Janus uderza dłońmi o stół i wstaje.

– Złapcie go – mówi. – Mam nadzieję, że zdążycie, zanim zrobi to znowu.

– Co dziś mamy – odzywa się Denny – środę, dwunasty września? On jest w połowie drugiego tygodnia swojej trasy.

– Racja – mówi Books. – Czyli najprawdopodobniej, kiedy my tu rozmawiamy, on osacza kolejną ofiarę.

Rozdział 50

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 12
12 września 2012

Halo, halo, jak się masz? Ja świetnie, dzięki.

No dobra, znów stosuję swój fortel z gadaniem przez telefon, bo akurat jestem w barze i robię to, co lubię najbardziej: obserwuję ludzi. A wy to lubicie? Chyba każdy lubi, prawda? Czy to nie dziwne, że prawie wszyscy wydają się nam cudacznymi? Ale popatrzcie na to z przeciwnej strony: czy oni was uznaliby za normalnych?

W każdym razie jutro znów ruszam dalej, więc dziś wieczorem robię sobie wolne, ale zamierzam pokazać wam na przykładzie, jak robię to, co robię, jak przyciągam ludzi, jak zyskuję ich zaufanie, bo...

(Uwaga spisującego: głos kobiety:) – Jesteś pisarzem?

Przepraszam, możesz chwilę poczekać? Ktoś coś do mnie mówi. Poczekać minutkę.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

(Kobieta:) – Pytałam, czy jesteś pisarzem.

– Czy jestem pisarzem? A skąd ten pomysł?

(Kobieta:) – Bo wydaje mi się, że obserwujesz ludzi i robisz notatki. Choć udajesz, że rozmawiasz przez telefon.

– Nie udaję. Naprawdę rozmawiam przez telefon.

(Kobieta:) – No dobrze, przepraszam, że zawracałam ci głowę.

Hej, mogę do ciebie zadzwonić później? Tak... Dobrze...
Dzięki... cześć.

(Kobieta:) – Przepraszam, to nie było grzecznie z mojej strony.

– Nie wierzysz, że rozmawiałem przez telefon?

(Kobieta:) – Trochę dziwnie wygląda ten telefon, ale w tych czasach to już nic nie wiadomo. Zresztą... nie powinnam się wtrącać. Naprawdę.

- Nie, nie, w porządku. A tak przy okazji, jestem Graham.

(Kobieta:) - A ja Mary.

- Mary, Mary, przekorna Mary. Jak w tej dziecięcej rymowance.

(Kobieta:) - Możliwe. Graham... to angielskie imię?

- Tak. Co pijesz, Mary?

(Kobieta:) - Wodę sodową. A więc... jesteś pisarzem?

- Nie, nie jestem. Chcesz zgadywać dalej?

(Kobieta:) - Jesteś gliną?

- Też coś. Dlaczego? Wyglądam na gliniarza?

(Kobieta:) - Niespecjalnie. Ale przyglądasz się ludziom w taki sposób... Pomyślałam, że może jesteś tajniakiem. Jakbyś kogoś śledził.

- Może to ciebie śledzę, Mary. Czy zrobiłaś coś złego, o czym powinienem wiedzieć?

(Kobieta, ze śmiechem:) - Ciekawe pytanie.

- Och, zaskocz mnie, nie daj się prosić. Powiedz.

(Kobieta:) - Tylko żartowałam.

- Co masz do stracenia, Mary? Nie znasz mnie. Jestem tylko jakimś gościem w barze. Równie dobrze mógłbym być księdzem. Wyznaj swoje grzechy.

(Kobieta:) - Skorzystam z piątej poprawki, jeśli pozwolisz.

- Ale z ciebie nudziara. Może zachęci cię, jak ja pierwszy się wypowiadam?

(Kobieta:) - Jasne.

- Jestem seryjnym zabójcą. Na swój nieprawdziwy telefon nagrywam swoje myśli dla potomnych. Wiesz, żeby pewnego dnia mogli studiować mój przypadek w FBI.

(Kobieta:) - Ilu ludzi zabiłeś?

- Setki, Mary.

(Kobieta:) - Mmm... nie do wiary. Wyglądasz raczej niegroźnie.

- I dlatego jestem taki dobry w tym, co robię. Wciągam ofiary w pułapkę. Tak jak ciebie na przykład.

(Kobieta:) - Starasz się mnie omotać? Próbujesz zdobyć moje zaufanie?

- Dokładnie.

(Kobieta:) - A nie przyszło ci do głowy, że to może ja jestem seryjną zabójczynią i to ja chcę cię omotać?

- Pewnie powinienem być bardziej ostrożny. Powiedz, Mary, co ty tu w ogóle robisz?

(Kobieta, chichocząc:) – Że niby taka grzeczna dziewczynka jak ja w takim miejscu?

– No tak, właśnie to miałem na myśli.

(Kobieta:) – Naprawdę chcesz wiedzieć? Byłam umówiona. Randka w ciemno. Moi przyjaciele umówili mnie z kimś i spotkałam się z nim tutaj. Pracuję tu, więc wydawało się, że to dobry wybór miejsca. Wypiliśmy po drinku i on wyszedł.

– Zupełna kłapa?

(Kobieta:) – Och, było bardzo miło. To sympatyczny facet.

– Mówisz to tak, jakbyś była rozczarowana, Mary.

(Kobieta:) – Może trochę. Ale przecież kogoś takiego powinnam szukać, prawda? Sympatycznego faceta. W każdym razie wszyscy mi to mówią.

– A ty szukasz innego?

(Kobieta:) – No, oczywiście, chcę, żeby był sympatyczny. Ale dla mnie najważniejsze, żeby był... no, z braku lepszego słowa, powiedziałabym: interesujący. Nie za słodki. Wiesz, może trochę mroczny, trudny.

– Lubisz złych chłopców?

(Kobieta:) – Tak bym tego nie określiła.

– Ale nie takich niegroźnych jak ja.

(Kobieta:) – Może jesteś niegroźny, ale jednak interesujący.

– No dobrze. A co we mnie takiego interesującego?

(Kobieta:) – Chyba... lepiej dajmy już temu spokój.

– Jestem ciekaw, naprawdę. Dlaczego wydają ci się interesujący? Nie żebym cię podrywał. Wcale nie. Umówmy się: żadnego flirtowania. Ale przyznam, że chciałbym to wiedzieć.

(Uwaga spisującego: 27 sekund przerwy).

– To co, zostawisz mnie tak w niepewności? Wyjdiesz bez...

(Kobieta:) – Po prostu... Jutro muszę wcześniej wstać. Ale bardzo miło było z tobą pogadać, Graham. Powodzenia w pisaniu... albo w seryjnych zabójstwach.

– Mary, Mary, naprawdę jesteś przekorna, Mary.

(Uwaga spisującego: 11 sekund przerwy).

(Kobieta:) – No dobrze. Naprawdę chcesz wiedzieć, co widzę w tobie interesującego?

– Umieram z ciekawości.

(Kobieta:) – To ci się nie spodoba.

– Postaram się znieść to dzielnie.

(Kobieta:) – No... chyba coś takiego w twoich oczach. Jakbyś chciał czegoś, czego nie masz. Wydaje się... jakby... coś cię dręczyło. Mam nadzieję, że się mylę. Ale naprawdę muszę już lecieć. Miło było cię poznać, Graham.

(Uwaga spisującego: 41 sekund przerwy).

– Mary, Mary. Mary, Mary.

O rany.

(koniec)

Rozdział 51

– No już dobrze... Już dobrze...

Books powtarza mi te słowa do ucha łagodnie, jakby uspokajał dziecko. Chwiejnym krokiem wychodzę z Biura Medycyny Sądowej hrabstwa Cook. Milczę. Books podtrzymuje mnie mocno pod ramię, żebym nie upadła. Kiedy dochodzimy do auta, biegnę naprzód i wymiotuję w krzaki. Wstrząsają mną głębokie skurcze, a ja, skulona, opieram mocno dłonie na kolanach i próbuję złapać oddech pomiędzy kolejnymi atakami torsji.

Kiedy kończę, kiedy to mija, Books podaje mi chusteczki, wycieram się, po czym on pomaga mi zająć miejsce na tylnym siedzeniu auta.

– Prze... przepraszam – bełkoczę i to jedyne, co udaje mi się wydobyć z siebie w czasie jazdy powrotnej do hotelu, kiedy Books, Denny i Sophie zapewniają mnie gorliwie, że nie ma problemu.

Ale jest, wiem to. Wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłam. Od kiedy dotarło do mnie, co on zrobił. Co zrobił Marcie.

W hotelu Books idzie za mną do mojego pokoju i bez słowa wchodzi. Kładzie mnie do łóżka i przysiada obok, z jedną stopą na podłodze, drugą na łóżku, z dłonią na moim ramieniu.

– Chcesz czegoś? – pyta. – Może wody?

Nie odpowiadam. Gapię się na tandetną tapetę i wydaję gardłowy jęk.

– No, dalej, powiedz to – szepczę, ochrypłym od flegmy głosem.

– Nie będę nic mówił. – Idzie do umywalki, nalewa mi szklanek wody i stawia przy mnie na stoliku. – Przynajmniej do jutra.

„I dlatego nie pracuje się nad sprawami, które mają dla nas wymiar osobisty”. Ostrzegali mnie przecież. I miał rację.

– Powinnaś wejść pod kołdrę, Emmy. Cała się trzęsiesz.

– To nie z zimna.

– Wiem, wiem.

Pociera moje ramię. Serdecznie, niemal czule. Ileż to razy robił podobnie, dawno, dawno temu, gładząc wolniej, bardziej zmysłowo.

– No już dobrze – powtarza znowu. – Wygrałaś. Pamiętaj o tym.

Zamykam oczy na znak, że rozumiem to. Dociera do mnie znaczenie tego, co właśnie stało się tam u Olympii Janus. Nasze śledztwo zyskuje oficjalną akceptację.

– Uwaga Lii była słuszna, Emmy. To imponujące, że udało ci się wykryć te zbrodnie. I w dodatku dokonałaś tego całkiem sama. Walczyłaś, idąc pod prąd. Na przekór falom całego oceanu. Nawet ja w ciebie zwątpiłem. A ty miałaś rację. I teraz możemy wykorzystać wszystkie dostępne nam środki, by złapać tego faceta. Złapiemy go, Em.

Siadam na łóżku, półprzytomna, kręci mi się w głowie.

– Gdzie mój laptop?

Books wyciąga rękę, próbuje mnie powstrzymać.

– Nie dziś wieczorem, Emmy. Musisz odpocząć.

– Nie...

– Posłuchaj mnie, Emily Jean. Jesteś tylko człowiekiem. Funkcjonowałaś jak maszynka, śpiąc ledwie parę godzin na dobę, i to od wielu tygodni... pewnie i miesięcy... a teraz przeżyłaś prawdziwy szok. Zrób sobie małą przerwę. Dla dobra śledztwa prześpij tę noc. Sprowadzę tu jutro kilkunastu agentów. Mamy teraz za sobą wszystko, czym dysponuje FBI. Jeśli naprawdę chcesz go złapać, musisz zadbać o siebie, być w formie.

Jak zwykle, Books rozumie mnie dużo lepiej niż ja sama. Opuszczam głowę na poduszkę i patrzę w sufit.

Books przyciemnia światła.

– Będę spał tutaj, w tym fotelu – mówi. – Zostanę z tobą całą noc, dobrze?

– Dziękuję – szepczę.

On przez chwilę się nie odzywa. Czuję, jak zaczynam się zapadać, oczy mi się kleją. Wiem, że tej nocy mój sen będzie niespokojny. I wiem, co będzie mi się śniło.

– Złapiemy go, Em. Pamiętaj.

To Marta. Wraca do mnie. Obrazy, które starałam się od siebie odepchnąć, odkąd Lia Janus przedstawiła nam swój szczegółowy raport. Wizje, których nie zdołam uniknąć, kiedy poddam się senności. Nóż w jej kolanie, szpikulec do lodu w czaszce, wrzątek lany na jej ciało...

– Ja... nie chcę go... złapać – mamroczę. – Chcę... go zabić.

Rozdział 52

Dziewiętnaście par oczu – dwunastu agentów i siedmiu analityków – wlepią się we mnie, kiedy kończę swoją prezentację. Znów moja mapa z niebieskimi i czerwonymi gwiazdkami. Podsumowanie schematu działania naszego obiektu: dwa zabójstwa tygodniowo od Święta Pracy mniej więcej do Nowego Roku, wolniejszy tryb wiosną i w miesiącach letnich.

– Jakieś pytania? – rzucam. – Uwagi?

Rozglądam się po sali. Znam tylko paru z tych agentów, niektórzy są z naszej centrali, inni z biura w Chicago. Nawet Books nie zna ich wszystkich, a był agentem przez ponad dziesięć lat.

Teraz prowadzi to śledztwo. Podzielił agentów na grupy i w każdej jest wyznaczony szef, który co wieczór będzie Booksowi składać raport. Jeden zespół ma za zadanie natychmiast reagować na nowe przypadki, zgodnie z teorią, że im szybciej pojawimy się na miejscu, tym bardziej efektywne mogą być nasze działania (włączając w to mrzonki, że złapiemy sprawcę, zanim opuści dane miasto). Inny zajmie się starymi zdarzeniami, przeczesując długą listę dawniejszych morderstw. Jego członkowie będą prowadzili bezpośrednie przesłuchania, starali się wytypować podejrzanych i określić schemat ruchów naszego obiektu.

Mamy też dwa zespoły do zbadania ostatnich przypadków, których ofiary są, by tak powiedzieć, jeszcze ciepłe, a ślady najświeższe. Grupa Nebraska/Kolorado skupi się na podwójnym zabójstwie w Grand Island, z zeszłego tygodnia – sprawie Luthera Feagleya i Tammy Duffy – oraz na popełnionym dwa dni później w Lakewood zabójstwie Charlesa Daleya.

A grupa Illinois będzie prowadziła śledztwo dotyczące zabójstwa Curtisa Valentine'a w Champaign i Joelle Swanson

w Lisle. W skład tego zespołu wchodzi nasza czwórka – Books, Denny, Sophie i ja – i jeszcze kilka osób.

Z tyłu sali podnosi się jakaś ręka. Mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w czarny jak smoła garnitur. Samo to, że muszę skierować na niego wzrok, wywołuje grymas bólu na mojej twarzy. Albo jakieś krasnoludki pracują młotem pneumatycznym za moimi oczami, albo mam najgorszą migrenę w życiu. Jestem jak skacowana po tej nocy przerywanego snu, potwornych koszmarów i nieustannych mdłości.

– Więc zakładamy, że mieszka tu, na Środkowym Zachodzie, a jesienią podróżuje.

– Zgadza się.

– Jaki rodzaj pracy pozwala siedzieć w domu wiosną i latem, ale jesienią wymaga przemieszczania się właściwie co tydzień?

Wzruszam ramionami.

– Nie jestem przekonana, czy on podróżuje służbowo. Tak naprawdę myślę, że nie.

– A dlaczego nie? – zaczepnie rzuca agent. – To logiczny wniosek. Może jest kierowcą ciężarówki, komiwojażerem albo kimś takim. Miałby mocne uzasadnienie dla swoich podróży po kraju. Czemu nie przyjmujemy tej najprostszej hipotezy? Ja bym tak zrobił. W razie przesłuchania na policji chciałbym mieć ważny powód, dlaczego znalazłem się w tych miejscach.

– Ale on nie – mówię.

– Naprawdę? On nie? Nie zabezpiecza się w ten sposób? A konkretnie dlaczego? – Agent zaciska usta, jakby powstrzymywał uśmiech, i rozgląda się wokół siebie.

Typowa buta agenta specjalnego: „Patrzcie no na tę analityczkę, która próbuje grać rolę agenta specjalnego. Dalej, dalej, maleńka, podziel się z nami swoją imponującą wiedzą!”.

– Weźmy pod uwagę, jak metodycznie działa nasz obiekt – odpowiadam. – Popatrzmy na wyniki autopsji, przedstawione przez Lię Janus. Na chirurgiczną precyzję, z jaką torturował ofiary, by nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że to było morderstwo. To nie jest ktoś, kto chciałby zostawiać za sobą ślady w jakichkolwiek papierach, gdzie można byłoby prześledzić jego ruchy tydzień po tygodniu, patrząc na zlecenia albo pokwitowania.

Kręcę głową i zaczynam chodzić w tę i z powrotem.

– Z zeszłorocznych danych, ze schematu morderstw, jakie popełnił od Święta Pracy do końca roku, wiemy, że co tydzień dokądś się wybierał, zabijał dwoje ludzi, potem wracał do swojej bazy gdzieś na Środkowym Zachodzie, a w następnym tygodniu znów wyjeżdżał. Najprawdopodobniej porusza się samochodem. To wydaje się logiczne, bo nie chciałby zostawiać tropów, kupując bilet lotniczy. Mógłby jeździć pociągiem, ale to bardziej czasochłonne i nie wszędzie się dotrze, a poza tym też dałoby się sprawdzić. I założyłabym się, że nie wypożycza samochodu, tylko korzysta z własnego, również po to, by nie zostawiać żadnych śladów. Posunęłabym się nawet do przypuszczenia, że za wszystko płaci gotówką. Za benzynę, jedzenie, noclegi. Człowiek, który zadaje sobie tyle trudu, by torturować ludzi w taki sposób, by nie wyglądało to na tortury... na przykład wypełnia ich płuca dymem z palącej się gumy i zadaje im niewysłowiony ból, pozorując urazy charakterystyczne dla ofiar pożaru... to nie jest ktoś, kto mógłby być tak nieostrożny, by zdradzić się przez rodzaj wykonywanej pracy. Nie – dodaję z ciężkim westchnieniem – nawet jeśli go odnajdziemy, to jestem pewna, że nie zdołamy mu udowodnić, że znajdował się w którymś z tych miejsc w danym czasie albo nawet że w ogóle ruszał się wtedy z domu.

Agent o kpiącym uśmiešku już się nie uśmiecha, ale nie zamierza się poddać.

– Sugerujesz, że w ogóle nie powinniśmy brać pod uwagę tego tropu?

– Nie. Proszę, zbadajcie to od tej strony. Mówię tylko, co myślę.

– Ale zacznijmy od założenia Emmy – włącza się Books. – Że nasz obiekt dokłada wszelkich starań, by nie było śladów na papierze. Nie używa kart kredytowych, nie wypożycza samochodów i tak dalej. To jednak wcale nie znaczy, że nigdzie nie zostawił żadnego śladu, prawda? – zwraca się do wszystkich zebranych. – Jeśli chodzi o morderstwa z zeszłej jesieni, zbadajcie każdy rejon, gdzie był i gdzie dokonywał po dwa morderstwa na tydzień... Skontrolujcie wszystkie okoliczne hotele, dowiedzcie się o gości, którzy w tym okresie płacili gotówką. Przecież musieli chyba pokazać dowód tożsamości, prawda? Sprawdźcie karty parkingowe wydane w tych

widełkach czasu dla samochodów z rejestracją z innego stanu. Poza tym musiał mieć przy sobie spory zapas gotówki, prawda? Zanim więc co tydzień opuszczał dane miasto, może wyciągał większe sumy z banku lub bankomatu. Szukajmy takich informacji dla każdego tygodnia zeszłej jesieni. Chodzi o duże sumy pieniędzy, zapewne przekraczające tysiąc dolarów.

Czuję przypływ energii. Dobrze. Jest dobrze. Tylu inteligentnych, utalentowanych ludzi gotowych do współdziałania. Razem na pewno wpadniemy na jakiś trop.

Nareszcie. Nie trwonimy już czasu, patrząc wstecz, udowadniając, że w ogóle doszło do zbrodni. Teraz patrzymy naprzód, staramy się rozwiązać sprawę.

– Mamy nadzieję, że wkrótce będzie opracowany profil mordercy – mówi Books. – A na razie... co wieczór o szóstej wieczorem czasu środkowego wideokonferencja z szefami zespołów. – Klaszcze w dłonie. – Złapmy tego drania.

Rozdział 53

Tawerna jest o tej godzinie, o piętnastej pięćdziesiąt siedem, w trzech czwartych pełna. Po jednej stronie typowy długi bar, pośrodku otwarta przestrzeń ze stolikami, a po drugiej stronie, w głębi, większe stoły. Klientela to głównie młodzież. Niektórzy chyba dopiero skończyli dwadzieścia jeden lat, co uprawnia ich do picia alkoholu, inni są ciut starsi, może studenci. Przez tę gromadę przedzierają się zręcznie kelnerki niosące tace z kufkami piwa i drinkami. Pewnie gra głośna, rytmiczna muzyka, ale nie mamy dźwięku – dostaliśmy tylko ziarnisty czarno-biały zapis wideo ze zwykłej kamery monitoringu, zamontowanej w rogu sali. Przegrano go nam na płytę, która teraz kręci się w laptopie Sophie Talamas.

Wszyscy czworo – Books, Denny, Sophie i ja – skupiliśmy się przed ekranem. Denny Sasser wskazuje długopisem mężczyznę idącego przez tłum w kierunku większych stołów. Na zapisie z nieruchomej kamery zawieszanej wysoko w końcu baru ten facet przechodzi środkiem ekranu i zmierza do prawego rogu w dół. Jest niski, przysadzisty, ma na sobie czarną koszulę i czarne dżinsy. Włosy ściągnięte w kucyk. Podstarzały hipis.

– To Curtis Valentine – mówi Denny.

Serce mi łomocze. Jest coś wstrząsającego w tym, że patrzy się na człowieka, który ostrożnie niesie sobie piwo do stolika, idąc całkiem na luzie, i nie ma pojęcia, że zostały mu już tylko godziny życia, godziny niewyobrażalnej męki.

To nagranie pochodzi z Tawerny Benny'ego w Urbanie w Illinois, z dwudziestego dziewiątego sierpnia, dnia, w którym Curtis Valentine został zamordowany.

Valentine dalej zmierza do dolnego prawego rogu ekranu, aż znika nam z pola widzenia. Wybiera stolik w samym kącie. Rozsądna decyzja, jeśli był tu z kimś umówiony. Niestety, kamera nie obejmuje tego fragmentu lokalu, koncentruje się na środku sali, wejściu i podłużnym barze, gdzie jest kasa.

Właściciele chcą mieć oko na barmanów, a przede wszystkim na pieniądze.

– Żegnaj, panie Valentine – mówi Denny, kiedy Valentine znika nam z ekranu. – Bądź tak dobra, Sophie, i przesuń do szesnastej zero cztery.

Sophie posłusznie przesuwa wideo o siedem minut naprzód.

– Patrzcie na wejście. – Denny wskazuje górny lewy róg ekranu.

W pokoju zapada milczenie. Books chrząka.

– Jest – mówi Denny, kiedy drzwi baru się otwierają.

Do lokalu wchodzi mężczyzna. Widać go od prawej strony. Trzyma telefon przy uchu, częściowo zasłaniając sobie twarz. Ma na głowie czapkę z daszkiem, przez co jeszcze trudniej dostrzec jego rysy. Okulary dopełniają tej maskującej triady. Ziarnistość nagrania też nie pomaga. Ale i tak widzimy kilka rzeczy. Mężczyzna, biały, być może łyśy, średniego wzrostu, a pod granatową wiatrówką zaznacza się wydatny brzuch.

– To nasz obiekt – oznajmia Denny.

Nikt nic nie mówi, ale w powietrzu czuje się napięcie. To człowiek, którego szukamy. Ten, na którego poluję od miesięcy. Z krwi i kości. Zdaje się tak blisko, że muszę się hamować, by nie wyciągnąć dłoni i nie dotknąć ekranu.

Oto morderca, który zabijał raz po raz, bezkarnie. Dopuścił się tortur tak okrutnych, że wprawiłoby to w osłupienie nawet ONZ-owską Komisję Praw Człowieka.

Ten człowiek zabił moją siostrę.

Rozdział 54

– Cześć, kanalio – mówi Books do ekranu komputera.

W ten sposób Books zawsze określał przestępców, których tropił, czy to bandytów napadających na banki, czy porywaczy, czy seryjnych morderców. To słowo wyraża wrogość, ale przede wszystkim pogardę, brak szacunku. Co jest wyraźnym, choć może podświadomym sygnałem dla zespołu, że on nie boi się tego człowieka, więc i oni też nie powinni się bać.

Na ekranie ten mężczyzna – zabójca, być może najgorszy człowiek pod słońcem – dalej prowadzi rozmowę telefoniczną, pochylając lekko głowę, kiedy mówi i słucha, od czasu do czasu zakrywając lewą dłonią lewe ucho.

– Mamy pecha, że akurat gada przez telefon – mówi Sophie.

– To żaden pech – stwierdza Books. – On dobrze wie, gdzie jest kamera. Kryje się, chcąc wyglądać jak najbardziej naturalnie, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Nasz obiekt idzie przez zatłoczony bar. Wciąż widzimy go z prawego profilu. Od czasu do czasu znika nam w tłumie, ale zaraz znów się pojawia, aż wreszcie odwraca się i przez chwilę jest niemal na wprost kamery, gdy rusza na tył tawerny – w dół ekranu.

– Zatrzymaj – mówię, kiedy Sophie właśnie wciska pauzę.

Obraz nieruchomieje, od czasu do czasu drgając. To najlepsze ujęcie, jakie możemy mieć, ale to za mało. Jego twarz jest na wprost nas, jednak on wciąż lekko się nachyla, rozmawiając (albo udając, że rozmawia) przez telefon. Daszek czapki praktycznie zakrywa mu oczy, widać tylko nos, usta i brodę.

– Tak, on wie, gdzie jest kamera – powtarza Books. – Puść dalej, Soph.

Soph. Czuję lekkie ukłucie w sercu. Soph, nie Sophie.

Kiedy ekran ożywa, nasz obiekt, nadal pochylając głowę, kieruje się w stronę Curtisa Valentine'a. Po raz pierwszy widzimy wyraźnie torbę, którą ma przewieszoną przez lewe

ramię. Niewątpliwie zawiera jego zabawki – łatwo zgadnąć, że są tam między innymi szpikulec do lodu, narzędzia chirurgiczne, pojemnik z gazem i maska przeciwgazowa, może paralizator, niewykluczone, że i broń palna.

Kiedy jest już przy prawym dolnym rogu ekranu, unosi głowę i na ile mogą coś zobaczyć, kończy rozmowę telefoniczną, po czym zwraca się do Curtisa.

Ale zaraz znika, jest już poza zasięgiem kamery.

– Cholera – wyrzywa mi się.

– Możecie oglądać dalej – mówi Denny. – Ale on już się nie pojawi aż do chwili, gdy będą wychodzić, o siedemnastej zero trzy. I nie róbcie sobie zbytnich nadziei.

Sophie przesuwam nagranie do tej godziny. Kiedy Curtis Valentine wychodzi z naszym obiektem, ten jest po jego prawej stronie. Nasz obiekt oddala się od nas, a w dodatku obraca się w prawo i mówi coś do Curtisa, przez co widzimy tylko tył jego głowy, czapkę i wiatrówkę. Obaj mężczyźni idą przez bar do wyjścia – w lewym górnym rogu ekranu – i przez cały czas nasz obiekt daje radę być odwrócony od kamery, a przy tym wygląda to całkiem naturalnie.

– Niezły jest – rzuca Books.

– Tyle to już wiedzieliśmy. Sophie, możesz cofnąć do tego ujęcia od przodu, które było przedtem?

Obraz miga, wszyscy cofają się w przyspieszonym tempie. Przypomina mi to stary film z czasów, kiedy Marta i ja miałyśmy roczek i tata uczył nas chodzić. Włączyliśmy sobie to wideo dziesięć lat później na Gwiazdkę. Był na nim nasz tata. Prowadził nas, a potem puszczał nasze rączki, żebyśmy spróbowały same. Bliźniaczki stawiające niezdarne, chwiejne kroki, jak pijani marynarze, upadające potem do tyłu na pupy. Pamiętam, jak oglądaliśmy to razem, tata, mama, Marta i ja, a tata wiele razy cofał film, przyspieszając tempo, więc Marta i ja mozolnie brnęłyśmy naprzód, padałyśmy, a potem wstawaliśmy i wracałyśmy szybko tyłem do rąk taty. Śmiałyśmy się do rozpuku, kiedy tata puszczał ten kawałek w tę i z powrotem, wiedział, jak nas rozśmieszyć. W pokoju panował półmrok, a ja popijałam małymi łyżkami słodkie mleczko z kogłem-mogłem (Marta go nie znosiła, ja uwielbiałam). Pamiętam ciepło trzaskającego w kominku ognia i przyjemne

uczucie, że jak co roku wiszą tutaj te same bożonarodzeniowe skarpety.

– Jest – mówi Books.

Wstrzymany obraz drga, jakby miał na nas wyskoczyć. Sophie próbuje zrobić powiększenie, ale przy tak nieostrym zapisie wszystko rozmazuje się jeszcze bardziej. Po kolejnych próbach znajduje najlepszy kadr, jaki się da.

Oczu właściwie nie można zobaczyć. Widać jednak owal twarzy i wydłużony smukły nos. Mimo kurtki rysuje się typ budowy. Spadziste, wąskie ramiona. To już coś. Każde z nas zastanawia się teraz, czy zdołalibyśmy go rozpoznać, gdybyśmy go zobaczyli na żywo?

Ja dochodzę do wniosku, że tak. Ale może to tylko moje pobożne życzenie. Kto wie, czy nasz obiekt naprawdę jest łysy? Kto wie, czy rzeczywiście ma wydatny brzuch? Wiedząc o nim to, co wiemy, można być pewnym, że przynajmniej to i owo jest przebraniem. Dodajcie mu blond włosy, zdejmijcie okulary, włóżcie garnitur i krawat, usuńcie sztuczny brzuch – i prawdopodobnie mógłby przejść obok każdego z nas niezauważony.

To znaczy – powiedzmy sobie szczerze, do cholery – mógłby nawet mieć na sobie dokładnie to samo co na tym nagraniu i minąć nas, nie zwracając naszej uwagi. Bo wygląda właśnie tak, jak chce wyglądać. Zwyczajny facet po trzydziestce. Przeciętny, niczym się nie wyróżnia.

Normalny gość. Ktoś zupełnie niegroźny.

Rozdział 55

Books odsuwa się od biurka, na którym stoi komputer. Po jego minie widać, że jest trochę rozczarowany. Denny uprzedzał nas, że na tym wideo niewiele da się zobaczyć, ale nie potrafiliśmy opanować rosnących w nas nadziei. Po raz pierwszy mieliśmy szansę zobaczyć człowieka, którego szukamy. Teraz adrenalina powoli opada i zastępuje ją fala frustracji.

– Damy to technikom, zobaczymy, na ile można poprawić jakość obrazu – mówi Books, wzdychając głęboko. – Ale nie sądzę, żeby to wystarczyło do identyfikacji.

Ma rację. Nie jestem zbyt biegła w ustalaniu tożsamości tym sposobem – analitycy wywiadu zaangażowani w sprawę bezpieczeństwa narodowego mają tu o wiele większe doświadczenie – ale wiem na ten temat dosyć, by zdawać sobie sprawę z ograniczeń tej metody. Ujęcie obiektu z profilu nie zaprowadzi nas daleko, a nawet to od przodu nie pokazuje źrenic czy wielu innych ważnych elementów, jak oczy, cały nos, kości policzkowe. Nie da się też określić rodzaju cery, czy jest gładka i jasna, czy bardziej ogorzała.

On po prostu nie dopuścił do tego, by kamera go dobrze uchwyciła.

Books pociera twarz dłońmi.

– Uzyskaliśmy dziś rano nakaz przeszukania komputerów Curtisa Valentine’a – mówi. – Powinniśmy mieć z tego raport przed wieczorem, więc bardzo szybko dowiemy się, z kim był umówiony. A przynajmniej poznamy imię i nazwisko, jakie tamten mu podał. Tak czy owak, robimy postępy, naprawdę.

Prycham sarkastycznie. Ale Books ma rację, dopiero dwa dni temu FBI oficjalnie uznało te pożary za morderstwa, a my już mamy pierwsze wyniki śledztwa.

„Gdybyśmy tylko zaczęli działać szybciej”, powtarzam sobie w myśli po raz enty. To stały refren, który kołacze mi się po

głowie. Całe to opóźnienie doprowadziło do tego, że zginęli kolejni ludzie.

Znów patrzę na ekran, na niewyraźne czarno-białe zdjęcie mężczyzny. Prawie kpi sobie z nas, podchodząc tak blisko do kamery, a jednak nie pozwalając na dobre ujęcie od przodu, znając dokładnie kąt, pod którym...

Zaraz, zaraz...

– On musiał być tu wcześniej – mówię. – Sam powiedziałaś, Books, że on już, wchodząc do baru, dobrze wiedział, gdzie jest kamera.

– Tego dnia wcześniej go tam nie było – wtrąca Denny. – Oglądaliśmy nagranie od samego otwarcia baru.

– No to pewnie zajrzał tam poprzedniego dnia – stwierdzam.

– Możliwe. – Books powoli kiwa głową. – Tak, to bardzo prawdopodobne.

Zrywam się z krzesła i zaczynam krążyć po sali. Kiedy wciągnie mnie jakiś temat, lubię chodzić. Tak jakby głowa mi nie pracowała, jeśli nogi są w bezruchu.

– Poszedł tam i dokładnie rozpracował układ sali. Pewnie siadł przy barze i dobrze się rozejrzał. I pewnie był ubrany całkiem inaczej.

Books patrzy na Denny'ego.

– Sprawdzę to – mówi Denny. – Nie wiem tylko, czy zachowali tak stare nagrania. Mieliśmy sporo szczęścia, że znalazło się jeszcze to z dwudziestego dziewiątego sierpnia. Ale zaraz się dowiem.

Denny bierze komórkę i wychodzi. Books patrzy mi w oczy i z uznaniem kiwa głową.

– Robimy postępy – powtarza. – To tylko kwestia czasu, kiedy wpadniemy na ślad, który nas do niego doprowadzi.

– I dobrze, bo to tylko kwestia czasu, kiedy on znów kogoś zabije – mówię. – Może nawet dziś albo jutro.

Rozdział 56

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 13
14 września 2012

Powiedz im, Nancy. Powiedz to, żeby moi przyjaciele usłyszeli.
(Uwaga spisującego: w tle słychać głos kobiety, nie można zrozumieć, co mówi).

Uwierzyłaś mi. Kiedy stanąłem na progu, naprawdę uwierzyłaś, że sprzedaję ciasteczka upieczone przez dziewczynki z drużyny skautów. No, jeśli to nie jest dowód moich umiejętności, to nie wiem już, co mogłoby was przekonać!

No dobrze, przyznam, że zgrywałem trochę zmieszanego. Powiedziałem, że moja córka leży w domu z grypą, a ma termin, w którym musi sprzedać przydzieloną jej porcję, więc czy mógłbym zaproponować te ciasteczka w jej imieniu? I naprawdę miałem ze sobą pudełko miętowych herbatniczków w czekoladzie.

Ach, cóż za dzień! Słońce zaszło, ptaszki ćwierkają, liście zmieniają kolory, powietrze jest czyste i rześkie, a my z Nancy zaczynamy się poznawać bliżej. Jak mógłbym nie być szczęśliwy? Oczywiście, że jestem szczęśliwy.

Skąd też tej Mary, Mary, przekornej Mary, przyszło do głowy, że coś mnie trapi? Nic o mnie nie wie. „Coś takiego w twoich oczach – powiedziała. – Jakbyś chciał czegoś, czego nie masz”. Co też mogłoby mi się marzyć, czego już nie mam? Dzięki Bogu, jestem zdrow. Uwielbiam to, co robię. I jestem w tym absolutnym mistrzem! Co jeszcze w życiu się liczy?

Myślisz czasem o takich sprawach, Nancy? Pewnie trudno jest mówić w masce gazowej. No nic, nie załamuj się, dla ciebie to już i tak prawie się skończyło.

(Uwaga spisującego: świszczący dźwięk).

O, hej! Słyszysz to, Nancy? Nie odchodź, zaraz wracam!

Miła dziewczyna, ta Nancy. Bardzo sympatyczna i łagodna. Młodo urodziła dziecko, więc jej syn jest już w college'u, choć ona ledwie przekroczyła czterdziestkę. Rozwiedziona, bez zobowiązań. Samotna.

Największym zmartwieniem Nancy jest to, czy jej syn, Joseph, znajdzie swoją wielką miłość. Twierdzi, że brakuje mu wytrwałości. Najwyraźniej przechodził trudny okres w szkole średniej: narkotyki, kilka aresztowań za drobne kradzieże w sklepach. Częścią problemu jest jej były mąż. Nie łoży na utrzymanie syna, jak powinien, i nie poświęca mu zbyt wiele czasu. Ale z Joeyem jest już lepiej i chłopak ma nadzieję, że kiedyś zostanie terapeutą osób uzależnionych.

A tak przy okazji, nie chcę się czepiać, ale jeśli już kogoś coś dręczy, to Mary, Mary, przekorną Mary. Kiedy ją spotkałem, była właśnie po randce w ciemno. Kobieta tak samotna, że jest gotowa umówić się z kimś, kogo nie widziała na oczy, będzie mi gadała, że coś mnie dręczy?

Nic mnie nie dręczy.

No proszę, nie krępujcie się, już prawie słyszę, jak to mówicie. „On przekazuje swój smutek dalej. Poprawia sobie samopoczucie, zadając innym ból. Ich cierpienie to dla niego lekarstwo”.

Przepraszam, strzał niecelny. Ale dzięki za włączenie się w grę. Co mamy dla przegranych, Johnny? Po pierwsze, egzemplarz klasyfikacji zaburzeń psychicznych, ufundowany przez naszego sponsora, czyli Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne. U nich obowiązuje zasada: jeśli masz jakikolwiek problem, to już my wymyślimy, jak go zdiagnozować i nazwać.

A to jeszcze nie wszystko! Bo po drugie, przegrani dostaną *Objaśnianie marzeń sennych* doktora Freuda, z opisem katartycznych odkryć dotyczących zazdrości o penisa, lęku przed kastracją i kompleksu Edypa. Niech doktor Freud rozwiąże wasz aktualny problem! A jeśli nie da rady, nie traćcie nadziei! Zrzuci całą winę na wasze niespełnione żądze wobec matki.

Nancy, Nancy! Już jestem z powrotem. Pamiętasz naszego przyjaciela, czajniczek? A teraz siedź spokojnie, nie ruszaj się, kochanie. Obawiam się, że to będzie bolało.

(koniec)

Rozdział 57

Słyszę stukanie w klawiaturę po drugiej stronie linii. Sierżant Roger Burtzos z Wydziału Policji w New Britain mówi:

– Dobrze, panno Dockery, mam tu potwierdzenie pani tożsamości. Proszę powiedzieć mi raz jeszcze, o co pani chodzi?

– O pożar, który zdarzył się w waszym mieście dziś wieczorem.

– A konkretnie?

– Chciałabym, żeby wysłał pan tam kogoś...

– Już wysłaliśmy śledczych.

– No dobrze, świetnie. Niech spytają strażaków, ile jest ofiar i gdzie dokładnie zostały znalezione.

Chwila ciszy. Nie wiem, czy sobie notuje, czy go wkurzyłam.

– I niech pan poprosi, żeby spytali sąsiadów, ile osób mieszkało w tym domu.

– Dobrze, panno Dockery. Zrobi się.

– Potrzebuję tych informacji najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Zrozumiałem.

To już mój trzeci taki telefon dziś wieczorem, po znalezieniu w sieci najświeższych doniesień o pożarach budynków mieszkalnych. Wiemy, że nasz obiekt wywołuje dwa pożary tygodniowo w rejonie, który odwiedza podczas swojej „jesiennej trasy”. Chcemy trafić na ten pierwszy przypadek jak najprędzej, żeby być w pogotowiu przed drugim. Czy to cokolwiek da, nie wiadomo, ale próbować warto.

Staram się więc natychmiast wyłapać wszystkie pożary. Dawniej, kiedy prowadziłam śledztwo w pojedynkę, dzwoniłam do wydziałów policji dzień po, a czasem nawet kilka dni po fakcie. Teraz robię to, gdy tylko się dowiaduję, że był pożar.

Dochodzi północ, ostatnie minuty piątku. Nie mogę się skupić. Oczy mi się kleją. Wszystko mnie boli. Jestem chyba

jakieś trzy kreski pod poziomem kompletnego niewyspania, gdzieś między katatonią a stanem zombie.

Ale nie wolno mi przerwać łowów. Bo to jest ta noc. Analiza zeszłego roku wskazuje, że to musi być dzisiaj. Jak wiadomo, nigdy nie zabijał w niedzielę. Drugie zabójstwo tygodnia przypadało z reguły na sobotę, co oznacza, że to pierwsze było wcześniej – zwykle w czwartek, czasami w środę (jak Luthera Feagleya i Tammy Duffy w Nebrasce), ale najpóźniej w piątek. Więc to musi zdarzyć się dziś wieczorem.

Opieram się dłońmi o blat i wstaję na chwilę od swojego biurka na ósmym piętrze budynku FBI w Chicago. Przeciagam się, by rozprostować plecy, i rozluźniam nadgarstki, potrząsając dłońmi.

W gabinecie obok jest Books. Właśnie wrócił z domu Joelle Swanson na przedmieściach Lisle.

– Masz coś? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Brak śladów włamania – mówi. – Najwyraźniej wymyślił coś, żeby go wpuściła. Podobnie jak omamił Curtisa Valentine’a. Ten gość musi być niezłym czarusem.

Wzdrygam się na taką myśl, ale Books pewnie ma rację.

Dzwoni moja komórka. Numer zastrzeżony, co oznacza, że to ktoś z organów ścigania. Można zgadywać, z której jurysdykcji. Tego wieczoru kontaktowałam się już z policją z New Britain w Connecticut, z Fergus Falls w Minnesocie i z Cambrii w Kalifornii.

– Panno Dockery, tu sierżant Burtzos z policji w New Britain.

Ale szybki.

– Słucham, sierżancie?

– Okazuje się, że wysłani przeze mnie chłopcy już mieli te informacje. Jest pani gotowa?

– Jak najbardziej.

Siedzę znów w swoim pokoju, z dłońmi nad klawiaturą.

– Nancy McKinley. Mieszkająca samotnie. Rozwiedziona. Syn, Joseph, studiuje w college’u w Hartford.

– Tak...

Wstrzymuję oddech.

– Nie żyje – dodaje Burtzos. – Straż przyjechała o wiele za późno. Jej ciało niemal doszczętnie spłonęło.

Coraz bliżej...

– Znalaziono ją w sypialni.

Jeszcze bliżej.

– Na łóżku? – pytam.

– Na... zaraz sprawdzę.

W tle słyszę, jak konsultuje się przez radio z oficerami śledczymi, obecnymi na miejscu wypadku. Dociera do mnie skrzecząca w mikrofonie odpowiedź, a potem sierżant Burtzos wraca do naszej rozmowy.

– Leżała na swoim łóżku – potwierdza.

– A źródło ognia? – pytam.

– No, na razie mamy tylko wstępne ustalenia. Tam jeszcze się pali. Ale przypuszczają, że wszystko zaczęło się od sypialni.

Odsuwam komórkę od ust i krzyczę przez ramię:

– Books!

Po czym znów mówię do telefonu:

– Sierżancie, a teraz proszę mnie bardzo uważnie posłuchać.

Rozdział 58

– Przykro mi – odzywa się z głośnika mojej komórki sierżant Burtzos. – W weekendy nie mamy wystarczającej obsady, a jest już po północy. Nie zdołam tak szybko zebrać ludzi.

Books i ja patrzymy na siebie. Tak myśleliśmy.

– A może skorzystać z policji stanowej? – rzuca Burtzos. – To oni zwykle robią blokady dróg.

Books kręci głową.

– Nie uda się tak prędko i nie wiemy dokładnie, gdzie je postawić. Nie wiemy, dokąd on teraz jedzie. No dobrze. Panie sierżancie, czy może pan nas skontaktować bezpośrednio z funkcjonariuszami, którzy są na miejscu zdarzenia?

– Mogę, mogę. Proszę podać swój numer.

Trzy minuty później dzwoni na moim biurku telefon linii bezpośredniej. Włączam tryb głośnomówiący i odbieram.

– Tu oficer policji Janet Dowling – mówi głos przez mikrofon.

– Z tej strony agent specjalny Harrison Bookman. Jest też ze mną Emmy Dockery, analityczka z naszego biura. Dobrze mnie pani słyszy?

– Siedzę teraz w radiowozie, więc tak.

– Pani oficer, czy naokoło zebrał się jakiś tłum?

– Jest mniej ludzi, niż kiedy się mocno paliło. Ale tak, są gapie. Kilkanaście osób.

– Proszę mi podać swój numer komórkowy. Chciałbym pani coś przesłać.

Dziesięć lat temu wysłanie komuś zdjęcia przez telefon byłoby nie do pomyślenia. Teraz człowiek złości się, jeśli zajmuje to więcej niż dziesięć sekund.

– W porządku. Doszło. Ale trochę nieostre.

– Bo jest nieostre. To z nagrania kamery monitoringu. Najlepsze, jakie zdołaliśmy uzyskać. Obiekt to mężczyzna, biały, niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu, możliwe, że łysy, w każdym razie tak się wydaje, sądząc po tym zdjęciu, średniej

budowy, prawdopodobnie po trzydziestce, tak do trzydziestu pięciu lat.

– Rozumiem.

– Niech się pani rozejrzy. I czy ktoś może zrobić zdjęcie ludzi, którzy tam się zebrali?

– Tak, zajmiemy się tym. Myśli pan, że on tu jest i podziwia swoje dzieło?

– Możliwe.

Books rzuca na mnie okiem. Żadne z nas nie wierzy, by on tam był, ale nigdy nie wiadomo.

– Panie agencie, kapitan naszej straży pożarnej mówi, że to nie wygląda na podpalenie. Oczywiście, nie było jeszcze śledztwa, ale on ma duże doświadczenie i wyczucie w tych sprawach.

Books dostrzega moją minę. Do tej pory kilkudziesięciu kapitanów straży pożarnej i śledczych dało się zwiść.

– My jesteśmy przekonani, że to podpalenie – stwierdzam stanowczo. – I że on bardzo sprytnie to kamufluje.

– No dobrze.

– Proszę wszystkich przesłuchać, pani oficer – mówi Books. – I wprowadzić procedury jak na miejscu zbrodni.

– Zrobi się.

– Ale niech pani stara się zachować dyskrecję – zaznacza Books. – Człowiek, którego szukamy, nie wie, że jesteśmy już na jego tropie. I nie ma powodu, żeby się o tym dowiedział. Jeszcze nie.

Kończymy rozmowę. Books sprawdza swój telefon. Ma wiadomość.

– Dobra, grupa szybkiego reagowania jest już w drodze na lotnisko. Muszę się pośpieszyć.

Zaczynam coś mówić, ale urywam. Patrę na swoją torbę podróżną stojącą w kącie pokoju. Mam tam spakowane ubrania i kosmetyki na trzy dni, na wszelki wypadek.

– Lepiej zostań tutaj – decyduje Books. – Masz mnóstwo roboty.

Gdybym naprawdę uparła się, żeby jechać, zgodziłby się. Ale ma rację. Już to obgadaliśmy. Przyszły właśnie materiały od policji w Lisle i Champaign, z mnóstwem informacji o Joelle Swanson i Curtisie Valentinie. I to zadanie dla nas, analityków,

prawda? Mozolnie przesiewamy dane, kiedy agenci ruszają naprzeciw emocjonującej przygodzie.

Zapada między nami niezręczne milczenie. Nic nie miałyby sensu. Ani objęcie się, ani podanie dłoni.

– Bądź ostrożny – mówię. – I odzywaj się.

Rozdział 59

Na ekranie laptopa pojawia się twarz Booksa, jego słowa słycać z lekkim opóźnieniem w stosunku do ruchu warg.

– Słyszycie mnie dobrze?

– Tak – potwierdzam.

Sophie i Denny siedzą obok mnie.

– Nie mam nic specjalnego do przekazania, niestety, przykro mi – mówi Books. – New Britain to senne małe miasteczko. Ofiara, Nancy McKinley, była księgową, pracowała w Hartford. Wyszła z pracy o siedemnastej piętnaście, wstąpiła do sklepu spożywczego tuż pod New Britain, a następnie pojechała do domu. Potem już nikt jej nie widział.

– Na nagraniu z kamery w sklepie spożywczym nie zauważyliśmy nic szczególnego – odzywa się Denny. – Nic nas nie uderzyło, ale dalej szukamy.

– Nie byłby taki głupi, żeby płacić w sklepie kartą kredytową – dorzucam. – Możliwe, że nawet tam nie wszedł. Poczekał, aż ona wyjdzie.

– Jej syn, Joseph, powiedział, że ona z nikim się nie spotykała i nie miała żadnych planów na weekend – ciągnie Books. – Może więc nasz obiekt po prostu zadzwonił do jej drzwi i wdarł się do środka.

Oglądam się na Sophie. To jej działka, sprawdzanie maili i mediów społecznościowych, z jakich korzystała ofiara, i poszukiwanie jakichkolwiek wskazówek.

– Nadal szukam – mówi. – Ale na razie bez skutku.

– Postawiliśmy w stan pogotowia policję w Rhode Island, Connecticut, Massachusetts i Nowym Jorku – informuje nas Books. – No dobrze, to teraz powiedz, co wam udało się ustalić.

Rzucam okiem na moje notatki – podsumowanie wyników pracy różnych osób z naszego zespołu.

– W dniu śmierci Curtis Valentine miał zaznaczone w kalendarzu, że o czwartej po południu spotyka się z niejakim

„Joem Swansonem” z Lisle w stanie Illinois – mówię.

– Żartujesz sobie!

Wcale nie. Nasz obiekt przybrał męską wersję imienia i nazwisko Joelle Swanson, żeby umówić się z następną osobą, którą zamierzał zabić, z Curtisem Valentine’em.

– Odnotowaliśmy też połączenie z komórki, oczywiście na niezarejestrowaną kartę, nie do wytropienia, z Lisle na telefon biurowy Curtisa Valentine’a, dwudziestego drugiego sierpnia. W tym właśnie dniu zabił Joelle Swanson.

– Więc zabił Joelle w Lisle i kiedy tam był, przygotował już kolejne morderstwo na następny tydzień.

– Tak. – Zaglądam do notatek. – Najwyraźniej ten „Joe Swanson” powiedział, że otwiera nowy biznes, ale nie zdradził jaki. Twierdził, że sparzył się, składając wcześniej zamówienie na stronę internetową u kogoś innego, i dlatego chce spotkać się z Curtisem osobiście.

– Sprytne – kwituje Books. – Bardzo sprytne. Curtis pewnie zaprosił go do domu, żeby pokazać mu sprzęt. A co z Joelle Swanson?

– Nic – mówię. – W jej komputerze ani w tym, czego mogliśmy się o niej dowiedzieć, nie było nic, co by wskazywało, że zamierzała się z kimś spotkać.

Books milczy. Nietrudno sobie wyobrazić, jak to się odbywa. Widocznie nasz obiekt nie ma problemu z przekonaniem kobiet, by go wpuściły. W przypadku mężczyzn nie czuje się tak pewnie. Z tego, co wiemy, udało mu się jakoś dostać do domu Joelle Swanson i Nancy McKinley, ale z Curtisem Valentine’em umówił się specjalnie, licząc na to, że ten go do siebie zaprosi.

Czy w przypadku Marty też tak było? Czy po prostu otworzyła drzwi, myśląc, że to akwizytor, ktoś, kto chce spytać o jakiś adres, albo pracownik elektrowni, który ma odczytać licznik? Mogła to zrobić. Marta otworzyłaby drzwi każdemu. Nigdy nie przewidywała czarnych scenariuszy, była niepoprawną optymistką.

– No dobrze – mruczy Books.

Na ekranie widać, jak rzuca okiem na zegarek. Jest tuż po szesnastej, a w Connecticut, gdzie przebywa Books, o godzinę później. Dziś sobota, co oznacza, że będziemy mieli drugie morderstwo, drugi pożar. Och, gdybyśmy mogli wydać jakiś

komunikat ostrzegawczy. Ale co mamy ogłosić? Jest tylko niewyraźne zdjęcie bezimiennej osoby. Nie wiemy, gdzie zaatakuje i w jaki sposób. Mielibyśmy alarmować: „Hej, wy wszyscy, którzy mieszkacie na północnym wschodzie Stanów, uważajcie na białego faceta średniego wzrostu. Może wdrzeć się do waszego domu, żeby was torturować, a potem spalić”.

– Wysłaliśmy biuletyn do wszystkich lokalnych jurysdykcji w Massachusetts, Rhode Island, Connecticut i stanie Nowy Jork, by bezzwłocznie powiadamiali nas o każdym pożarze domu mieszkalnego – oznajmia Books. – Przy odrobinie szczęścia dziś wieczorem dowiemy się o pożarze w niespełna godzinę od chwili, gdy tylko się pojawi.

– Będziemy tu w pogotowiu – mówię, starając się nie robić sobie zbyt wielu nadziei, ale wiem, że jesteśmy na tropie, że jeszcze dziś w naszym śledztwie może nastąpić tak bardzo wyczekiwany przez nas przełom.

Rozdział 60

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 14
15 września 2012

Jeśli chodzi o północny wschód Stanów, to muszę przyznać, że co jak co, ale zmiany pór roku prezentują się tu wyjątkowo. Nie ma nic bardziej majestatycznego niż jesienne kolory liści w tych stronach. Tyle że na to trochę za wcześnie, więc będę musiał wrócić tu w październiku, by zobaczyć tę porę roku w pełnej krasie. Ale i tak można już dostrzec jej początki, niczym upływ lat u pięknej, dojrzałej kobiety – tajemniczej, powabnej, pełnej życia, podniecającej. To dodaje człowiekowi skrzydeł, prawda?

Czasami nachodzi mnie taki nastrój po skończonej sesji. Robię się trochę sentymentalny i przyznam, że lekko wiruje mi w głowie, a nawet wpadam w euforię. W tym, co robię, tyle można pokochać, szczególnie kiedy robię to tak jak teraz. Czy rozumiecie, co widzę w tym pięknie? W tej bezwzględnej szczerości?

Jak to się mówi: „Ludzie są najbardziej szczerzy w chwili narodzin i w chwili śmierci”. Wiecie, kto to powiedział? Ja! Spodziewaliście się pewnie, że wymienię Roberta Frosta albo Philipa Rotha, ale to naprawdę są moje własne słowa. Na pewno czytaliście kiedyś w internecie czy w jakiejś książce te słynne powiedzonka i myśleliście sobie: „O rany, chciałbym, żeby jeden z tych cytatów pochodził ode mnie”. Przecież Will Rogers ma na koncie co najmniej dziesięć takich złotych myśli. Winston Churchill kilkadziesiąt. Podobnie jak wielu naszych słynnych prezydentów. Ja chcę mieć tylko jedną, to wszystko, jedno pamiętne zdanie, wyrażające prawdę tak trafnie, że pozostanie z wami na zawsze.

„Uwaga rani wprost proporcjonalnie do tego, jak jest prawdziwa”.

„Jedyna rzecz, jakiej powinniśmy się bać, to sam strach”.

„Kłamstwo zdąży oblecieć pół świata, zanim prawda zdąży wciągnąć majtki”.

„Ludzie są najbardziej szczerzy w chwili narodzin i w chwili śmierci”.

Tak. Tak, naprawdę! Ośmielam się twierdzić, że moja złota myśl całkiem nieźle prezentuje się w tym towarzystwie.

Ale nie chodzi tu o mnie, drodzy słuchacze. Chodzi o was. Co sądzicie o mojej inteligencji?

No dobrze, na razie dość tego. Wystarczająco zabawiłem się dziś wieczorem z tym pięknym dżentelmenem, doktorem Padmanabhanem. Serdecznie przepraszam, jeśli zmasakrowałem wymowę jego nazwiska. Choć jak sądzę, gdybyście spytali go o zdanie, powiedziałby, że to nie była najgorsza rzecz, jaka go dziś spotkała.

A teraz czas, bym się pożegnał. Ale zanim to zrobię, zapytam was, czy sprawiam wrażenie człowieka, którego coś dręczy? Jasne, że nie. Jestem w szczycie formy i nadal świetnie się bawię. Co ta cała Mary sobie ubzdurzyła?

Odezwę się do was jutro. Pewnie ruch na I-95 już zelżał, powinienem ruszać w drogę.

(koniec)

Rozdział 61

– Sąsiedzi twierdzą, że doktor Padmanabhan mieszkał sam – informuje oficer śledczy.

– Dziękuję. Proszę się nie rozłączać. – Zawieszam rozmowę i uderzam w przycisk na radiotelefonie. – Books, słyszysz mnie?

– Słyszę, Emmy.

– Scenariusz drugi – oznajmiam. – Scenariusz drugi. Zgłoszenie z Providence w Rhode Island.

– Scenariusz drugi, przyjąłem. Zadzwoń.

Pół minuty później Books i ja mamy telekonferencję z komisarzem policji stanowej z Rhode Island i dowódcą policji stanowej z Connecticut – oboje czekali u mnie na linii.

– To scenariusz drugi, Rhode Island i Connecticut.

– Rhode Island, odebrałem – mówi komisarz Adam Vernon. – Nasi ludzie są na miejscu.

– Connecticut, odebrałam – potwierdza dowódca Ingrid Schwegel. – Nasi policjanci też już są.

– Czy jesteśmy pewni co do I-95? – pytam, żeby trochę uspokoić nerwy.

To już było przedmiotem dyskusji.

– Pani agent – zwraca się do mnie, myśląc mój tytuł, komisarz Vernon – jeśli podejrzany zmierza z powrotem na Środkowy Zachód, to jedyna droga prowadzi przez Connecticut, a jedyna autostrada, która wydaje się logicznym wyborem, to I-95. Granica między stanami ma sześćdziesiąt kilometrów, ale jeśli on nie spodziewa się, że ktoś będzie na niego czekał, to byłby idiotą, nie jadąc tą trasą.

– No dobrze – mówię. – Pożar został zgłoszony czternaście minut temu i właśnie dostałam potwierdzenie, że to ten pożar, który nas interesuje. Z mapy widzę, że wybuchł na północ od szpitala Miriam w Providence, bardzo blisko niego, co oznacza, że on musi jechać sześćdziesiąt kilometrów I-95, by dotrzeć do granicy Rhode Island z Connecticut.

– Nawet jeśli wyruszył natychmiast – odpowiada Vernon – nie ma mowy, żeby już pojawił się przy granicy. Ale wydałem odpowiednie polecenia. Jak to się mówi: bomba poszła w górę.

– Tu agent Bookman. Już lecimy. Powinienem być na granicy stanowej za piętnaście minut. Pokieruję akcją. Wkrótce dołączą też do was nasi agenci drogą lądową. Żeby nie było żadnych wątpliwości co do dyspozycji: notujemy numery rejestracyjne i identyfikacyjne każdego samochodu prowadzonego przez mężczyznę jako tako pasującego do opisu. Za każdym razem wymagana jest co najmniej kontrola pojazdu. W razie jakichkolwiek podejrzeń, jakichkolwiek, wasi ludzie kontaktują się bezpośrednio ze mną.

– Connecticut, odebrałam.

– Rhode Island, odebrałem – potwierdza Vernon. – Jeśli tylko on dziś wieczorem jedzie, dopadniemy go.

Rozdział 62

Obraz z kamery helikoptera FBI dociera na ekran mojego laptopa nadspodziewanie wyraźnie. Widok z góry na międzystanową numer 95, biegnącą na południe i południowy zachód z Rhode Island do North Stonington w Connecticut. Autostrada z dwoma pasami, prowadzącymi na południowy zachód, i pobocze.

Na granicy, przy tablicach z napisami: CONNECTICUT WITA i NORTH STONINGTON, centrum, samochody policji z obu stanów tworzą blokadę. Ostrzegają o niej migające światła, ustawione – na ile mogę to ocenić, patrząc na ekran – jakieś siedemset metrów przed nią.

Droga jest zakorkowana samochodami czekającymi w kolejce. W punkcie kontrolnym policjanci i agenci FBI świecą latarkami do środka, zaglądają na przednie i tylne siedzenia, czasami otwierają bagażnik, niektóre auta kierują na pobocze, by sprawdzić je dokładniej. Spisują numery rejestracyjne i identyfikacyjne z wnętrza przednich drzwi. Kiedy pozwalają kierowcom ruszyć, ci muszą objechać radiowozy i pomału wrócić na trasę do Connecticut. To niekoniecznie takie „powitanie”, jakiego się spodziewali ze strony tego dumnego stanu.

Widzę, że na autostradzie jest pełno aut, pomimo późnej pory – zbliża się północ czasu wschodniego. Kierowcy na pewno myślą, że to sobotnie sprawdzanie trzeźwości, i zresztą dla kilku pechowców na tym się kończy: muszą zostawić skonfiskowane samochody i są zabierani na posterunek w North Stonington.

Nad autostradą lata helikopter, wypatrując samochodów, które próbowałyby zawrócić. Teraz dopiero dostrzegam, że jest też drugi helikopter.

Przez cały czas Books dostarcza mi nazwiska oraz numery rejestracyjne i identyfikacyjne, a ja sprawdzam, czy jest tam ktoś już notowany przez policję albo jakieś skradzione auto. Nie

sądzę, by nasz obiekt poruszał się skradzionym samochodem. A czy był już karany? Trudno powiedzieć. Na pewno by mnie to nie zaskoczyło, ale jednak podejrzewam, że ma czystą kartę. Jest zbyt skrupulatny, żeby dać się w ten sposób przyłapać.

Staram się nie robić sobie zbyt dużych nadziei, ale tak naprawdę mamy dziś wieczorem spore szanse. Za każdym razem, kiedy nasza ekipa zagląda powtórnie do jakiegoś samochodu, otwiera bagażnik, każe zjechać na pobocze, czuję na karku gęsią skórę.

To oznacza wiele ćwiczeń dla włosków na mojej szyi, bo działający w naszym imieniu policjanci stanowi i agenci FBI sprawdzają dokładniej właściwie większość aut. Wśród kierowców są głównie mężczyźni, biali, a nasze wskazówki – „średniego wzrostu”, „średniej budowy” i „nie wiadomo, o jakim kolorze włosów” – niespecjalnie zacieśniły krąg podejrzanych.

Ale koniec końców każde z tych aut zostaje przepuszczone.

Na pewno się nie mylę. On jedzie w jakiś nowy rejon, popełnia dwa morderstwa i wraca do domu. Dane nie kłamią. Musi mieszkać na Środkowym Zachodzie. Nie ma innej opcji. Wzór jego podróży wskazuje na główne autostrady.

Nie mylę się. Siedzi teraz za kierownicą i wraca na Środkowy Zachód.

Może jednak wybrał inną drogę. Jak mówił komisarz, granica ma sześćdziesiąt kilometrów długości. Ale on się nas nie spodziewa, to czemu miałyby unikać międzystanowej numer 95? Na pewno nią jedzie.

Przez pierwsze półtorej godziny samochody poruszają się w żółwym tempie, jednak właściwie nic się nie dzieje. Potem idzie szybciej, bo aut jest coraz mniej. O drugiej w nocy nie ma już kolejki. Niewiele samochodów przekracza granice stanu o tej porze.

Kiedy przez blokadę przejeżdża minivan dodge, następuje dłuższa przerwa. Na autostradzie nie widać żadnych samochodów jadących na południowy zachód. Międzystanowa numer 95 opustoszała.

– Gdzie on, do diabła, jest? – prychnął z irytacją Books. – To wydawało się takie logiczne.

– Tak – przyznaję. – Myślałam, że już go mamy. Czy to możliwe, że zawrócił na widok blokady?

– Nie miałyby szans. Przy pierwszych światłach ostrzegawczych cały czas stoi na poboczu patrol. Gdyby jakiś samochód próbował zawrócić, przecinając środkowy pas, na pewno by to zauważyli. Zabezpieczyliśmy się. Cholera jasna!

– Może on najpierw chce trochę odpocząć – mówię. – I ruszy o świcie.

Books przez chwilę milczy. Jest zirytowany albo się zastanawia. Pewnie to drugie. Books nie poddaje się zbyt emocjom. Zawsze podchodzi do rzeczy racjonalnie, kiedy mnie ponosiło.

– Przypuszczam, że mimo wszystko mógł się jakoś przedostać przez blokadę – mówię. – Pamiętaj, z kim mamy do czynienia.

– Może, może. Jednak nie było zbyt wielu aut ze środkowowschodnią rejestracją.

To prawda. Ale i tak ponownie biorę się do przeglądania listy, sprawdzam wszystkie nazwiska i numery.

– Będziemy kontynuować kontrolę przynajmniej do świtu – oznajmia Books. – Nie możemy przedłużać tego w nieskończoność. Ale poczekajmy, aż zrobi się jasno, i wtedy zadecydujemy, co dalej. Zgoda?

– Ja się nigdzie nie wybieram.

Staram się robić dobrą minę do złej gry. Chociaż w głębi ducha mam przeczucie, że go przegapiliśmy. Zarzuciliśmy sieć, ale on jakimś cudem zdołał uniknąć zasadzki. Gdzieś po drodze za bardzo zakochałam się w swojej analizie, byłam pewna, że on zachowa się według wzorca, który ułożyłam na podstawie danych.

A ponieważ nie trafiłam, w następnym tygodniu on robi to wszystko znowu: w innej części kraju upoluje sobie kolejne dwie bezbronne ofiary.

Rozdział 63

Siedzę nad laptopem, przerzucając listę samochodów spisanych przez kontrolę. W głowie mi się miesza, oczy się kleją, plecy i szyja protestują na całego. Nie chcę nawet patrzeć na zegar ścienny, skoro wiem, że mała wskazówka za chwilę dojdzie do ósemki, a duża do dwunastki. Zdaję sobie sprawę, że blokada drogi trwa już ponad dziesięć godzin.

– Jeszcze godzinę – proszę Booksa przez mikrofon, przy założonych na głowę słuchawkach.

– To samo mówiłaś godzinę temu – odpowiada mi do ucha.

– Jedną godzinę.

Początkowo planowaliśmy zniesienie blokady o ósmej czasu wschodniego, czyli siódmej chicagowskiego. Przesunęłam to na dziewiątą wschodniego, która właśnie się zbliża.

– Przecież nie ma zbyt dużego ruchu – argumentuję. Niewielka kolejka samochodów czeka przy przejeździe z Rhode Island do Connecticut, ale do prawdziwego zatoru daleko. – To niedziela. Nie powodujemy zbyt dużych utrudnień.

– Nie możemy trzymać blokady w nieskończoność, Emmy.

– Właśnie że możemy. Jesteśmy FBI.

Cisza. Może wygrałam kolejną godzinę. Prędzej czy później on musi tamtędy przejeżdżać, zapewniam się w duchu. Musi. Choć inny wewnętrzny głos podpowiada mi, że popełniłam jakiś błąd w założeniach.

– Nie. Odwołuję blokadę – decyduje Books, jakby stwierdzał zgon.

– Nie! Proszę... jeszcze ta jedna godzina...

– Odpowiedź odmowna. Zadzwońnię niedługo.

– Books! – wrzeszczę, ale po drugiej stronie jest głucho.

Books przerwał połączenie. Wie, jak to jest spierać się ze mną. Słusznie uznał, że lepiej po prostu się rozłączyć.

– Cholera – ściągam słuchawki z uszu i rzucam na biurko.

Zrywam się na nogi i czuję gwałtowny, przeszywający ból w plecach. Miga mi w oczach po nocy wpatrywania się w ekran komputera. A mózg, powiedzmy to sobie szczerze, kompletnie mi się przegrzał.

Chwiejnym krokiem wychodzę na korytarz i ruszam do „centrum strategicznego”, sali konferencyjnej, z której usunięto długi stół – ośmiu analityków pracuje tu nad naszą sprawą. Przyszli rano o siódmej i sprawdzają wszystko na temat osób zatrzymanych podczas blokady – w sumie ponad pięciuset białych dorosłych mężczyzn.

Jestem półprzytomna ze zmęczenia, reaguję jak pijana. Słyszę ożywioną dyskusję, potem śmiech – śmiech! – i przyspieszam kroku. W sali widzę, że jeden z dwóch mężczyzn w tej grupie stoi i wygłupia się, naśladując jakiś idiotyczny krok taneczny. Kiedy mnie dostrzega, kiedy wszyscy orientują się, że stoję w progu, uśmiechy znikają. Zapada niezręczna cisza. Patrzę po kolei na każde z nich, na tych siedmiu nowych analityków plus Sophie Talamas, i wchodzę do sali. Czuję się jak jakiś pozbawiony poczucia humoru rodzic, który przerwał wesołą zabawę nastolatków, jak nauczyciel wkraczający do rozbrykanej klasy. To paskudne, ale w żaden sposób mnie to nie powstrzymuje.

– Człowiek, którego szukamy – mówię wolno, a głos mi drży – skalpuje swoje ofiary żywcem. Rozumiecie, prawda? Przypała im ciała, kiedy jeszcze żyją. Przerwijcie mi, jeśli powiedziałam coś śmiesznego!

Wszyscy spuszczaają wzrok.

– Tylko trochę odreagowaliśmy, Emmy – odzywa się Sophie. – Wszyscy tu ciężko pracują.

– Wszyscy nie pracują dość ciężko – ucinam ostro. – On tu jest. – Wskazuję na jeden z laptopów. – Gdzieś w tych danych, odnośnikach, których jeszcze nie sprawdziliśmy, w jednej z baz, na jakimś blogu czy w mediach społecznościowych. Słuchajcie, naszym zadaniem jest go złapać. Zadaniem wszystkich w tym pokoju. A on nie zostawi odcisku palca, żeby trafił na niego jeden z naszych superagentów. Nie upuści portfela na miejscu zbrodni ani nie potknie się i nie złamie nogi, uciekając z domu, który podpali. Nie zauważy go jedna ze wścibskich sąsiadek. To nie agenci pracujący w terenie go znajdą. To będziemy my,

ludzie w tym pokoju, analitycy. Wyciągnijcie więc głowy i dajcie z siebie wszystko, bo ten dupek właśnie wymknął się nam na kolejny tydzień!

Wypadam z sali i ruszam w kierunku windy. Muszę wziąć prysznic i coś zjeść, nim wrócę do pracy. Dopiero na zewnątrz uświadamiam sobie, że zostawiłam w biurze kluczyki od auta.

Rozdział 64

Kiedy wracam na górę, natykam się na Sophie Talamas, która trzyma w ręku moje kluczyki.

– Chyba zapomniałaś – mówi.

Wyrywam je Sophie z dłoni.

– Nie miałaś prawa tak do nas mówić, Emmy. Ci ludzie flaki sobie wypruwają dla ciebie. Są najgorzej opłacaną grupą w całym biurze, a pracują po piętnaście godzin dziennie i przyszedli tu o siódmej rano w niedzielę...

– Hej, wiesz co, Sophie? – Rozkładałam rękę. – Chcesz mieć pracę od dziewiętej do piątej, to idź do roboty w markecie czy czymś takim. Próbuujemy złapać potwora. W takich sytuacjach czasami trzeba dać z siebie więcej.

– Myślę, że co do tego nie mamy wątpliwości.

– Nie? To świetnie.

Ruszam do drzwi.

– Jeszcze nie skończyłyśmy – rzuca Sophie.

Przystaję i obracam się.

– Co powiedziałaś?

Sophie – ze swoimi jedwabistymi włosami modnie szczesnymi do tyłu, w wąziutkich džinsach i efektownym swetrze, ze swoimi idealnie wyrzeźbionymi rysami twarzy – gotuje się ze złości. Kiedy ktoś tak ładny się wścieka, jego twarz wcale nie robi się brzydka, ale przeciwnie, to jeszcze bardziej podkreśla urodę. Oczy nabierają blasku, policzki koloru.

– Mamy problem, prawda, Emmy? Ty i ja?

Biorę głęboki wdech i unoszę dłoń.

– Po prostu rób, co do ciebie należy, Sophie, i...

– Ja robię, co do mnie należy. Pracuję tak ciężko jak każdy. Ale na czym polega nasz problem? Patrzysz na mnie spode łba od dnia, kiedy się pojawiłam.

– Chcę, żebyś się skupiła – mówię. – Skupiała na tej sprawie, nic więcej.

– Ja z nim nie sypiam, Emmy.

Cofam się gwałtownie. Aż mnie zatkało. Sophie splata ręce na piersi i milczy. Chce, by te słowa wybrzmiały. Tyle byłoby do powiedzenia i przemyślenia w związku z tą jej uwagą, ale nic dobrego by z tego nie wynikło. Fakt, że ona w ogóle porusza ten temat, oznacza, że jakoś to sprowokowałam, coś zrobiłam, przynajmniej w jej oczach – to mogło być coś w mowie ciała, wyrazie twarzy, cokolwiek. Najwyraźniej jej relacje z Booksem są dość bliskie, skoro odważyła się coś takiego powiedzieć. Jak może myśleć, że powinnam to od niej usłyszeć? Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy, kiedy ten okrutny psychopata nadal jest na wolności i grasuje...

– Nie sypiam z nim – powtarza. – Books był dla mnie bardzo dobry, bardzo mi pomógł. Na pewno się przyjaźnimy, ale to wszystko.

I nagle, nie mogę zaprzeczyć, doświadczam czegoś zbliżonego do ulgi, co zresztą od razu tłumię, bo w tym jestem najlepsza, prawda? Robię się twarda, zamykam się w sobie. Moje uczucia do Booksa (to, co z nich pozostało, ten jakiś prymitywny pociąg fizyczny, nic więcej) nie mają znaczenia, bo potrafię odsunąć je na bok i skupić się na tym śledztwie. Moja rozpacz po śmierci Marty nie ma znaczenia, bo też potrafię odsunąć to na bok. Klikam na wszystkie te emocje i przenoszę je do mentalnego kosza na śmieci, gdzie ich miejsce.

Jestem dziewczyną, która stoi w środku tornada i udaje, że wcale nie wieje. Tak jakbym potrafiła zamknąć w szufladzie każde doznanie, wyłączyć serce i skierować całą energię do głowy, skupić się na samych faktach, tropach i rozwiązywaniu sprawy, zapominając o wszystkim, co czyni mnie człowiekiem.

Będę miała czas na „bycie człowiekiem” później. „Później” to jedno z moich ulubionych słów.

– Rób, co do ciebie należy – szepczę do Sophie. – Nic innego mnie nie obchodzi.

Rozdział 65

Spędzam większość popołudnia w centrum strategicznym, doglądając pracy analityków. Sprawdzam, co robią, wskazuję, co wydaje się obiecujące, choć jest tego mało. W powietrzu wyczuwa się napięcie po moim wcześniejszym wybuchu, ale stopniowo, w miarę jak skupiamy się na kolejnych zadaniach, atmosfera wraca do normy. O osiemnastej ktoś wspomina o kolacji i zrzucamy się na pizzę. Zaglądam do gabinetu Booksa, gdzie nasz nieustraszony dowódca, odkąd parę godzin temu wrócił z północnego wschodu, odbiera telefony od agentów w terenie.

– Cholera – mówi, kiedy wchodzę, i kręci głową.

W tle słyszę jakiś hałas, z wideo albo innego źródła, może z jego smartfona.

Books, po całej nocy spędzonej w helikopterze nad granicą Rhode Island z Connecticut, wygląda jak upiór. Ma czerwone, nieprzytomne oczy, zmierzwił włosy. Twarz wymięta. Nieogolony.

– Co się dzieje? – pytam.

– Och, nic takiego. – Macha dłonią. – Moja drużyna Chiefsów dostaje baty drugi tydzień z rzędu. C.J. Spiller, biegacz Billsów, przedarł się przez naszą linię obrony, jakbyśmy byli zgrają uczniów. – Ciężko wzdycha. – Szkolonych przez defensywnego Romea.

Siadam naprzeciwko niego na krześle.

– Books, chyba rozumiesz, że nie mam pojęcia, kim jest C.J. Spillman albo Romeo.

– Spiller – poprawia mnie. – C.J. Spiller to...

– I pewnie zdajesz sobie sprawę, że mnie to nic a nic nie obchodzi.

Books potrząsa swoim telefonem.

– Mamy w plecy dwa do zera i jesteśmy lata świetlne od zakwalifikowania się do grupy...

– Books, co to jest z mężczyznami i tym futbolem? Chyba jesteś uzależniony.

– Jak miliony innych.

– Wiem, wiem – przyznaję. – Mój tata też tak miał. Przesiadywał przed telewizorem całe niedziele i oglądał mecze. Musiałyśmy się dostosowywać do tego, żeby pójść do kościoła, bo wiedziałyśmy, co jest jego prawdziwą religią.

I nagle olśnienie. Chmury się rozstępują. Serce zaczyna mi walić.

– Futbol to najlepsza... – Books chce wytłumaczyć to filozoficznie, ale już nie słucham.

Zrywam się, co w moim obecnym stanie nie jest najlepszym pomysłem, bo o mało nie fikam koziołka, po czym wypadam z pokoju Booksa i gnam do siebie.

Doskakuję do mojego komputera i przez dobrą godzinę przeczesuję dane. W gorączce, krew mi pulsuje, ręce tak się trzęsą, że ledwie trafiam w klawisze. Kiedy kończę, mam mapę Stanów z mnóstwem znaczników.

Wracam do Booksa, który właśnie rozmawia przez telefon z jakimś agentem. Kręci głową zdziwiony i kończy rozmowę, po czym rzuca okiem na wydruk, który mu podsuwam.

– To miejsca morderstw – mówię, dumna z siebie jak dziecko. – Różne miasta podczas jego jesiennych wypraw. Od Święta Pracy do końca grudnia, w zeszłym roku.

– No dobrze, to są pomarańczowe gwiazdki, dwa zabójstwa tygodniowo, co tydzień inny rejon. Ale co oznaczają te czarne gwiazdki między dwiema pomarańczowymi w każdej lokalizacji?

– Czarne gwiazdki to stadiony futbolowe.

Books znów przez chwilę przygląda się mapie, a potem unosi głowę i patrzy na mnie, jakbym odkryła Amerykę.

– On nigdy nie zabija w niedzielę – mówię.

– O Jezu. – Books zakrywa dłonią usta. – Od Święta Pracy do Nowego Roku. Przecież to... sezon NFL.

– On nie jeździ w sprawach służbowych – mówię. – Jeździ na mecze futbolowe.

Rozdział 66

– Jesienna eskalacja zbrodni z zeszłego roku – zaczynam. – Ósmy września, pierwszy znany nam przypadek, w Atlantic Beach, w stanie Floryda. Dziewiąty września, drugie zabójstwo w Lakeside, też Floryda. A co jest dokładnie pomiędzy jednym miejscem a drugim? Stadion EverBank Field, należący do Jacksonville Jaguars, i tam właśnie w niedzielę jedenastego września Jagsi gościli Tennessee Titansów.

Spoglądam na Booksa. To on powiedział mi, żebym mówiła o nich Jagsi, by zyskać w oczach składającego się głównie z mężczyzn zespołu. Mamy telekonferencję z wszystkimi ludźmi, którzy są zaangażowani w naszą sprawę.

– A kto wygrał? – pyta ktoś.

W każdej grupie znajdzie się jakiś pajac.

– Jagsi, szesnaście do czternastu – odpowiadam, a Books potwierdza skinieniem głowy. – W następnym tygodniu kolejne dwa miejsca zbrodni: szesnasty września w Rock Hill, Karolina Południowa, siedemnasty września w Monroe, Karolina Północna. A następnego dnia oglądał mecz Carolina–Green Bay na stadionie Bank of America w Charlotte.

– Co tydzień inny stadion – dodaje Books. – I żadnego klucza, jeśli chodzi o mecze. Nie wygląda na to, by kibicował wiernie Coltsom czy Bearsom, czy jakiejś innej drużynie. Z miejsc, które wybrał, nie udało się nam odkryć żadnego schematu. Dobre drużyny i kiepskie, tyle samo wyrównanych meczów co z wyraźną przewagą jednej ze stron.

– Ale zawsze trzymał się z dala od Środkowego Zachodu – dorzucam. – Bo Środkowy Zachód to jego terytorium poza sezonem.

– Nigdy nie wybrał się na ten sam stadion dwa razy? – pyta ktoś.

– W zeszłym roku nie, nigdy. Teraz sezon dopiero się zaczyna. W pierwszym tygodniu rozgrywek zabił tę parę

w Nebrasce, a potem mężczyznę pod Denver, co oznacza, że pewnie w niedzielę wybrał się na mecz Broncos–Steelers w Denver. A w ubiegłym tygodniu, drugim w tym sezonie, dokonał mordów w New Britain, w stanie Connecticut, i w Providence, w stanie Rhode Island. Uznaliśmy, że potem będzie wracał do siebie, na Środkowy Zachód, i że najprawdopodobniej pojedzie międzystanową numer 95, prowadzącą na południe i południowy zachód, przez Connecticut. I dlatego urządziliśmy na niej blokadę. – Wskaźnikiem przesuwam po mapie wzdłuż autostrady, w odwrotnym kierunku. – Ale on nie wracał wczoraj do domu. Pojechał na północ, do Massachusetts. A dziś poszedł na mecz New England Patriots w Foxboro.

Nie patrzę na Booksa. Kiedy razem dochodziliśmy do tych wniosków i zdaliśmy sobie sprawę, że zeszłej nocy mieliśmy faceta na widelcu, tyle że zablokowaliśmy nie ten pas ruchu I-95 co trzeba, przez dobre dziesięć minut nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

Mieliśmy go w garści. Byliśmy tak blisko. Mieliśmy go na tej cholernej autostradzie, którą jechał. A jednak uniknął zasadzki. I teraz, w tym tygodniu, kolejnych dwoje ludzi poniesie śmierć w męczarniach.

Books, pewnie wyczuwając moją rozpacz, włącza się:

– Ale chodzi o to, że w zeszłym roku nie odwiedził stadionu w Denver czy stadionu drużyny New England. A to oznacza, że co tydzień wybiera inny, którego wcześniej nie widział, aż zaliczy wszystkie.

– Podsumujmy zatem – mówię. – Przyjmijmy, że następną wycieczkę urządzi sobie na stadion, na którym nie był w zeszłym roku. I nie będzie to żaden stadion na Środkowym Zachodzie, bo to jego podwórko. Co wyklucza te, które należą do drużyn Chicago Bears, Indianapolis Colts, Saint Louis Rams i Kansas City Chiefs. Czyli są cztery stadiony, których, jak sądzimy, nie odwiedzi, plus dwa, na których już był.

– No dobrze, a ile jest tych pozostałych? – pyta ktoś, jakaś kobieta.

– NFL ma trzydzieści dwie drużyny i trzydzieści jeden stadionów, bo Jetsi i Giantsi dzielą jeden – tłumaczę. – On był na siedemnastu w zeszłym roku i na dwóch w nowym sezonie.

A więc dziewiętnaście odpada. Do tego wykluczamy cztery drużyny środkowozachodnie, czyli możemy wykreślić razem dwadzieścia trzy stadiony. Zostaje nam osiem. Jeszcze osiem.

– A na nich odbywa się w tym tygodniu tylko pięć meczów z udziałem gospodarzy – wtrąca Books. – Chodzi o drużyny The Oakland Raiders, Dallas Cowboys, Cleveland Browns, Washington Redskins i Seattle Seahawks.

– Ci ostatni mają mecz w poniedziałek wieczorem, sądzymy więc, że można wykluczyć Seattle. W tym tygodniu on pojedzie w jeden z pozostałych czterech rejonów – mówię.

– To co robimy? – pyta jeden z agentów. – Mamy ostrzec wszystkich, by uważali na białego mężczyznę o przeciętnym wyglądzie, bez żadnych znaków szczególnych, który chciałby się z nimi umówić albo niespodziewanie zapuka do ich drzwi?

Ma rację. W tym właśnie problem. Nie mamy dobrego portretu tego człowieka, nie znamy też do końca metod jego działania. Z Curtisem Valentine'em umówił się na spotkanie, ale nie wiemy, jak podszedł inne ofiary. Co możemy powiedzieć ludziom? Jaki rodzaj alarmu ogłosić?

– Postawimy w stan gotowości wszystkie lokalne organa ścigania, by w razie jakichkolwiek pożarów domów mieszkalnych reagowali natychmiast i kontaktowali się z nami, tak jak to było w zeszłym tygodniu na północnym wschodzie – mówi Books. – A kiedy dowiemy się o pierwszym morderstwie, które popełni, będziemy też wiedzieć, gdzie jest i na jakim meczu się pojawi.

Innymi słowy, musimy czekać, by zabił znowu. To brzmi okropnie i jest okropne. Ale w tej chwili to jedyny sposób, by go wytropić.

– A kiedy będziemy to wiedzieli – odzywa się jeden z agentów – po prostu wyłowimy go z tych osiemdziesięciu tysięcy kibiców na trybunach.

– No tak. – Books wzdycha. – Musimy się zastanowić, jak poradzić sobie w takiej masie ludzi. Ale mamy niemal pewność, że jakąkolwiek lokalizację wybierze, w następną niedzielę spędzi na stadionie trzy godziny. Teraz trzeba zdecydować, co w tym czasie zrobimy.

To będzie trudne, ale musimy coś wymyślić. Przez te trzy godziny będziemy mieć nasz obiekt zamknięty w stalowym

pudełku. Nie możemy dopuścić, żeby znów nam się wymknął.

Rozdział 67

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 15
17 września 2012

Dziś wieczorem zacząłem ją obserwować. Obserwowałem ją w sposób, który najwięcej mówi o człowieku – to znaczy tak, żeby nie zdawała sobie z tego sprawy. Wślizgnąłem się do baru, na pewno już wiecie, że naprawdę potrafię nie rzucać się w oczy. Kiedy spotkałem tutaj Mary w zeszłym tygodniu, wspomniała, że tu pracuje. Na moje szczęście jest barmanką, więc była praktycznie uziemiona za ladą, kiedy ja zacząłem się w rogu, patrząc na nią z oddali.

Przyglądałem się jej, gdy nie było jeszcze większego ruchu. Pora kolacji. Zjadłem coś niewyszukanego, jak to w pubie, a potem otworzyłem laptop, by mieć pretekst zostać dłużej. Obserwowałem ją, kiedy pojawiło się więcej klienteli na wieczorny poniedziałkowy mecz. Nie spuszczałem z niej oka, kiedy goście byli dla niej niemili i kiedy z nią flirtowali. Patrzyłem na nią, kiedy miała jakąś chwilę dla siebie i kiedy komunikowała się z menedżerem i resztą obsługi.

A potem przemknąłem do łazienki, żeby zdjąć bejsbolówkę i okulary i opuścić kołnierz kurtki. Wróciłem na salę, gdzie było już wystarczająco dużo ludzi, żebym zgubił się w tłumie, i przepchałem się do baru, jakbym dopiero co tutaj wszedł. Muszę przyznać, że czułem motyle w brzuchu. Tak, moi przyjaciele, miałem tremę.

Usiadłem na stołku przy barze i czekałem na swoją kolej, jak każdy inny klient. Zdecydowałem, że zagram zdziwienie na jej widok. Jakbym po prostu wpadł tutaj, tak jak w zeszłym tygodniu, i nie spodziewał się jej tu zobaczyć. Czy powinienem udawać, że nie pamiętam nawet jej imienia? Może zastanowię się chwilę, a potem strzelę palcami i powiem: „Mary... prawda?”.

Ale kiedy do mnie podeszła, z łagodnym uśmiechem na twarzy, nie byłem już panem samego siebie. Ciemne włosy miała związane w koński ogon, ale kilka loków się wymknęło i wisało luźno. Przy zmrużonych oczach rysowały się leciutkie kurze łapki. Bar nie był jasno oświetlony, przez co jej oczy wydawały się jeszcze o ton ciemniejsze, niż to zapamiętałem z poprzedniego razu, kiedy widziałem ją z bliska.

- No proszę, Graham - powiedziała. - A już myślałam, że cały wieczór będziesz mnie ignorował.

Zrobiła to znowu! Kompletnie mnie zatkało, a nie zdążyłem się nawet przywitać. Poprzednio przyłapała mnie na tym, że nagrywam swoje myśli, chociaż udawałem, że rozmawiam przez telefon. Była jedyną osobą, która kiedykolwiek rozszyfrowała moją grę. Tym razem wiedziała, że czałem się w głębi baru, może nie dosłownie przebrany, ale na pewno starając się ukryć twarz.

I pamiętała moje imię!

W tej sytuacji powinienem wymyślić dowcipną ripostę, prawda? Coś inteligentnego, może zakpić z samego siebie - to w końcu moja specjalność. Trzeba było szybko odpalić coś z ironią, jakby nigdy nic. Coś, żeby się zrewanżować.

Ale zanim zdążyłem się zastanowić, moje usta poszły w ruch i powiedziałem:

- Speszyłem się na twój widok.

Przyjaciele, muszę wam wyznać, że w tym momencie serce mi zamarło. Chciałem sięgnąć w powietrze i chwycić z powrotem te słowa. Obnażyłem całą swoją duszę. Co ja najlepszego zrobiłem? - pomyślałem w tym ułamku chwili, łapiąc boleśnie oddech. Jak zdołałem to cofnąć? Czy ona nie stwierdzi, że jestem żałosny?

Ale oto co się stało: spuściła wzrok, a kąciki jej ust leciutko się uniosły. Wycierała szmatką bar.

- No wiesz, Graham, to najśłodsza rzecz, jaką można powiedzieć dziewczynie.

Pamiętacie, jak to jest? To uczucie... że z kimś łączy was coś wyjątkowego? To drgnienie w piersi, kiedy zdajecie sobie sprawę, że przekroczyliście jakąś granicę, a po drugiej stronie jest przynajmniej odrobina wzajemności?

Może Mary i ja... po prostu nie wierzę, że coś takiego mówię, ale może Mary i ja...

Nie. Nie, nie, nie. Zwolnij, Graham. Uważaj. Powoli.

Nie chcielibyśmy, żeby komuś stała się krzywda.
(koniec)

Rozdział 68

Unoszę wzrok znad komputera. Głowa leci mi do tyłu. Gapię się tępo w sufit. Obraz mi się zamazuje od braku snu i wpatrywania się godzinami w ekran laptopa.

Books puka do drzwi mojego pokoju.

– W sali konferencyjnej jest jeszcze trochę chińszczyzny – informuje.

– Brzmi dobrze – mówię bez przekonania.

– Hej. – Podchodzi i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Jeśli nie masz zamiaru spać, to musisz przynajmniej coś jeść. Zostały z ciebie sama skóra i kości.

Zawsze tak było. Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i pięćdziesiąt pięć kilogramów wagi, odkąd miałam kilkanaście lat. Wysoki chudzielec. Mówiąc ładniej: dziewczyna o sportowej sylwetce – nie drobna i zgrabna, jak moja siostra czy nawet moja matka.

– Dobra, mamy to – oznajmia Sophie Talamas, wpadając do pokoju. – Drużyny, legalnych dystrybutorów biletów, mamy ich wszystkich. Każdego, kto kupił bilet na mecz NFL w tym tygodniu w Oakland, Dallas, Waszyngtonie czy Cleveland.

Obracam się na krześle i kiwam jej głową.

– Dobrze. Wiesz, co robić – mówię.

Analitycy mają dokonać swoich czarów. Przejrzeć wszystkie te nazwiska i przepuścić je przez nasze bazy danych.

– Jakoś się nie cieszysz... – zauważa.

Krzywię się lekko. Nie, nie cieszę się.

– Emmy nie sądzi, że nasz obiekt jest na którejkolwiek z tych list – wyjaśnia Books.

– Nie kupiłby biletu w ten sposób. Nie chce zostawiać śladów – dorzucam. – Zapłaci gotówką. Domyślam się, że upoluje sobie bilet tuż przed meczem.

Przy słowie „upoluje” aż mnie skręca, bo kojarzy mi się z tym, jak osacza ofiary i co z nimi robi. Termin przejęłam od

Booksa, zagorzałego kibica. Kiedy pierwszy raz wspomniał o „upolowaniu” biletu, od razu stanął mi przed oczami obraz kogoś z długim ząbkowanym nożem.

Sophie trze oczy. Ma za sobą wiele godzin pracy. Jak my wszyscy.

– Myślisz, że dziś popełni pierwsze morderstwo w tym tygodniu?

Wzruszam ramionami. Jest środa wieczorem. Nasz obiekt uaktywnia się najwcześniej właśnie w środę – i ujawni w jakimś punkcie na mapie. Im szybciej odkryjemy, na który stadion się wybiera, tym lepiej zdołamy się przygotować. Więc choć zabrzmiałoby to bardzo dziwnie, gdybym powiedziała to na głos, rzeczywiście mam nadzieję, że zabije kogoś właśnie dzisiaj. Taka jest okrutna prawda.

– Idź do domu, Emmy – mówi Books, mając na myśli hotel. – Możesz w łóżku pracować na komputerze. Mamy tu wszystkich możliwych specjalistów, którzy go teraz szukają. Nie jesteś już jednoosobową grupą śledczą.

Przyciskam palec do blatu biurka.

– Zostaję tutaj – oświadczam. – I jeśli tej nocy dowiemy się, gdzie on grasuje, jadę tam z tobą.

Rozdział 69

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 16
19 września 2012

Chcę, żebyście tego posłuchali. To z dzisiejszego wieczoru. Mary i ja. Spotkałem się z nią, kiedy skończyła pracę.

Ja: Mogę cię o coś spytać, Mary? Dlaczego zgodziłaś się dziś ze mną spotkać?

Mary: Chodzi ci o to, dlaczego się z tobą umówiłam po tym, jak w poniedziałek przytapałam cię na szpiegowaniu mnie z głębi baru?

Ja: Mógłbym ująć to delikatniej, ale tak. Dlaczego? Myślałem, że uznasz mnie za jakiegoś dziwaka.

Mary (ze śmiechem): Uważam, że jesteś dziwny, Grahamie.

Ja: Aha. Cieszę się, że to ustaliliśmy.

Mary: Już ci mówiłam, lubię trochę pokreconych facetów. To było... no nie wiem, coś pociągającego. Pochlebilo mi. Rzadko ktoś peszy się na mój widok.

Ja: Trudno mi w to uwierzyć.

Mary: Myślisz, że na rynku jest wielkie zapotrzebowanie na trzydziestosiedmioletnie barmanki, które wychodzą z alkoholizmu?

(Uwaga spisującego: 11 sekund przerwy).

Mary: Ojoj, wystraszyłam cię. Fatalny sposób przekazania takiej informacji. Ale tak. Jestem alkoholiczką. Trzeźwą od ponad dziesięciu lat, jeśli to jakieś pocieszenie.

Ja: Nie. Myślę, że... że to raczej niezwykle.

Mary: Och, chyba nie. Po prostu zmagam się z własnymi demonami, jak wszyscy.

Ja: Ale starasz się od nowa budować swoje życie. W dzień studia, wieczorami praca. Uważam, że to godne podziwu.

Mary: Miło, że tak mówisz.

Ja: A dlaczego pracujesz w barze, skoro jesteś byłą alkoholiczką?

Mary: Wiem, wiem... to się wydaje bez sensu, prawda? Przede wszystkim dlatego, że potrzebowałam wieczornej pracy, żebym w dzień mogła chodzić na zajęcia, a mój przyjaciel jest właścicielem tego lokalu. Może też lubię wyzwania.

Ja: Wyzwania?

Mary: Taaak. Mam świadomość, że się z tym mierzę i dzień po dniu daję radę. Bo stale muszę patrzeć na te butelki i mówić sobie: „Już was nie potrzebuję, pokonałam was”. To daje poczucie siły.

Ja: Mierzenie się z demonami.

Mary: Tak, no właśnie. A ty masz swoje demony, Grahamie?

Pomyślałem, że cała ta rozmowa jest... wyjątkowa. To, jak łatwo Mary otworzyła się przede mną. Jak spojrzała mi w oczy i powiedziała: „Oto kim jestem”. Ludzie tak nie robią. Nie pokazują swojego prawdziwego ja. Ukrywają się pod wieloma warstwami, oszukując samych siebie i otoczenie. Zakładają maski. Nadrabiają miną. Kłamią. Chowają się.

Co miałem jej odpowiedzieć? Naprawdę chciałem się odwzajemnić. Szczerze. Ona przedstawiła mi brudne aspekty swojego życia, jakby to było coś najbardziej naturalnego w świecie, a ja co zrobiłem? Czy przyznałem: „Tak, ja też mam swoje demony, Mary”? Nie, zmieniłem temat, oto co zrobiłem.

I ona to zauważyła. Odkrywa się cała, a ja tu nagle zaczynam psioczyć na kaprysy pogody. To było oczywiste. Sądzę, że ona wie. To znaczy nie wie dokładnie – przecież to niemożliwe, żeby wiedziała – ale coś wyczuwa. Jestem o tym przekonany.

O, i ten jej uśmiech. Szkoda, że nie mogliście zobaczyć, jak jej się nos zmarszczył, jak zmrużyły się oczy. To jeden z najbardziej szczerych, autentycznych uśmiechów, jakie w życiu widziałem. Ona tak szybko poddaje się radości i odsuwa od siebie jad, wszelkie trujące myśli.

I to, jak pachnie. Jest w tym jakaś truskawkowa nuta. Podejrzewam, że to jej szampon. Kiedy wdycham ten aromat, nasuwa mi się słowo „świeżość”. I naprawdę nie ma lepszego słowa, by opisać Mary.

Aha... i ten koniec wieczoru, gdy już odprowadziłem ją pod dom... nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tak się denerwował.

Stałem z rękami w kieszeniach, ze spuszczonej oczami, przestępując z nogi na nogę. Mówię wam, musiałem wyglądać jak uczeń na pierwszej randce.

I pocałowałem ją! Sam nie wiem, jak przeszedłem od punktu A do punktu B, ale gdzieś tam pomiędzy nimi musiałem zdobyć się na odwagę, pochylić, a ona spotkała się ze mną w pół drogi. To było tak delikatne, powolne i słodkie. Nasze usta leciutko zetknęły się ze sobą. Jej dłoń gładziła mnie po policzku. Poczułem, jak przebiega mnie elektryzujący dreszcz. Miałem wrażenie, że robię się lekki jak piórko.

Nawet teraz czuję, że fruwać!

(koniec)

Rozdział 70

– Cholera.

Odpycham się od biurka i odjeżdżam fotelem na środek pokoju. Kiedy wstaję, dopadają mnie zawroty głowy. Ściany falują, podłoga się unosi. Przytrzymuję się krzesła, żeby złapać równowagę.

– Cholera – powtarzam, bo to chyba najlepsze podsumowanie sytuacji.

Kompletnie się rozsypuję. Wiem to. Dyżuruję noc w noc i nie jem. Już długo tak nie pociągnę.

I jakie mam wyniki? Po pierwsze, całą środę i czwartek ślęczałam nad komputerem, warując przy telefonie, w nadziei że odezwą się do nas z jednego z posterunków policji w wytypowanych przez nas rejonach – Oakland, Dallas, Waszyngtonu, Cleveland. Liczyłam na wiadomość o jakimś pożarze, który moglibyśmy przypisać działaniom naszego obiektu.

Jak na razie, nic. Oczywiście było kilka telefonów. Zapalił się dom w Sausalito i restauracja w Cleveland, gdzie właściciel pewnie plajtował i sam podpalił swój lokal, by zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia. Ale nie było żadnych doniesień, które pasowałyby do naszej sprawy.

Jest piąta rano, piątek. Od wtorkowej nocy pozwalałam sobie tylko na małe drzemki. Muszę się parę godzin przespać, żeby dać radę czuwać dziś wieczorem, bo to piątek i teraz on już na pewno zaatakuje. Rachunek jest prosty. Jeśli ma zabić dwie osoby w tym tygodniu, do niedzieli, pierwszego zabójstwa musi dokonać w piątek wieczorem.

Cudnie. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to będzie ta noc, a zasnę nad biurkiem.

Wyprana z sił, półprzytomna – szyja i plecy w takim stanie jak przy stężeniu pośmiertnym, palce obolałe od pospiesznego klepania w klawiaturę przez całą noc – ledwie widząc na oczy,

wychodzę z budynku FBI i jadę moim wynajętym samochodem do hotelu. Wsiadam i zatraskuję drzwi. Rześki powiew jesiennego poranka przynosi chwilową ulgę (jestem na powietrzu, tak, przypominam sobie, że jeszcze coś takiego istnieje – świeże powietrze).

W głębi oczodołów odzywa się ból, ciemne plamki wirują, zawężając mi pole widzenia, jakbym patrzyła przez tunel. Wiem, że natychmiast muszę się położyć. Może kilka godzin i...

– To ona! – słyszę krzyk kobiety.

Mam zwolniony czas reakcji, ale i tak podskakuję nerwowo, jakby to był napad, i dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że biegnący w moim kierunku mężczyzna i kobieta nie mają złych zamiarów. Przynajmniej nie w sensie fizycznym. Ona trzyma w dłoni mikrofon. On kamerę.

– Pani agent Dockery – mówi reporterka, ładna Afroamerykanka. – Jestem Diane Bell z „Tribune”.

To dla mnie coś nowego, po raz pierwszy zwraca się do mnie w ten sposób jakiś dziennikarz. Przemyka mi przez myśl „bez komentarza” i „nie jestem agentem”, ale zamiast tego wyrывa mi się:

– Tak?

– Rozumiemy, że tropi pani seryjnego mordercę, mężczyznę, który prawdopodobnie zabił dziesiątki ludzi, za każdym razem dokonując podpalenia, by ukryć dowody zbrodni.

– Ja... ja... – Kręcę głową, zasłaniając się dłonią przed kamerą, i ruszam do hotelu. – Nie mogę nic powiedzieć o toczącym się śledztwie – recytuję mechanicznie to, co jak słyszałam, mówią inni.

Bombardowani pytaniami politycy i prokuratorzy o nieprzeniknionym wyrazie twarzy. „Bez komentarza. Nie możemy się wypowiadać na temat toczącego się śledztwa”.

– A więc prowadzi się śledztwo – mówi ona. – Świetnie. Dziękuję.

Gwałtownie kręcę głową, co niespecjalnie pomaga chwiejnej równowadze. Idę dalej w stronę wejścia do hotelu, przyspieszając kroku i ramieniem zasłaniając się przed reporterką. Jak nie będę uważać, to przewrócę się na kamerę.

– Curtis Valentine – mówi ona. – Joelle Swanson?

Docieram do drzwi i popycham je.

– Pani siostra, Marta?

Oglądam się na nią, ale nic nie mówię. Podnosi dłoń w uspokajającym geście i podchodzi.

– Ja to wszystko i tak wiem, pani agent – podkreśla. – Jedną z ofiar była pani siostra, a pani wszczęła krucjatę. Odkryła pani te morderstwa, choć nikt pani nie wierzył.

Mam gonitwę myśli. To mnie przerasta. Nawet nie znam protokołu. Agenci specjalni są szkoleni na wypadek kontaktów z prasą. Ale analitycy? Przecież z nami nikt nigdy nie chce rozmawiać.

– Kto... to pani powiedział? – udaje mi się wydukać.

Lekko opuszcza głowę, z urażoną miną. Racja, dziennikarze nie zdradzają źródeł. Z nimi to działa w jedną stronę.

– Proszę wziąć moją wizytówkę – mówi, a ja z jakiegoś powodu to robię. – Niesamowita historia, Emmy. Nie chcesz opowiedzieć o tym ze swojego punktu widzenia?

– Nie – rzucam ostro i przepycham się do hotelu.

Rozdział 71

Books przeciera dłonią twarz. Ma czerwone, nieprzytomne oczy, jest wyczerpany. Spał więcej niż ja, ale to nie znaczy, że dosyć. Studenci przed ostatnimi egzaminami są bardziej wypoczęci ode mnie.

– Nigdy nie komentujemy, czy jest śledztwo, czy go nie ma – mówi łagodnie Books, jak rodzic do dziecka.

Trę oko pięścią.

– Przecież nic nie powiedziałam.

– Potwierdziłaś, że toczy się śledztwo.

– Znała nazwiska, imiona, w tym imię Marty. Ona już wiedziała o tym cholernym dochodzeniu.

Books patrzy mi w oczy, ale nie brnie w to dalej. Powiedział co trzeba. Bez względu na to, ile ta reporterka już wiedziała, nie miała potwierdzenia FBI na temat śledztwa, póki jej go nie dałam.

Podnoszę ręce w geście poddania.

– Zawaliłam na całego.

Books nie zaprzecza.

– Skąd oni mają tę historię? – rzucam, choć to pytanie retoryczne.

Dziennikarka nigdy nie powie, a zresztą to i tak bez znaczenia.

– Moim zdaniem od kogoś z lokalnej policji, kto pracował przy sprawie Joelle Swanson albo Curtisa Valentine’a. – Books kręci głową. – Ci ludzie zawsze chcą wykorzystać sytuację. „Daję ci cynk, ale pamiętaj zrobić mi dobrą prasę przy najbliższej okazji, kiedy będziesz pisać o naszych działaniach”. Tak to działa. A może ktoś z rodziny którejś z ofiar puścił parę? Szczerze mówiąc, i tak dziwię się, że tak długo nic nie przeciekło do prasy.

– I wszystko na nic! – Ciskam ołówek na drugą stronę pokoju.

– Myślał, że ciągle mu się udaje. Miał robić swoje, gdziekolwiek

jest w tym tygodniu, zabijając, stosując sprytną taktykę zacierania śladów. I pewien, że nikt nic nie podejrzewa, miał pójść na mecz, a my mieliśmy go tam zgarnąć. A teraz? Teraz już będzie wiedział, że go ścigamy!

Dzwoni telefon Booksa. Rzuca mi przeproszające spojrzenie, starając się uśmiechnąć.

– Palant Dick – mówi.

Włącza na głośnomówiący i odbiera.

– Tu Books. Jest ze mną Emmy.

– No tak... dobra robota, Emmy! W chwili, kiedy jesteśmy na tropie i mamy największe szanse, ty opowiadasz „Chicago Tribune” wszystko o naszym śledztwie.

Books przewraca oczami, głównie ze względu na mnie. Ten fiut pewnie cieszy się, że znów jest górą, że może wytknąć mi, jak bardzo nawaliłam, nawet jeśli trochę przesadza.

– Właśnie rozmawiałem z redakcją – mówi Dickinson. – Niespecjalnie chcieli rozwodzić się nad tym, co wiedzą. Mają nazwiska niektórych ofiar, orientują się, że Emmy jest zaangażowana osobiście w to śledztwo...

Books i ja wymieniamy spojrzenia. Celnym pchnięciem ze strony Dickinsona. Jestem pewna, że najchętniej wywaliłby mnie za to z zespołu. Gdyby nie tamten obciążający go epizod w jego gabinecie, na pewno już by to zrobił.

– ...i wygląda na to, że mogą mieć wyniki sekcji. Wiedzą, że nasz obiekt zabijał w wielu różnych miejscach na terenie kraju, choć nie mają uporządkowanych danych. I nie wspominali nic o naszych ostatnich odkryciach, jak nagranie wideo z baru czy związki z rozgrywkami futbolowymi.

Potrząsam głową.

– To bez znaczenia. Wiedzą, że te trzy sprawy, Curtisa Valentine’a i Joelle Swanson, i mojej siostry, zostały uznane za morderstwa, a nie śmierć w przypadkowym pożarze. To mu wystarczy. Nie chciał, żebyśmy szukali mordercy, koniec kropka, a tym bardziej jego. Kiedy tylko zobaczy ten artykuł, zrozumie, że orientujemy się, co robi. I nie da się tak łatwo podejść.

– No to dziękujcie mi za to – mówi Dick – że przekonałem tych z „Tribune”, by wstrzymali artykuł do poniedziałku.

– Och, to wspaniale – odzywa się Books. – Świetnie! – Uspokajająco macha do mnie ręką. – Czyli nie wszystko stracone.

– Co im musiałeś obiecać? – pytam.

– Że pierwsi dowiedzą się o wszystkim, kiedy się z tym uporamy. Jeśli się uporamy.

Books wzrusza ramionami, że niby co to szkodzi.

– No to macie ten weekend, tę jedną szansę, by wyłować nasz obiekt na stadionie, który zechce odwiedzić – mówi Dickinson. – Bądźcie tak uprzejmi i tym razem postarajcie się już niczego nie spieprzyć.

Rozdział 72

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 17
22 września 2012

*Mary, Mary, przekorna Mary,
Dlaczego kocham cię tak bardzo?
Przez słodycz uśmiechów i kobiece gry.
I włosy w ogonek związane kokardą.*

Trzeba nad tym jeszcze trochę popracować, jak myślę. Pewnie zgodzimy się co do tego wszyscy. Wprawy w wierszyków pisaniu nie mam.

Ale dobry nastrój mam. Och, posłuchajcie tylko, zaczynam już mówić jak Yoda z *Gwiezdnych wojen*. „Głupi ja jestem!”

O Boże, naprawdę czuję, że całkiem zgłupiałem. Kręci mi się w głowie, dwa razy przebieram się przed dzisiejszą randką. Układam włosy, dwukrotnie myję zęby. Zrobiłem nawet trochę pompek, żeby – jeśli dotknie mojego ramienia albo mnie obejmie – poczuła twarde mięśnie. Czy to normalne aż tak się szykować? A co mi tam! Jeśli nawet nienormalne, to mogę być nienormalny!

Dobra, weź głęboki oddech. Nie chcę jej wystraszyć. Nie chcę jej spłoszyć, pokazując, że tak strasznie mi zależy. Bywa, że człowiekowi zależy za bardzo, prawda? A rzecz w tym, że może ona po prostu lubi moje towarzystwo, ale nie jest gotowa na poważny związek.

Boże, patrzcie na moje narzędzia. Kleszcze w opłakanym stanie. Dłuto niedługo trzeba będzie wymienić na nowe. Myślę, że tym razem zdecyduję się na średnicę ośmiu, a nie dziesięciu milimetrów. Trudniej je ostrzyć, a pewnie i czyścić, ale za to pozwala na większą precyzję. A precyzja to wszystko. Łyżeczki do kości też widziały lepsze czasy. Co się ze mną dzieje? Dawno,

dawno temu, jak wracałem do domu, zawsze metodycznie czyściłem narzędzia. Oto co ze mną robisz, Mary. Przez ciebie nie mogę się skupić.

Ale nie przeszkadza mi, że jestem rozkojarzony!

Czy jestem gotów na związek? No, zaraz, znów to robię – za dużo sobie wyobrażam, za bardzo się spieszę. To urocza dziewczyna, Grahamie, bardzo miła kobieta. Może jest to coś na dłużej, ale nie musisz podejmować decyzji już teraz czy dziś wieczorem. Powoli. Czy nie tak wszyscy radzą: żeby zwolnić tempo?

No dobra. Tak. Racja. Jeśli wydam się zbyt chętny, ona się cofnie. Po prostu bądź sobą, wyluzuj, i niech się dzieje, co chce.

O, jedna wada Mary – pracuje od poniedziałku do środy, więc na życie towarzyskie ma czas głównie od czwartku do soboty. Co za pech! W te dni organizuję swoje małe wycieczki. Wieczory, kiedy wyjeżdżam, ona ma wolne! Czy to znak, że nie jest nam pisane być razem?

No zaraz, tego właśnie nie wolno mi robić. Nie powinienem za bardzo się spinać. Po prostu pozwólmy sobie na miłą sobotnią randkę i... nie spieszymy się.

Boże, mówię same banały. Ale to są banały, bo taka pewnie jest prawda. Nie wolno się spieszyć, trzeba się zrelaksować, niech związek pooddycha, jak młode cabernet sauvignon.

Ale nie przesadź też w odwrotną stronę... nie udawaj zbyt długo, że ci specjalnie nie zależy, bo wyślesz mylny sygnał. Nie napinaj się. Bądź sobą.

Mam być sobą? Jak mogę być sobą?!

Doprowadzam się do szaleństwa. Po prostu idź, baw się dobrze i nie oczekuj zbyt wiele. W porządku. Tak. O to chodzi. Trzeba iść, dobrze się bawić i nie myśleć, co będzie potem.

I nie zapomnij wymienić ostrza w nożu do amputacji.

Na wszelki wypadek.

(koniec)

Rozdział 73

Powieki mam tak ciężkie, że ledwie mogę je unieść. Patrzę, jak na zegarze w moim gabinecie dochodzi czwarta. Czwarta rano. Minęła sobotnia noc i nic się nie wydarzyło.

Chwytam zszywacz i ciskam nim w zegar. Bardzo niecelnie. Tylko zrobiłam ślad na ścianie. Okruchy farby sypią się na wykładzinę. Cztery kolejne noce dyżuru – od środy do soboty – bez żadnych wyników, nie licząc worków pod oczami i coraz gorszego widzenia.

Books słyszy hałas. Wchodzi ostrożnie, w obawie, by nie stać się celem latających przyborów biurowych.

– Co, zrobił sobie tydzień wolnego?! – krzyczę. – Po prostu zdecydował: „O nie, nie w tym tygodniu”? To do niego niepodobne. To mu się nie zdarza. Jest jak robot. I w ten jedyny tydzień, kiedy jesteśmy na niego gotowi, kiedy mamy ostatnią szansę, zanim gazety wydrukują te artykuły i go ostrzegą, on robi sobie pieprzone wakacje?

Books opiera się o drzwi.

– Racja. Nie rozumiem tego. Ale musimy się z tym pogodzić. Nie mamy wyboru...

– Och, mógłbyś przestać być tak cholernie opanowany? – syczę. – W tym tygodniu mogliśmy go osaczyć, Books. Mieliśmy go na widelcu. Teraz będzie już wiedział, że się zbliżamy.

– Niekoniecznie, Em. Przecież nawet nie wiemy, co napiszą w „Tribune”. Skupmy się lepiej na tym, na co mamy wpływ, a resztę zostawmy.

Kręcę głową i od tego jeszcze bardziej miga mi przed oczami. Kiedy znów jestem w stanie skupić wzrok, pada on na artykuł z gazety wydawanej w mieście, gdzie mieszkała Marta – „Peoria Times”. W zeszłym miesiącu pisano tam, że domagam się od lokalnej policji, by traktowała śmierć Marty jak morderstwo, bo według mnie ten pożar nie był przypadkowy. Cytowano szefa tamtejszej policji: „Rozumiemy rozpacz panny Dockery. Nie

możemy jednak angażować się w pracochłonne dochodzenie na podstawie odczuć pogrążonej w żałobie siostry. Nasi śledczy, szef straży pożarnej i lekarz sądowy – wszyscy zgadzają się co do tego, że Marta Dockery poniosła śmierć na skutek zatrucia dymem w przypadkowym pożarze”.

Books idzie za moim wzrokiem i widzi artykuł, przypięty niebieską pinezką do korkowej tablicy na ścianie obok mojego komputera.

– Popatrz tylko, co osiągnęłaś, Emmy. Kiedy ukazał się ten artykuł? Siódmego sierpnia tego roku? Przedstawiają cię tam jako oszalałą z bólu, pozbawioną rozsądku siostrę, która wierzy w krasnoludki. Teraz sytuacja kompletnie się zmieniła. Sześć tygodni temu nie tylko przekonałaś FBI, że masz rację, ale uruchomiłaś też wielki pościg i jesteśmy już coraz bliżej. Zobacz, jak blisko jesteśmy, Emmy. Zanim posłał nam tę podkreśloną piłkę, byliśmy gotowi zarzucić sieć na stadion i złapać dziś tego dupka. Nadarzy się inna okazja. Obiecuję ci, że tak. Jesteśmy teraz w jego głowie. Rozpracowaliśmy sposób jego działania. I nie szkodzi, że wziął sobie tydzień wolnego. Hej, spójrz na mnie.

Nagle widzę, że jest tuż obok, nachyla się nade mną, choć tego nie zauważyłam. Może dlatego, że jego naruszanie mojej prywatnej przestrzeni nigdy nie było inwazją – ta przestrzeń należała też do niego. To były prostsze czasy. Łatwiej było z nim niż bez niego. Bardziej naturalnie. Dobrze. Jakbyśmy stanowili fragmenty układanki, które osobno nie mają sensu, ale świetnie do siebie pasują i razem tworzą spójną całość. I o to chodzi w życiu normalnych ludzi, prawda? Znajdujesz ten drugi kawałek, który dopełnia twój, i starasz się dopasować krzywizny, nawet jeśli nie idzie to całkiem gładko i trzeba się trochę natrudzić. Nie oczekujesz, że będzie idealnie. Starasz się, żeby się udało, i doceniasz to, co pasuje, zamiast skupiać się na drobnych niedociągnięciach.

Podnoszę na niego wzrok. Dobrze znam tę tęsknotę, którą widzę w jego oczach – odwzajemniałam ją – ale wiem, że teraz jestem zbyt przybita na jakąkolwiek znaczącą reakcję. Books też to wie. Jak już mówiłam, on zna mnie lepiej niż ja sama siebie.

– Złapiemy go – mówi. – Już niedługo.

Rozdział 74

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 18
23 września 2012

Nie wiem, co robić. Wpadłem na całego. Bardziej, niż kiedykolwiek mógłbym to sobie wyobrazić. Nie miałem pojęcia, jak zareagować, kiedy mi to powiedziała. Po prostu siedziałem tam i wtedy...

Och, gadam jak potłuczony. Po kolacji poszliśmy na spacer, a potem do jej domu, gdzie ma taki stary kominek na drewno. Nie było specjalnie chłodno, ale ona stwierdziła, że byłoby romantycznie w nim napalić, i tak zrobiliśmy.

Później zaczęliśmy się całować i dotykać nawzajem. Z czułością, ciepło, delikatnie. Nie mówię o seksie. Chodzi o coś znacznie głębszego. O intymność. Pieściliśmy się, głaskaliśmy, zaglądając sobie w oczy, czując swoje oddechy na twarzach. Dzieliliśmy ze sobą chwile, jakich nie przeżyłem jeszcze z nikim, nigdy. Mógłbym tam zostać na zawsze.

I wtedy powiedziałem: „Mary, jesteś dla mnie kimś wyjątkowym”. Tak mi się wyrwało. Nie planowałem tego. To dla mnie nietypowe, bo kiedy to ja działałem spontanicznie, pod wpływem impulsu? Zawsze wszystko planuję. Wszystko. Wy o tym wiecie. Wiecie to o mnie. Ale z nią jest inaczej. Chciałem to powiedzieć. Przyjemnie było to powiedzieć.

A ona spytała: „Mówisz serio?”. Potwierdziłem, że tak, oczywiście. Bo to było szczere. Ale wtedy zrobiła się milcząca. Czułem, że się trochę wycofuje. A to nie w jej stylu. Jest jak otwarta książka, pamiętacie. Jednak wyraźnie zamykała się w sobie. Po raz pierwszy dostrzegłem w jej oczach bezradność. Wciągnąłem ją w sytuację, w której nie czuła się pewnie. Nie wiedziałem, co zrobić. Pomyślałem, że w jakiś sposób popełniłem wielki błąd. Zastanawiałem się, czy może powinienem przeprosić.

Ale to nie miałyby sensu. Przepraszać, bo powiedziało się komuś, że jest wyjątkowy? Potem zaczęły mi krążyć po głowie przeróżne myśli. „To tylko pokazuje, jak bardzo jesteś niedoświadczony, Grahamie” albo: „To tylko dowodzi, że nie jesteś stworzony do tego typu związków”, ale nagle, zamiast dalej siedzieć jak skamieniały lub wrócić do swojego zwykłego kalkulującego na zimno ja, zaufałem emocjom i prosto z serca spytałem... chyba brzmiało to mniej więcej tak: „Czy powiedziałem coś, co cię uraziło?”.

I wtedy napłynęły jej do oczu łzy. Już myślałem, że spróbuje zbyć mnie byle czym, uda, że nic się nie stało, a tymczasem... ona wyszeptwała – nasze twarze były zaledwie centymetry od siebie – „Jeśli mówisz poważnie, oddam ci się. Tak. Jestem na to gotowa. Ale tylko jeśli ty oddasz się mnie. Jeśli nie możesz, w porządku. Ale jestem gotowa to zrobić, jeśli i ty też”.

„Oddam ci się”. Tak właśnie powiedziała!

Nie miałem pojęcia... nie wiedziałem, jak zareagować. Pocałowałem ją więc, a ona może uznała to za odpowiedź, a może chciała mi dać czas do namysłu. Ale ja go nie potrzebowałem. Tak, Mary, chcę ci się oddać. Bardziej nawet, niż mogłabyś przypuszczać. Chcę oddać się w twoje ręce, otworzyć w sobie wszystkie pozamykane drzwi i odkryć się przed tobą bez reszty. Chcę, żebyś była jedyną istotą na świecie, która wie o mnie wszystko. Nie widzisz? Tylko tego zawsze pragnąłem. To jedyne, czego chciałem.

Ale jak? Jak mogę to zrobić? Jak mogę oczekiwać, że mnie zaakceptujesz?

Myślę... myślę jednak, że ona mogłaby być takim kimś. Wie, jak to jest pokonywać przeszłość. Ruszać naprzód jako nowa osoba, nie patrząc wstecz. Z tym że moja historia jest nieco bardziej skomplikowana niż walka z alkoholizmem, ale koniec końców, czy nie o to samo chodzi? By koncentrować się na przyszłości. Zostawiając swoją przeszłość tam, gdzie jej miejsce, w przeszłości. Stając się kimś lepszym.

Oto czego chcę, Mary. Chcę ruszyć naprzód z tobą. Mogę to zrobić. To znaczy myślę, że bym potrafił. Chcę spróbować. Czy nie to właśnie się liczy – że chcę spróbować?

Ale musiałbym ci zaufać, Mary.

Czy mogę ci zaufać, Mary?

(koniec)

Rozdział 75

Biorę głęboki wdech, zanim spoglądam na pierwszą stronę poniedziałkowego wydania „Chicago Tribune”.

FBI bada serię pożarów, dzieło seryjnego zabójcy. „Genialny zbrodniarz” atakował w całym kraju, między innymi w Champaign i w Lisle

Federalni agenci z Chicago i innych biur FBI prowadzą śledztwo w sprawie serii pożarów uznawanych dotąd za przypadkowe. Obecnie przypisuje się je działaniom „genialnego zbrodniarza”, któremu w zeszłym roku wielokrotnie udawało się zmylić ekspertów i detektywów w różnych miejscach na terenie całego kraju – poinformowały nas pragnące zachować anonimowość osoby zaangażowane w to dochodzenie. Pożary, które dziś uznano za podpalenia, pochłonęły życie wielu osób, między innymi Curtisa Valentine’a, lat 39, z Champaign, i Joelle Swanson, lat 23, z przedmieść Lisle. Organa ścigania nie precyzują liczby ofiar, ale oceniają, że chodzi o „dziesiątki, jeśli nie setkę” przypadków w całym kraju. „On urządza to tak, że pożar wygląda na przypadkowy – wyjaśnił nam ktoś dobrze zorientowany – a śmierć ofiar wydaje się nieszczęśliwym wypadkiem”. Według naszych źródeł, nowoczesne metody kryminalistyczne i prace podjęte przez policję wskazują, że były to okrutne, poprzedzone torturami morderstwa, czego ślady w dużym stopniu zatarł ogień. „Większość dowodów spłonęła”, powiedział jeden ze śledczych.

Zostaje wspomniana w szóstym akapicie jako „etatowa analityczka FBI”, której siostra Marta zginęła w styczniowym

pożarze domu pod Phoenix, w stanie Arizona, i która naciskała na wszczęcie federalnego śledztwa w sprawie wielu podobnych do siebie pożarów. „Upór Emmy okazał się katalizatorem”, mówiło jedno ze źródeł. A jedyne zdjęcie ilustrujące artykuł, którego ciąg dalszy jest na stronie piątej, przedstawia mnie przed hotelem, uciekającą przed reporterami.

Ale oto najciekawszy fragment z tego wszystkiego:

Źródła dobrze zorientowane w śledztwie twierdzą, że ekspertyza kryminalistyczna i prace w terenie pozwoliły określić rejon, gdzie przebywa sprawca, choć tego już nie zdradzono naszej redakcji. „Wiemy mniej więcej, gdzie on mieszka – powiedział nasz informator. – Teraz to już tylko kwestia czasu”.

Skąd oni to biorą? Wiemy mniej więcej, gdzie on mieszka? Tak, jeśli przez „mniej więcej” rozumieć „gdzieś na Środkowym Zachodzie”.

– No, teraz przynajmniej jesteś sławna – pociesza mnie Denny Sasser, kładąc mi delikatnie dłoń na ramieniu. – Mogło wypaść o wiele gorzej – dodaje, już poważnie.

To prawda. W artykule nie piszą nic o schemacie jego podróży po kraju ani o meczach NFL, ani o tym, że robimy postępy i mamy o wiele więcej niż wstępne ustalenia.

– Nie wiedzą o stadionach – stwierdza Books, wparowując do mojego pokoju.

– I o meczach futbolowych – dodaje Sophie, która pojawia się tuż za nim. – To dobrze, prawda?

– Dobrze. – Macham rękami, żeby dali spokój. – Tak, tak, dobrze.

Wszyscy w milczeniu jeszcze raz przebiegamy artykuł wzrokiem. Ja już po raz czwarty.

– Przeciek musiał wyjść od kogoś w terenie, z miejscowej policji – mówi Denny. – Ktokolwiek to puścił, nie za bardzo orientuje się w tym, co robimy.

Może i racja... czytam dalej... wnioski z lokalnie przeprowadzonych sekcji... podważyła ekspertyza patologa FBI... inne miejsca zbrodni nie są znane dziennikarzom, ale

podobno dotyczy to różnych części kraju... ogólne dane i statystyki dotyczące pożarów domów mieszkalnych w Stanach i znane przypadki podpaleń... a na koniec mocne uderzenie: „To jeden z najgenialniejszych morderców, z jakimi miałem do czynienia”, twierdzi jedno ze źródeł.

Wyczerpani psychicznie, uspokajamy się nieco i przez chwilę nic nie mówimy. Books jak zwykle przerywa milczenie, odchrząkując.

– No i? – pyta ze wzruszeniem ramion. – Co teraz zrobi nasz obiekt?

Rozdział 76

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 19
24 września 2012

Nie, nie, nie. To nie może dziać się naprawdę. Nie teraz. Nie teraz!

Nie rozumiem. Jak to się mogło stać? Jak mogli to rozgryźć? Przecież wszystkiego dopilnowałem! Nawet tak powiedzieli: „genialny zbrodniarz, któremu wielokrotnie udawało się zmylić ekspertów i detektywów”. Oczywiście. Działalem perfekcyjnie. A jednak ten geniusz najwyraźniej okazał się nie aż tak genialny, co?

Ta głupia dziewczyna. Och, ta głupia, głupia dziewczuszka, Emmy Dockery. „Katalizator” tego śledztwa, jak napisali.

Nie powinienem się dziwić. Marta mówiła mi, że nigdy nie dajesz za wygraną, Emmy, że jesteś inteligentna i oddana swojej pracy. A ja kozakowałem. „Kto by się przejmował tym, że jej siostra pracuje w FBI? – powiedziałem sobie. – Przecież i tak nikt niczego nie odkryje”.

I co ja mam teraz robić? Zabrać swoje zabawki i pójść do domu? Uznać to za fajną przygodę i żyć dalej? O to im właśnie chodziło. Pozwolili na przeciek, żebym to zobaczył. Nie chwytnie, w czym rzecz? Nie ma tu żadnych szczegółów. Nie wiedzą, co robię ani jak, ani dlaczego. Gdyby wiedzieli, nie dopuściliby, żeby to trafiło do prasy. Nie, jakimś cudem odkryli, co zrobiłem, ale nie mają pojęcia, kim jestem ani gdzie przebywam. Jestem dla nich tak samo niewidzialny jak do tej pory. Dlatego chcą mnie wystraszyć. Tak, oczywiście... chcą dać mi do zrozumienia, że już deptają mi po piętach. Żebym się bał. Ale ja wiem, że wcale nie są blisko. Nie... jasne, że nie, nie mogliby być. Na pewno nie są blisko.

Nie, nie, nie. Nie, nie, nie!

Jak oni to wykombinowali? Po prostu nie pojmuję. Byłem taki ostrożny. Taki skrupulatny.

Sądźcie, że możecie mnie powstrzymać? O to chodzi? Sądźcie, że ten sfabrykowany ogólnikowy artykuł w głupiej gazetce mnie zniechęci? Myślicie, że nie wiem, że specjalnie puszczacie takie historie, by wystraszyć podejrzanych? Możecie sobie skierować nawet stu agentów do tej sprawy, a i tak nigdy mnie nie znajdziecie. Możecie mnie wsadzić do autobusu pełnego agentów FBI, a oni mnie nie poznają. Bo nie dorośliście do mojej ligi... chyba sami to rozumiecie, co?

Zaraz, jak brzmi ta złota myśl? „Nie ma tęczy bez burzy, diamentu bez tarcia”? Sprawicie tylko, że będę jeszcze lepszy. Tak, racja, odzywa się we mnie dawny Graham. Może potrzebne mi było nowe wyzwanie. Może to będzie drugi rozdział mojej historii. W pierwszym podróżowałem po kraju, praktycznie bezkarnie, gdy FBI spało sobie w słodkiej nieświadomości. W nowym rozdziale FBI się budzi, ale będzie gonić własny ogon. Tak, zamierzam to podkreślić jeszcze bardziej, tak właśnie zrobię. Podkrecę sprawę, i to tuż pod ich nosem, by pokazać im, jacy są bezsilni.

Ale jak... jak oni na to wpadli? Nie mogę wprost uwierzyć. Naprawdę niewiarygodne. Niech mi to ktoś wyjaśni.

Zresztą nieważne. To bez znaczenia. Właściwie cieszę się, że tak się stało, bo to już robiło się zbyt łatwe. Teraz znów nabrałem na to ochoty. Ten tydzień przyniesie mnóstwo frajdy. Mam zamiar wykonać numer specjalny.

Sądźcie, że możecie mnie wystraszyć? Patrzcie, co się stanie w tym tygodniu, a sami zobaczycie, jak bardzo się boję.

(koniec)

Rozdział 77

Books zamyka oczy i krzywi się, a ten palant Dick kończy swoją tyradę lecącą przez głośnik:

– ...zamiast więc skupić się na tropieniu zabójcy, marnujemy czas, żeby odpowiadać na pytania mediów.

No, tyle że to właśnie Dickinson się tym zajmuje, a nie my w Chicago. I prawdę mówiąc, dotychczas niewiele wniósł do naszego śledztwa, chociaż przypisywał sobie całą zasługę.

– I co teraz? – pyta.

Patrzę na Booksa. Siedzi zrezygnowany i kiwa do mnie głową, żebym odpowiedziała. Już samo przenoszenie wzroku z jednej strony pokoju na drugi powoduje, że mam błyski przed oczami.

– Ten tydzień jest czwarty w sezonie NFL – mówię. – Z ośmiu stadionów, które nasz obiekt może odwiedzić poza Środkowym Zachodem, w tym tygodniu tylko trzy planują rozgrywki z udziałem gospodarzy: w Detroit, Filadelfii i Dallas. W Dallas mecz odbędzie w poniedziałek, więc on tam nie pojedzie. W poniedziałki nie chodzi na mecze.

– Nie chodzi? Tak dobrze go znasz? To może wyjaśnisz, czemu w tym tygodniu zrobił sobie wolne?

Odpowiadam rzeczowo, nie zwracając uwagi na jego sarkazm.

– Jeszcze nigdy nie pojechał na rozgrywki w poniedziałek. To nie pasuje do jego sposobu działania. Dlatego wybierze się albo do Detroit, albo do Filadelfii.

– A konkretnie gdzie?

– Do Filadelfii – mówię.

Books, zaskoczony, patrzy na mnie pytająco.

– Nasz obiekt lubi rozrzut geograficzny – wyjaśniam. – Nigdy nie wraca zbyt szybko w te same okolice. Dlatego jeździł na różne stadiony na Florydzie, na przykład w Miami, Jacksonville czy Tampa Bay, w dłuższych odstępach czasu. Podobnie kiedy

wybierał się na stadiony Buffalo Billsów, New York Jetsów i New York Giantsów, wszystkie w obszarze metropolitalnym Nowy Jork. Zawsze uważa, żeby nie pojawiać się za często w jednym rejonie. Próbuje uniknąć ryzyka, że ktoś odkryje w tym jakiś schemat.

– Nadal nie wyjaśniłaś, dlaczego uważasz, że pojedzie w ten weekend do Filadelfii – wtrąca Dickinson.

– Bo w Pensylwanii są dwa stadiony, Steelersów i Eaglesów – odpowiadam. – A on jeszcze na żadnym z nich nie był. Ma tylko osiem tygodni, by dokończyć swoją trasę po stadionach, a dwa razy musi wybrać się do Pensylwanii. Gdybym chciała zrobić przerwę pomiędzy dwiema wyprawami do tego stanu, w tym tygodniu pojechałabym do Filadelfii, a do Pittsburgha pod koniec całej trasy.

Urywam i zapada chwila milczenia.

– Dla mnie to logiczne – odzywa się w końcu Books.

– Biorąc pod uwagę twoje wcześniejsze osiągnięcia, Emmy, nie byłbym tak pewny – rzuca drwiąco Dickinson.

Books chce zaprotestować w moim imieniu, ale macham ręką, żeby dał spokój. Niech Dickinson ma tę satysfakcję. Niepotrzebne mi jego pochwały. Nie potrzebuję ich od nikogo.

Marta zawsze twierdziła, że jestem wojowniczo niezależna, że celowo odcinam się od bliskich. „Nasza silna, niezależna Emmy – mawiała, jak zwykle z tą mieszaniną przygany i miłości. – Wiecznie próbujesz udowodnić, że dasz sobie radę sama”.

– Pytanie – wtrąca Books – czy nasz obiekt czytał ten artykuł w „Tribune”, a jeśli tak, to jak to na niego wpłynęło.

– Na to też ma pani odpowiedź, panno Dockery?

Nie mam. W każdym razie nic, co wynikałoby z danych, na których zwykle opieram swoje opinie. Ale mam przeczucie.

– To go zmotywuje – mówię. – Musi sobie udowodnić, że nie pozwoli się zastraszyć FBI.

Books głęboko wzdycha i wznosi oczy do nieba. Wyraźnie się martwi.

– Teraz będzie jeszcze gorzej – dodaję.

Rozdział 78

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 20
27 września 2012

No dobrze, świetnie, chciałbym tylko, żeby wszyscy rozumieli, że nie musiało tak być. A kto wie? Może by i nie było. Teraz nigdy się już tego nie dowiemy, prawda? Nie. Nie dowiemy się.

Ale spotkanie z Mary... poznanie jej...

(Uwaga spisującego: 11 sekund przerwy).

...mnie odmieniło. Albo mogło mnie odmienić. Gdybyście tylko dali mi szansę to sprawdzić.

Ale nie. Nie, uparliście się, żeby właśnie teraz odkryć, co robiłem. Nie rok temu czy nawet sześć miesięcy temu, ale teraz: poczekaliście, aż spotkam tę idealną kobietę, i dopiero was olśniło. Domyśliliście się, co robiłem, i paplacie o tym prasie, przewracając mi życie do góry nogami.

No to... ujmę to następująco: chciałbym wyrazić swoje niezadowolenie. Już ja wam pokażę, co się dzieje, kiedy wtrącacie się w moje sprawy.

Pan sympatyczny już zniknął.

(koniec)

Rozdział 79

– To chyba nie to – mówię do telefonu, chodząc po swoim gabinecie.

Wędruję wzrokiem do zegara na ścianie, który pokazuje, że zbliża się północ. Jest jeszcze czwartek.

Oficer Glen Hall odpowiada zdyszany:

– Ja tylko melduję, jak mi kazano. Miałem bezzwłocznie zgłaszać każdy przypadek pożaru domu mieszkalnego. A dyżurni przełączyli mnie do pani.

– Tak, rozumiem. Dobrze pan zrobił.

Oficer Hall wypełnił polecenie. Objęliśmy nadzorem dwa prawdopodobne rejony, gdzie w tym tygodniu mógł zaatakować nasz obiekt: Detroit i Filadelfię. Prosiłmy o natychmiastowy kontakt w razie pożaru domu mieszkalnego. Więc on od razu zgłosił ten pożar.

Byłam pewna, że nasz obiekt wybierze sobie teraz Filadelfię. Tymczasem oficer Glen Hall pracuje w wydziale policji w Allen Park, w stanie Michigan – na przedmieściach Detroit.

Ściskam palcami grzbiet nosa.

– Ile, mówi pan, jest ofiar?

– Proszę pani, są... są...

Głos się rwie. Nie wiem, czy to sprawa zakłóceń na łączach, czy raczej emocji.

– Jest sześć ciał.

– Czy zostały znalezione w jednej sypialni? – pytam.

– Tak... zga...dza się.

– Przepraszam, że proszę o coś takiego, ale czy mógłby pan opisać położenie tych ciał?

– Ja... wygląda na... na to... – Słyszę, jak bierze głęboki wdech, żeby się opanować. – Leżą obok siebie jak w kostnicy.

To on. Bez wątpienia.

– Dostałem twojego esemesa. – Do mojego pokoju wpada Books. – To on? Sześć osób zabitych?

Ze spuszczoneymi oczami kiwam głową.

– Sześć osób? On nigdy tego nie robił, Emmy.

– To on – potwierdzam.

Kiedy nie słyszę odpowiedzi, unoszę wzrok i patrzę mu w oczy.

– To on.

Books bierze komórkę.

– Tu Bookman – mówi. – Zbierzcie zespół szybkiego reagowania. Lecimy do Detroit.

Rozdział 80

Półtorej godziny po odebraniu telefonu z Allen Park jestem w małym, dziesięciomiejscowym samolocie, z Booksem i szóstką członków zespołu szybkiego reagowania. Books rozmawia przez telefon z agentem specjalnym, szefem naszego oddziału w Detroit. Wydaje mu szybkie polecenia. Wyglądam przez okno i mam gonitwę myśli, kiedy mężczyzna siedzący naprzeciw mnie, któremu przed chwilą zostałam przedstawiona, ale którego nazwisko już uleciało mi z głowy, nagle zadaje mi pytanie:

– Więc jeśli chodzi o wybór ofiar, nie ma tu żadnej prawidłowości?

– Nie ma – mówię. – Mężczyźni, kobiety. Biali, czarni, Latynosi, Azjaci. Żadnych dzieci, ale poza tym osoby w różnym wieku, od dwudziestu do siedemdziesięciu siedmiu lat. Wszystkie środowiska socjoekonomiczne. Księgowy, prawnik, lekarz, sprzedawca butów, woźny i pracownik sklepu spożywczego. Łączy ich tylko to, że mieszkali samotnie.

– Nic poza tym?

Kręcę głową.

– Nic, co byśmy zauważyli. A próbowaliśmy z każdej strony. Badaliśmy, z jakich miast pochodzą, gdzie się uczyli, do jakich klubów należeli, jaką wyznawali religię, z których mediów społecznościowych korzystali, wszystko. Nie. – Wzdycham. – To po prostu zwyczajni ludzie, nic specjalnego ich nie wyróżnia.

Books odkłada telefon i patrzy na mnie.

– Dzisiejsze ofiary to same kobiety – mówi. – Sześć kobiet. Cztery zidentyfikowano. Teraz pracują nad ustaleniem tożsamości pozostałych dwóch. Jak na razie wiadomo, że obcięto im ręce i nogi oraz że miały rany kłute, a możliwe, że i postrzałowe, ale to będzie pewne dopiero po sekcji.

– To inaczej niż w jego zwykłym modus operandi, prawda? – odzywa się jeden z agentów.

– Inaczej – przyznaję. – Sześć ofiar naraz to coś nowego. Metoda zabijania też się różni. I nie było jeszcze tego, że można tyle odkryć na miejscu zbrodni, że ogień nie całkiem zniszczył ślady. Wszystko jest inaczej.

– Już nie działa tak metodycznie – mówi Books. – Puszczają mu nerwy.

– Dawna dyscyplina nie jest mu już potrzebna – zauważam. – Bo teraz zdaje sobie sprawę, że my wiemy, co on robi. Nie musi ukrywać metod zabijania, stwarzać pozorów, żeby wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek. Dobrze rozumie, że już tego nie kupimy. Tak szczerze mówiąc, zastanawiam się, po co w ogóle zawracał sobie głowę podkładaniem ognia.

– Chce mieć pewność, że będziemy wiedzieli, że to on. – Books przez moment zastanawia się nad tym, po czym kiwa głową. – Wysłała nam wiadomość. Oznajmia, że nie boi się FBI. Tak naprawdę jeszcze nic nie widzieliście.

Na samą tę myśl przebiega mnie dreszcz, tak jakbym nie obawiała się tego od pierwszej chwili, kiedy prasa wywęszyła tę historię i ją opublikowała.

– Teraz popełni jakiś błąd – wtrąca inny agent. – Jeśli będzie tak szarżował, coś mu nie wyjdzie.

Możliwe. W tym to oni są znawcami, nie ja. Ale nie jestem przekonana, czy mają rację. I nie wiem, czy teraz mnie to w ogóle obchodzi. Teraz chcę tylko jednego.

Żeby nasz obiekt pojawił się na meczu Vikingsów z Lionsami w tę niedzielę.

Rozdział 81

Books chodzi w tę i z powrotem po przedniej części luksusowej łązy z północnej strony Ford Field, gdzie ulokowaliśmy Centrum Dowodzenia. Energiczny, skupiony, jest w swoim żywiole, sprawdza, czy wszyscy z naszej grupy – przedstawiciele stanowych, lokalnych i federalnych organów ścigania – są przygotowani jak należy. Jest tu około stu pięćdziesięciu osób, mężczyźni i kobiety, wszyscy po cywilnemu – tajniacy wyglądają jak zwyczajni kibice. To Books, jakiego kiedyś poznałam, niezawodny detektyw Joe Friday, którego trudno byłoby sobie wyobrazić w roli prywatnej, poza pracą, facet, którego zdaje się nie obchodzić nic poza tym, by złapać złoczyńcę, wykonać swoje zadanie.

– No dobrze, uciszcie się wszyscy, proszę – mówi i w kilka sekund w eleganckiej łązy dla VIP-ów zapada całkowite milczenie. – To może być nasza najlepsza szansa na złapanie najgorszego seryjnego mordercy, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia, ważne więc, byśmy pamiętali o podstawowych sprawach. – Nerwowo nabiera powietrza. – Wejdzie tu dziś sześćdziesiąt tysięcy ludzi, a wśród nich nasz obiekt. Jeśli będziecie wyglądać na agentów FBI, on was zauważy. Jeśli będziecie wyglądać jak gliniarze po cywilnemu, on was zauważy. Jeśli będzie widać, że za kimś się rozglądacie, on was zauważy. Jest bystry, spostrzegawczy i niebywale ostrożny. Nie wolno wam dać się zauważyć.

Books ścisza głos, a zebrani w napięciu słuchają każdego jego słowa.

– I dlatego będziemy robić wszystko trochę inaczej. Chcemy, żeby wszedł na stadion. A kiedy już tu się znajdzie, nie chcemy, żeby wyszedł. Jeśli będziemy musieli zatrzymać wszystkich białych mężczyzn koło trzydziestki, czterdziestki, możliwe, że z dość wydatnym brzuchem, choć niekoniecznie, może łysych, a może nie... więc jeśli wszystkich takich mężczyzn trzeba

będzie zatrzymać przy wyjściu ze stadionu, to tak zrobimy. Najpierw jednak musicie go tu wpuścić. Waszym zadaniem dziś jest rozpoznawanie ewentualnych podejrzanych, kiedy już wejdą na stadion, i telefoniczne powiadamianie nas o tym tu w Centrum Dowodzenia. Nie zatrzymujcie nikogo bez naszej dyspozycji. Nie będziecie mieć słuchawek w uszach, nie będziecie używać radiotelefonu. Będziecie dzwonić pod numer zapisany w waszych komórkach i udawać, że pytacie żonę czy męża, dlaczego tak długo nie wraca z toalety. Zrobicie, co w waszej mocy, by wyglądać tak, jakbyście naprawdę przyszli tu patrzeć, jak Lionsi dają wycisk Vikingsom.

– I oby to się spełniło, amen – szepcze młody oficer z tutejszej policji, ubrany w jaskrawoniebieską koszulkę Lionsów.

Może i to miasto toczy gangrena, a my możemy sobie polować na najbardziej przebiegłego seryjnego zabójcę w historii świata, ale jak się domyślam, futbol to futbol.

– Grupa, która zostanie tutaj, w Centrum Dowodzenia, będzie obserwowana na monitorach wszystko, co chodzi, czołga się lub lata w promieniu kilometra od stadionu. Na nasze szczęście, przed meczem finałowym o mistrzostwo w dwa tysiące szóstym roku zainstalowano tu kompleksowy bezprzewodowy system kamer, by kontrolować ruchy tłumu, wejścia, wyjścia i tereny przyległe. I niech Bóg błogosławi Detroit, bo to wszystko nadal działa. Podacie nam przez telefon lokalizację i opis, a my kamerą namierzemy wskazanego przez was człowieka. I wtedy podejmiemy decyzję, co robić dalej. Nie chcemy wystraszyć tego gościa, zanim będziemy gotowi go złapać.

Books oddaje głos sierżantowi z sił lokalnych, odpowiedzialnemu za przydzielanie zadań poszczególnym osobom, a sam dołącza do Sophie, Denny’ego i mnie, stojących pod boczną ścianą. Kelnerzy przynoszą catering i rozstawiają przy niej podgrzewane pojemniki z jedzeniem. Unoszę brew, a Books posyła mi niewesoły uśmiešek.

– Musi tu wyglądać jak w każdej innej vipowskiej łoży. Jesteśmy po północnej stronie i z wszystkich łóż po stronie południowej będzie można nas zobaczyć. Trzeba zachować pozory.

– Fajnie, że twoje pozory najwyraźniej obejmują kanapki z wołowiną – szepczę.

Słyszę, jak wywołują nasze nazwiska.

– Agent Bookman, Centrum Dowodzenia. Sophie Talamas, Centrum Dowodzenia. Denny Sasser, prowadzisz zespół polujący na bilety od wschodniej strony. Emmy Dockery, wejście A...

– Wejście A? – pytam Booksa. – Posyłasz mnie do wejścia A? Równie dobrze jak ja wiesz, że on nie wybierze wejścia A.

Ze względu na stadion baseballowy Comerica Park tuż za Brush Street, od zachodu, i budynek 36 District Court za Beacon Street, na południowym wschodzie, jest tam dość kamer, by pokazać nam, co lokalna populacja mrówek jadła na lunch. On wybierze jedno z wejść od strony północnej: B, C, D, E albo F. Z tamtejszych bramek łatwiej dotrzeć do parkingów, a w pobliżu jest mniej wyższych domów, skąd można byłoby prowadzić obserwację.

Books cierpliwie mruga oczami.

– Naprawdę? – szepcze. – No to przynajmniej nie rozpoznasz cię z tamtego zdjęcia w „Tribune”, kiedy będziesz stała przy wejściu A, prawda?

Ma absolutną rację. Nie znoszę, kiedy ma absolutną rację.

Przydział zadań skończony. Books idzie naprzód i rozgląda się po grupie. Mężczyźni i kobiety podskakują w miejscu, rozciągają się, potrząsają rękami i nogami, żeby się rozluźnić. Tak jakbyśmy to my sami mieli rozegrać mecz.

– Większość kibiców nie chodzi na mecze w pojedynkę – mówi. – Więc pod tym względem powinien się wyróżniać. Ale jest sprytny. Pewnie będzie próbował wejść z jakąś rodziną lub grupą ludzi, przyklei się do nich. Możliwe, że nawiąże z nimi rozmowę i będzie wyglądało na to, że jest z nimi. Ale w pewnym momencie się od nich odłączy. Nie mogę wam tego wszystkiego rozpisać we wskazówkach. Mogę wam tylko powiedzieć, żebyście mieli oko na to, o czym mówię, ale nie dawali po sobie poznać, że macie oko na cokolwiek. Nic prostszego, prawda?

Trochę stłumionych śmiechów. Cały Books. Rozumie, jak trudne jest ich zadanie. Stara się tworzyć zgrany zespół.

A potem przypomina im, jakie to ważne. Jeszcze jeden, ostatni raz.

– Ten mężczyzna skalpował, oblewał wrzątkiem i metodycznie okaleczał ludzi. Siedemdziesiąt lub nawet więcej

osób w zeszłym roku. Dopuszczał się tortur, których nie powstydziliby się najgorsi zbrodniarze nazistowscy. W czwartek wieczorem zarżnął sześć kobiet w Allen Park. W piątek zamordował matkę z trójką dzieci, a potem je podpalił. Jest najzręczniejszym seryjnym zabójcą, z jakim miałem do czynienia, a teraz jeszcze bardziej się rozkręca. Naprawdę staje się coraz bardziej okrutny.

Books rozgląda się po zebranych.

– Ten człowiek to potwór. I dzisiaj będzie nasz, żywy lub martwy.

Rozdział 82

– Emmy, zrobisz dziurę w ziemi, jak będziesz tak chodziła w tę i z powrotem – mówi Books, kiedy odbieram telefon. – I już trudno bardziej nie wyglądać na kogoś, kto naprawdę idzie na mecz. Stań spokojnie, ze znudzoną miną, jakbyś czekała na chłopaka, który ma przyjść z biletami.

– Trudno mi coś takiego udawać – odparowuję. – Nigdy nie miałam chłopaka, który zabierałby mnie na mecze futbolowe.

– Przepadło. Nigdy nie wykazywałaś najmniejszego zainteresowania futbolem.

Sporo w tym prawdy.

– Co tam u koników, mają coś? – pytam po raz setny.

Uznaliśmy, że nasz obiekt posługuje się wyłącznie gotówką. Nie zapłaciliby za bilet kartą. Woli kupić go pod stadionem, tuż przed meczem.

– Mamy pewne tropy – odpowiada wymijająco Books, czym niezłe mnie wkurza. – Skup się na swoim zadaniu.

– Dziękuję za świetną radę.

Oczywiście, ma rację. Jestem zdenerwowana i pewnie to widać. Books też się denerwuje. Zresztą jak wszyscy. I radzimy sobie z tym jak to zwykle gliniarze i agenci – dowcipkując i dogryzając sobie nawzajem.

Bramki otworzyły się na dwie godziny przed początkiem meczu. I widziałam już pewnie z piętnaście tysięcy brzuchatych białych mężczyzn z różnymi odcieniami niebieskiego na koszulkach, spodniach, twarzach i innych częściach ciała. Nie zauważyłam jednak żadnych samotnych – każdy facet zdaje się wchodzić na stadion w towarzystwie co najmniej jednej osoby.

Kończę rozmowę. Spoglądam na zegarek i kręcę głową, jakbym się złościła, odgrywam rolę dziewczyny czekającej na swojego chłopaka. Dlaczego tkwię tutaj, podczas gdy Sophie jest na górze, w Centrum Dowodzenia? Oczywiście znam odpowiedź. Otóż Sophie wyspecjalizowała się w wykorzystywaniu sieci

skomplikowanych technologii do prowadzenia obserwacji. To dlatego ona jest tam, w luksusowej łoży, a ja muszę znosić obmacywanie żałośnie niedoszkołonego strażnika, by wejść na stadion. Żadnych uprzejmości, typu przepuszczenie machnięciem dłoni, dla stróża prawa. Musimy zachować pozory. Choć potrafiłabym wskazać około dwudziestu miejsc na swoim ciele, gdzie mogłabym mieć ukryte niedozwolone przedmioty, a ochrona stadionu by tego nie zauważyła.

Przebijam się przez kontrolę, celowo nie zwracając uwagi na innych pięciu agentów, którzy robią to samo. Dla niepoznaki wielu tajniaków wchodzi parami, ale musimy się też maksymalnie rozproszyć po trybunach.

Nigdy nie sądziłam, że mogłabym określić wewnątrz stadionu jako „piękne”. Ale to właśnie takie jest. Przynajmniej z tej strony, od której wchodzi. Szkło, stal, cegła, otwarte atrium. Pełne powietrza i zalane naturalnym światłem wygląda bardziej na centrum handlowe niż stadion. Zbudowano go wokół starego domu towarowego i architektura miejsca została zachowana, włącznie ze starą, wyłożoną kocimi łbami uliczką. Mam wrażenie, że miejscowi są z tego dość dumni, i wcale im się nie dziwię. Mnóstwo tu jednak balkonów, z których nasz obiekt może obserwować, jak wchodzimy.

A nie wszystkim z nas udaje się... nie zwracać na siebie uwagi. Piorunuję wzrokiem krótko ostrzyżonego mężczyznę w średnim wieku. Stoi w wejściu do sklepiku z gadżetami drużyny, poświęcając więcej czasu na rozglądanie się po tłumie niż koszulce dla maluszka, którą ściska w dłoni. Równie dobrze mógłby mieć napisane na czole: „Ja tylko udaję, że jestem na zakupach. Tak naprawdę jestem gliniarzem”.

Ruszam przez halę Adams Street w kierunku swojego miejsca. Jest z przodu, w sektorze 112. Boisko znajduje się dobrze poniżej poziomu ulicy. Pewnie nie chcieli budować zbyt wysokiego stadionu, by nie zasłaniać linii horyzontu. Kiedy mijam bramki z kutego żelaza, dzielące halę od boiska, widzę, że cały przedni sektor trybun jest w dole.

To robi ogromne wrażenie. Ten hałas, ta masa ludzi... wszystko. Nigdy go tu nie znajdziemy. Jest ich za dużo, a nas za mało.

Weź się w garść, Emmy.

Popatruję na tłum w sektorze, idąc wolno w kierunku swojego miejsca. Dzwonię do Booksa.

– Cześć, kochanie! – mówię wesoło. – Ale tu dzisiaj tłumy. Szkoda, że cię nie ma. Ale cieszę się, że przynajmniej uda ci się obejrzeć ten mecz w telewizji!

– Ładnie, Emmy – słyszę po drugiej stronie głos Sophie. – Masz coś?

– Sektor sto jedenaście, rząd dziewiąty, miejsce trzy lub cztery. Sektor sto trzysta, rząd dwudziesty szósty pośrodku i rząd trzydziesty, miejsce piąte, może szóste. I sektor sto dwanaście, rząd osiemnasty lub dziewiętnasty, nie jestem pewna, pośrodku. Wszyscy albo łysi, albo z zakrytymi głowami i częściowo twarzami. Do połowy meczu będę miała kolejnych kilkunastu. Jestem pewna.

Siadam, by przynajmniej udawać, że oglądam mecz. Vikingsi zaczynają od wykopu i tracą przyłożenie. Zajebisty początek, Detroit.

Rozdział 83

Kiedy zaczyna się czwarta kwarta, Detroit przegrywa dwadzieścia do sześciu. Mam kompletnie w nosie wynik tej imprezy, w której dorośli mężczyźni w kolorowych strojach gladiatorów próbują przenieść skórzaną piłkę za wyznaczoną linię, ale bardzo się denerwuję, bo niedługo wszystko się rozstrzygnie. Jeśli przewaga gości będzie, jak to mówi Books, „miażdżąca”, kibice mogą już zacząć opuszczać stadion i musimy być gotowi na wyjście naszego obiektu nieco wcześniej, niż to było planowane.

Czy dwadzieścia do sześciu to miażdżąca przewaga? Naprawdę nie wiem, ale wiem, od moich gadatliwych przyjaciół w sektorze 112, że potrzebne są dwa przyłożenia, i musiałam kiwnąć głową, jakbym wiedziała, o co chodzi. Przez cały czas tak robiłam. Udawałam złość, kiedy przeciwnik przejął piłkę na początku drugiej połowy, razem z innymi kłęłam na niekompetencję koordynatora, z zadowoleniem kiwałam głową, kiedy obrona Lionsów „wreszcie się obudziła”. I musiałam raz po raz stwarzać pozory, że dzwonię do mamy/siostry/brata/męża/chłopaka/ciotki, ilekroć dostrzegałam jakiegoś prawdopodobnie łysego faceta o dość wąskim nosie i spadzistych ramionach.

Books i jego drużyna pewnie przyjrzeni się już dokładnie prawie wszystkim mężczyznom na stadionie. Jeden z miejscowych chłopaków zgłosił nawet jako podejrzanego Denny’ego Sassera, kiedy ten pojawił się na trybunach.

– Tęsknię za swoją pracą analityczki – mówię do swojego „brata” przez telefon i ponownie idę do hali przy Adams Street. – Nie jestem stworzona do prowadzenia inwigilacji.

– Przyjęłam – mówi Sophie. – Może sprawdzisz przenośne stoiska w hali? Jest kilka niemonitorowanych miejsc, gdzie sprzedają parasole.

– Dobra.

Czuję przypływ adrenaliny, w miarę jak zbliżamy się do końca meczu. Po prostu wiem, że on tu jest. Czuję to.

Zaczynam krążyć po hali, popatrując na ludzi, tak jak robiliśmy to z Martą latem w centrach handlowych. Trochę ludzi wychodzi, ale fani Lionsów nie odpuszczają tak łatwo. Będą kibicować swojej drużynie do ostatniego tchu – tę mądrość też zawdzięczam sektorowi 112. Nawet tu doskonale słychać, co dzieje się na boisku, bo hala z dwóch stron jest na nie otwarta. Widzę nasze grupy obstawiające bramki przy wyjściach. Szykujemy się do przeczesania tłumu opuszczającego stadion. To nasza ostatnia deska ratunku. Żołądek mi się skręca. Nie ma mowy, żeby on dał się złapać na szyty tak grubymi nićmi numer. Jest zbyt skrupulatny. Zbyt dumny. Za sprytny.

Opieram się o ścianę przy schodach ruchomych prowadzących na piętro, obserwując mijających mnie ludzi. Moje palce i dłonie stukają nerwowo o metalową powierzchnię w rytm muzyki, która dobiega ze stadionu. Jeśli mogę cokolwiek powiedzieć na temat tego meczu, to tyle, że Detroit na pewno gra dobrą muzykę. Ojczyzna wytwórni Motown Records jest dumna ze swojego dziedzictwa. Dali popis stworzonych przez siebie idoli, Kida Rocka i Eminema, a kiedy znów ruszam przez atrium w kierunku swojego miejsca, Aretha Franklin zaczyna domagać się, by okazać jej R-E-S-P-E-K-T.

Idąc, zaczynam czuć coś dziwnego, jakiś brak, po swojej prawej stronie. Może to odzywa się coś, co agenci terenowi nazywają „szóstym zmysłem”. To mnie okropnie peszy. Stadion mam po lewej, a zadaszenie nad schodami w dolnej części stadionu sprawia, że strona prawa wydaje się nieproporcjonalnie wysoka. Nie widzę nic niezwykłego między restauracjami i sklepami, ale czuję jakiś bezruch w miejscu, gdzie wszystko i wszyscy są w ruchu.

Zatrzymuję się i patrzę na niewielką grupę ludzi. Nie ma tam nikogo, kto przypominałby nasz obiekt, ale to dziwne uczucie nie mija. Przeciwnie. Narasta. Wydaje mi się, że śpiew Arethy dobiega teraz z większego oddalenia, jakby nagle wyrosła wokół mnie ściana tłumiąca dźwięki.

*Oooh, your kisses (oooh)
Sweeter than honey...*

Serce wali mi jak szalone, dłonie stają się mokre i lepkie. Nie
umiem tego wyjaśnić... Ale po prostu wiem...

Obracam się gwałtownie.

I jakieś dwadzieścia metrów za sobą dostrzegam nieruchomą
sylwetkę mężczyzny. Wpatruje się we mnie.

Rozdział 84

Bujne włosy. Bujna broda. Na głowie czapka Lionsów. Okulary w rogowych oprawkach. Postawiony kołnierz kurtki. Przebranie. I choć nie mogę dokładnie zobaczyć jego oczu, wiem, że nie spuszcza ze mnie wzroku.

Mrugam dwa razy, zaskoczona, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. Facet jest widoczny do połowy, stoi przodem do mnie. Pomiedzy nami przechodzą ludzie – kibice, którzy idą do toalet i różnych stoisk, i z powrotem na trybuny – i go zasłaniają, ale za każdym razem, kiedy znów go widzę, on nadal stoi bez ruchu i patrzy wprost na mnie.

To on.

Jakaś kobieta niechcący potrąca go w ramię. Drgnął, ale nie odrywa ode mnie wzroku.

Przechyla lekko głowę, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć.

Przez chwilę brakuje mi tchu, stoję jak skamieniała, jak sparaliżowana. Ale chcę, żeby mnie widział. Chcę powiedzieć: „Jestem, znalazłam cię”.

Czas jakby się zatrzymał. Serce bije mi mocno. Słyszę niski głos Arethy. Krzyki kibiców to przybierają na sile, to cichną, kiedy my tak patrzymy na siebie.

Dwie sekundy? Dziesięć? Nie wiem, ile to trwa, aż w końcu przypominam sobie, po co ciągle mam w dłoni telefon – żeby nie musieć go szukać w kieszeni, gdyby nadszedł ten moment.

I nadszedł. Serce podchodzi mi do gardła, spoglądam na komórkę, mój kciuk zatrzymuje się nad przyciskiem natychmiastowego kontaktu z Centrum Dowodzenia.

Jednak zamiast dotknąć ekranu, podnoszę wzrok na nasz obiekt. Nieprzeniknioną minę pokerzysty zastępuje teraz jakiś dziwny grymas, jakby uśmiech politowania.

A w jego dłoni jest teraz małe czarne urządzenie, pewnie telefon. Ale po co mu komórka właśnie...

I nagle eksplozja. Huk tak przeraźliwy, że ledwie dostrzegam coś, co odbija się rykoszetem od mojej twarzy, kalecząc ją tak gwałtownie, że w szoku krzyczę, ale nie słyszę własnego głosu. I nagle posadzka unosi się i uderza mnie w policzek.

W chwilowym zamroczeniu zupełnie nie rozumiem, co się dzieje – skąd ta lepka posadzka i widok mojej krwi, skąd migające światła alarmowe – i chociaż nic nie słyszę, czuję to, czuję to, leżąc na ziemi, tę nagłą zmianę wibracji stadionu, na którym jest teraz jeden wielki tupot, dziki popłoch...

Unoszę głowę w kierunku człowieka, którego tropiłam od ponad roku, ale zamiast niego widzę scenę jak z filmowego horroru. Niemy, straszliwy obraz masy uciekających w panice ludzi, którzy przepychają się jeden przez drugiego wąskim przejściem na bardziej otwartą przestrzeń, skąd biegną w kierunku wyjścia. Na czworakach, niczym wylękniony pies, przypadam do słupa przy ścianie i obejmuję go jak ukochanego, kiedy tłum pędzi naprzód, deptając mi po łydkach i kostkach i potykając się o mnie, aż wreszcie wyrywam nogi spod tej fali i zwijam się w kłębek.

Trzymam się z całych sił słupa, kiedy ludzie się pchają i roztrącają nawzajem, rozpaczliwie starając się stąd uciec. Unoszę głowę, walcząc o tlen pośród tego szaleństwa, próbuję zaczerpnąć powietrza i słabnącymi rękami wciąż trzymam się kurczowo mojej kotwicy. Wiem, że jeśli ją puszczę, oni mnie zdeptają.

W głowie upiornie mi dzwoni, brak mi tlenu, walczę z coraz większymi mdłościami i coraz większym przerażeniem. Ile osób tu dzisiaj zginie? Nie wiem. I nie mogę się nad tym teraz zastanawiać. Bo będę jedną z nich, jeśli puszczę się tego słupa.

On zrobił to znowu, myślę. Kolejny raz nam się wymknął. Ukrył się wśród sześćdziesięciu tysięcy ludzi pędzących do wyjścia, w tłumie, który wkrótce wyleje się na ulice przed stadionem. A wszystko przez tę eksplozję, od której chyba pękł mi bębenek w uchu. Jeszcze raz nas przechytrył. Był gotów na spotkanie z nami. No tak, oczywiście. Od samego początku szykował się na nas. Za każdym razem, kiedy sądzimy, że jesteśmy już blisko, okazuje się, że on przewidział nasz ruch i pokrzyżował nam plany.

On nigdy się nie zatrzyma. A my nigdy go nie złapiemy.

Rozdział 85

– Proszę się nie ruszać – mówi ratownik medyczny.

– Nic mi nie jest. To tylko zadrapanie.

– Ma pani wstrząśnienie mózgu i trzeba pani założyć szwy na policzku.

Słońce zaszło, niebo ciemnieje. Minęły cztery godziny od eksplozji. Ratownicy już dawno zabrali najciężej rannych do szpitali. Na parkingu pod stadionem zostało bardzo niewielu cywili. Teraz pełno tu pojazdów służb bezpieczeństwa, FBI i policji stanowej, a także wozów transmisyjnych i krążących w górze helikopterów telewizyjnych wiadomości. Eksplozja w trakcie rozgrywek NFL to nie drobiazg, który da się utrzymać w tajemnicy.

Stwierdzono, że doszło ogółem do ośmiu wybuchów, w odstępach paru sekund, w różnych punktach po południowej stronie stadionu. Jak mi powiedziano, były to właściwie nie bomby, ale raczej bardzo mocne petardy, umiejscowione strategicznie w przepelnionych koszach na śmieci, tak aby zmaksymalizować huk w hali i na trybunach, w tym również przy wejściu A, gdzie stałam.

Kibice na Ford Field, kiedy usłyszeli wybuchy, nie czekali na wyjaśnienia, nie zastanawiali się nad różnicą pomiędzy cudami pirotechniki a bombami terrorystów. Gdy rozległy się huki, jeden po drugim, zaczął się gorączkowy wyścig do bramek wyjściowych, którego nikt, nawet FBI, nie byłby w stanie powstrzymać. A nawet gdyby nasi agenci potrafili to zrobić, przepisy by na to nie pozwoliły. Procedury ewakuacji nakazują otwarcie wszystkich bramek, tak by ludzie mogli jak najprędzej wyjść na zewnątrz. Dlatego musieliśmy po prostu wypuścić wszystkich ze stadionu. Bo przez te kilka pierwszych krytycznych minut wszyscy sądzili, że to atak terrorystyczny.

Books i nasz zespół robili, co w ich mocy, by zapobiec eskalacji chaosu, ale to było nie do opanowania. Ludzie

wskakiwali do samochodów i odjeżdżali, nim nasi zdążyli się obejrzeć.

Books podchodzi do mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Masz szczęście, że nie pękł ci bębenek – mówi, a przecież z początku myślałam, że tak się właśnie stało. – Byłaś tuż przy jednym z kilku koszy, w których zdetonowano M-osiemdziesiątki.

Ostrożnie dotykam gazy na policzku.

– M-co?

– M-osiemdziesiątki – powtarza. – Pierwotnie posługiwało się nimi tylko wojsko. W latach sześćdziesiątych zakazano ich sprzedaży osobom prywatnym, ale ludzie nadal kupują je na czarnym rynku. Cholera, chyba sam je odpalałem jako nastolatek. Głośne jak diabli. Ze czterdzieści, pięćdziesiąt razy mocniejsze od fajerwerków, które można kupić legalnie.

Zeskakuję z tyłu karetki i zajmuje mi chwilę, nim łapię równowagę.

– Jakim cudem wniósł materiały wybuchowe na stadion? – pytam.

– Och, to łatwe, Em. – Pokazuje kciukiem i palcem wskazującym grubość dwóch i pół centymetra. – Każda taka petarda jest mniej więcej tej średnicy i nie ma w sobie metalu.

– A detonator?

– Musiał użyć takiego ze zdalnym sterowaniem. Można go kupić w sklepie z fajerwerkami.

Wspaniale. Po prostu wspaniale.

– On się nas spodziewał – mówię.

Books zaciska wargi.

– Media nic nie wspominały o tym, że kojarzymy jego trasy z rozgrywkami futbolu. Ale on jest bystry. Wiemy to nie od dziś. Więc pewnie zabezpieczył się na wszelki wypadek. Kiedy cię zobaczył, zrozumiał, że musi utorować sobie drogę ucieczki. I odpalił ładunki.

Wzdycham. Jak zwykle, my graliśmy w warcaby, gdy on rozgrywał partię szachów.

– Nikt nie zginął? – pytam, modląc się o to w duchu.

– Nie, na razie nie ma ofiar śmiertelnych. Niektórzy zostali ciężko ranni przez spanikowany tłum napierający na wyjścia. Nigdy nie widziałem takiej masy tak wystraszonych ludzi. –

Ucieka wzrokiem, po czym otrząsa się z tego wspomnienia. – Same wybuchy nie zrobiły nikomu krzywdy, poza tymi, którzy stali, tak jak ty, tuż obok tych koszy na śmieci. Tyle że potem wybuchła panika. Mówili mi, że setki osób mają złamania kości, pęknięte żebra, wszelkiego rodzaju stłuczenia i drobne rany, ale jak na razie nikt nie umarł.

Dzięki Bogu i za to. To pierwsza dobra wiadomość tego dnia.

Books podnosi szkic policyjnego rysownika, który według moich wskazówek sporządził portret naszego obiektu. Gęste ciemne włosy, bujna broda, grube okulary, czapka Lionsów, wojskowa kurtka z postawionym kołnierzem.

– Wyraźne przebranie – mówię. – Ale w sumie wygląda jak on.

– Dobra. Sprawdzimy, czy uda się nam go wyłapać na nagraniach monitoringu przy wejściach na stadion – rzuca. – A potem zobaczymy, gdzie siedział, i może zdołamy coś z tego wydedukować.

– Słusznie, bierzmy się do roboty. Powinnam wziąć w tym udział. Tylko ja go widziałam.

Books przytrzymuje mnie za ramię.

– Musisz jechać do szpitala, Em.

Wyszarpuję rękę z jego uścisku.

– Nic mi nie jest.

– Nie, Emily Jean. Jedziesz do szpitala. Przynajmniej muszą założyć ci szwy. To rozkaz.

Wbijam w niego wzrok – i Books mruga pierwszy. Żadne z nas nie będzie udawało, że on może mi coś rozkazać.

– Harrisonie Bookman, znajdź mi miejsce przed monitorem, i to natychmiast – pryham. – Bo inaczej sam będziesz potrzebował założenia szwów.

Rozdział 86

Dwie godziny później – gdy zapach jedzenia z cateringu wciąż jeszcze unosi się w luksusowej łoży służącej za Centrum Dowodzenia – Books, Sophie, Denny i ja mamy przekrwione oczy i jesteśmy kompletnie wyczerpani.

– No to teraz wiemy przynajmniej, że nie wszedł w takim przebraniu, w jakim go zobaczyłaś. – Books stwierdza to, co oczywiste.

Przeczesałiśmy nagrania z każdej bramki wejściowej i nigdzie go nie odnaleźliśmy. Musiał mieć na sobie coś innego, kiedy swobodnie minął ochronę, by potem zacząć swoją grę.

Books z wściekłością trze czoło, jakby próbował usunąć plamę z atramentu.

– To była nasza największa szansa, żeby dowiedzieć się, gdzie siedział – mówi. – Ale nie jedyna. Musi gdzieś być na ujęciach z innych kamer. Może nam się poszczęści, jak obejrzymy nagrania z trybun.

Kiwam głową, jakbym w to wierzyła, ale nie wierzę. Nasz obiekt pomyślał o wszystkim. Za każdym razem wyprzedza nas o kilometr.

– Kto wie, czy w ogóle wybierze się jeszcze na jakiś mecz tych rozgrywek – rzucam. – Możemy tylko mieć nadzieję, że zrobi to przez zwykłą przekorę, ale nie postawiłabym na to ani centa. Przepadło. – Zrezygnowana odchyłam głowę na oparcie fotela. – Straciliśmy tę okazję.

– No dobrze, dobrze, nie popadajmy w czarnowidztwo – odzywa się Sophie. – Sprawdźmy, jak wyglądają mecze w przyszłym tygodniu, i ułożmy jakiś plan. To piąty tydzień sezonu, prawda? A ty, Emmy, uważasz, że on niedługo wybierze sobie jeden ze stadionów w Pensylwanii, w Pittsburghu lub Filadelfii. No to zobaczmy... – Wyciąga plan rozgrywek. – O, patrzcie! Grają w przyszłym tygodniu. Eaglesi ze Steelersami, niedziela, siódmy października, o pierwszej. Nieźle, co?

Zamykam oczy. Pomimo chwalebnych wysiłków Sophie, by dostrzec światelko w tunelu, ja widzę tylko ciemność.

– On już wie, że rozszyfrowaliśmy związek z NFL – mówię. – Myślisz, że drugi raz wejdzie w zasadzkę?

– Przepraszam, trochę się pogubiłem, co jest z tą Pensylwanią – wtrąca Denny.

W tym śledztwie wszyscy mamy ściśle przydzielone zadania. Denny skupiał się bardziej na pracy w terenie.

– Emmy próbowała rozszyfrować, jak on wybiera kolejne stadiony, na które jeździ – wyjaśnia Books. – Kiedy ma zamiar odwiedzić dwa stadiony położone dość blisko siebie, stara się zrobić kilkutygodniową przerwę przed następnym wypadem w ten sam rejon, żeby nie pojawiać się tam zbyt często. Tak było na Florydzie. Odwiedził Jacksonville, Miami i Tampa Bay w sporych odstępach czasu.

– A jeszcze nie był w Pensylwanii – podchwytuje Denny. – Jasne. A zostało już niewiele tygodni jego trasy objazdowej po stadionach, więc jeśli planuje dwie wyprawy do tego stanu, pierwszą powinien podjąć jak najszybciej. Rozumiem.

Cieszę się, że rozumie. Od razu mi lepiej.

(Mam wstrząśnienie mózgu, więc mogę pozwolić sobie na złośliwości, pod warunkiem że zatrzymam to dla siebie).

– Czy taki stary, emerytowany agent jak ja może coś zasugerować? – dorzuca Denny.

– Dawaj – mówi Books.

– Czy moglibyśmy wziąć pod uwagę, że on nie pojedzie do Pensylwanii?

– Dlaczego nie? – pytam.

– No... czy odpowiedź nie jest oczywista?

– Nie, dla mnie nie jest – burczę zniecierpliwiona.

Mam prawo, w końcu strasznie walnęłam się w głowę.

– A może on mieszka w Pensylwanii – zaczyna nieśmiało Denny. – I nie chce, żebyśmy go tam szukali.

Siadam prosto, jak oparzona odrywając się od oparcia.

– Przecież sądzimy, że on mieszka na Środkowym Zachodzie – przypomina Books. – Zapomniałeś?

– Tak mówiliście, wiem. Ale to nie znaczy, że się z tym zgadzam.

Grozę Denny'emu palcem.

– Miejsca jego zabójstw w okresie poza sezonem NFL skupiają się w stanach środkowozachodnich – podkreślam. – Co nasuwa wniosek, że kiedy nie jeździ na mecze, morduje blisko domu.

– Rozumiem, że taka jest teoria – mówi Denny.

– A tobie chodzi o to, Denny – rzucam, teraz już wstając – że może nasz obiekt i tu nas wykiwał, tak jak zwodzi nas we wszystkich innych fragmentach tej układanki?

– W gruncie rzeczy tak – potwierdza Denny.

Books patrzy na mnie. Na policzki wracają mu kolory.

– Stworzył taki schemat, by wydawało się, że jest kimś ze Środkowego Zachodu, na wypadek gdybyśmy zaczęli podejrzewać, co robi. Czy naprawdę może być aż tak przewidujący?

Na to pytanie wybucham głośnym śmiechem.

– On jest lata świetlne przed nami, Books.

Books wstaje z fotela i kiwa głową.

– Czyli mieszka w Pensylwanii?

– Jeśli ktoś ma lepszy pomysł, ręka do góry – mówi Denny.

Spoglądam na Booksa.

– Ja na pewno nie. Warto przynajmniej spróbować. Sprawdzimy tablice rejestracyjne na parkingu?

Books podnosi radiotelefon do ust.

– Tu Bookman, do szefa zespołu szybkiego reagowania, Dade'a.

Chwilę później radio skrzeczy w odpowiedzi:

– Tu Dade.

– Dade, przeglądacie nagrania z parkingu pod stadionem, z czasu meczu, tak?

– Potwierdzam. Sprawdzamy właśnie numery rejestracyjne.

– Są jakieś z obrębu Pensylwanii?

– Zaraz się upewnię.

Radio milknie.

– Wspólnota Pensylwanii – mówię, pozwalając sobie na cień nadziei.

– Co to takiego?

– Wspólnota Pensylwanii.

Radio, trzeszcząc, znów się odzywa:

– Są trzy tablice z takimi numerami.

– Podaj nam jak najszybciej, na kogo jest rejestracja, Dade.

– Przyjąłem.

Books odwraca się do mnie.

– To Pensylwania nie jest stanem?

– Myślę, że mimo wszystko jest uznawana za stan.

– Mam nadzieję. Bo inaczej to by nam bardzo skomplikowało sprawę.

Sophie i ja mamy już otwarte laptopy, gotowe rzucić się w wir poszukiwań, kiedy tylko dostaniemy nazwiska.

– A przy okazji, co to znaczy ta wspólnota? – pyta mnie Books.

– Skąd ja mam, do cholery, wiedzieć?

– Sama zaczęłaś.

Ta zażarta sprzeczka toczy się jeszcze z pięć minut, każde z nas stara się jakoś rozładować nerwy, aż wreszcie radio znów skrzeczy:

– Dobra, agencje, jesteście gotowi?

– Gotowi.

– Pierwszy pojazd jest zarejestrowany na Davida Eppsa z Beaver Falls.

Dade odczytuje dokładny adres.

– Biorę go – mówi Sophie i zaczyna stukać w klawiaturę.

– Drugi na Marlona Cumer... Cumerforda, jak sądzę.

Literuje nazwisko i podaje adres w Erie.

– Sprawdzę go – mówię.

– A trzeci – ciągnie agent – jest zarejestrowany na niejakiego Grahama. Winstona Grahama.

Rozdział 87

To tylko podejrzenie, jedna z setek teorii i tropów, które sprawdzaliśmy, ale przypuszczenie Denny'ego – że nasz obiekt mieszka w Pensylwanii – z jakichś powodów przemawia mi do wyobraźni. A fakt, że tylko trzy samochody z Pensylwanii przyjechały na ten mecz, sprawia, że dość łatwo przyjrzeć się temu bliżej, obojętnie, czy to prawda, czy nie.

Ale start jest zniechęcający. Sophie i ja w niecałe dwadzieścia minut wykluczamy dwie pierwsze osoby. David Epps z Beaver Falls to nauczyciel szkoły podstawowej – żonaty, trójka dzieci – i ma brata, który mieszka w Detroit, co wyjaśnia, dlaczego wybrał się na mecz Lionsów. Marlon Cumerford z Erie to sześćdziesięciodwuletni emeryt. Pracował w komunikacji miejskiej i po sprawdzeniu w kasach biletowych okazuje się, że wykupił abonament na cały sezon i jeździ na wszystkie mecze, których gospodarzami są Lionsi.

Winston Graham to numer trzy – obie razem bierzemy go na warsztat. Rozpaczliwie pragniemy trafić. To nasza ostatnia szansa.

– Kawaler, nigdy nie był żonaty – mówię, przelatując odpowiednie bazy. – Nienotowany. W kartotekach nie ma jego odcisków palców.

– Rodzice, Richard i Diana, zmarli. Drugie dziewięć lat temu – dorzuca Sophie. – Żadnych innych krewnych. Jedynek. Dorastał w Ridgway, w stanie Pensylwania. Ma numer skrzynki pocztowej zamiast adresu, więc mieszka gdzieś na wsi.

Books i ja patrzymy na siebie.

– Gdybym miała pisać biografię naszego obiektu – odzywam się – byłby to samotnik mieszkający na pustkowiu. Człowiek, który ma sporo czasu.

Books zastanawia się nad tym i kiwa głową. Bierze telefon.

– Połączcie mnie z agentem dyżurnym w oddziale w Pittsburghu. – Po dłuższej chwili tamten jest już na linii

i Books mu się przedstawia. – Potrzebuję nakazu – wyjaśnia. – Czy w biurze jest jakiś nasz prawnik, z którym mógłbym pomówić? Świetnie. Proszę mnie przełączyć.

Kolejna przerwa, kiedy Books czeka, aż odezwie się pracujący na wieczornej zmianie prokurator federalny, który będzie musiał skontaktować się z sędzią pokoju i mimo późnej pory załatwić w trybie pilnym odpowiednie nakazy.

– Chodzi o Winstona Grahama – mówi pospiesznie Books do słuchawki, literując nazwisko i podając numer ubezpieczenia, numer prawa jazdy i adres. – Wgląd w połączenia telefoniczne, konta bankowe, karty kredytowe i nakaz rewizji miejsca zamieszkania. Zajmę się zaraz wysłaniem pisemnego zgłoszenia. Co? Dlaczego... dlaczego nie? – Books zaczyna chodzić w tę i z powrotem. – Tak, rzeczywiście. Tak. Ale proszę posłuchać... Słuchaj... mam to głęboko gdzieś, że sędzia śpi. Facet, na którego polujemy, to ten gość, który spowodował dzisiaj eksplozję na Ford Field... Tak, ten. I nie tylko. To podpalacz. Seryjny zabójca, który grasuje po całym kraju. Przecież... w porządku, ale słuchaj, nie mamy czasu na cackanie się... Bo nie mamy! Po prostu to zrób... załatw mi, co tylko możliwe, najszybciej, jak się da. Chyba sobie jakoś poradzisz, prawda?

Books się rozłącza.

– Prawnicy... – Wzdycha. – Nie sądzi, że mamy dość, by uzasadnić nakaz.

– Może i ma rację – wtrąca Denny. – Przypuszczamy, że nasz obiekt mieszka w Pensylwanii, a Graham mieszka, jak trzynaście milionów innych ludzi. Myślimy, że nasz obiekt był dziś na meczu, i Graham też się tam pojawił, jak sześćdziesiąt tysięcy innych. I mieszka sam. Sędziemu takie argumenty mogą wydać się niewystarczające.

– A może to się wyda wystarczające. – Sophie obraca swój laptop ekranem do nas.

To dane na temat Winstona Grahama z archiwum stanowego Wydziału Transportu.

– Odnawiał prawo jazdy osiem miesięcy temu i zrobił sobie nowe zdjęcie – mówi Sophie. – Czy ten facet nie wydaje się wam znajomy?

Zdjęcie nie jest najlepszej jakości, przez co tym bardziej przypomina ziarniste ujęcie naszego obiektu z tawerny

Benny'ego w Urbanie, w stanie Illinois, gdzie spotkał się z Curtisem Valentine'em. Ale w przeciwieństwie do tamtego obrazu, który ukazywał tylko kawałek twarzy i wąski nos, bo nasz obiekt miał spuszczone oczy i starał się kryć przed kamerą, fotografia do prawa jazdy przedstawia go od przodu. Lekko mruży podpuchnięte oczy, jakby zwykle nosił okulary, a kazano mu je zdjąć (co mu się niespecjalnie podoba). W odróżnieniu do nagrania z baru, gdzie miał na głowie czapkę, więc mógł być nawet całkiem łysy, tu widać rozwichrzone kępki włosów nad uszami, choć wyżej rzeczywiście jest łysina. Obwisłe policzki zacierają zarys szczęki. Sprawa wieku i tuszy. Wygląda nieco starzej niż na swoje czterdzieści lat, ale ja nie mam wątpliwości.

– To on – mówię, czując przyływ adrenaliny i wiary, że jednak uda nam się to, co parę godzin temu wydawało się nieosiągalne.

– Cholera, to on – przyznaje Books. – Nasz obiekt.

– Kiedy lecimy? – pytam.

– Wszyscy do hotelu, zbierajcie rzeczy – zarządza Books. – Ruszamy jak najszybciej.

Rozdział 88

Kończę się pakować, przybory toaletowe wrzucone do torby, w tle lecą na CNN wiadomości z ostatniej chwili, o wybuchach podczas dzisiejszego meczu i polowaniu na „bombera z Ford Field”. Powtarzają wszystko w kółko. Nie mogą skończyć, ale nie mają nic nowego poza dorzucaniem raz po raz jakiejś relacji kolejnego naocznego świadka, który opowiada o ogłuszających hukach i szaleńczej ucieczce spanikowanego tłumu. „To było jak Czwarty Lipca”, mówi jeden, „Myślałem, że już nie żyję”, stwierdza drugi. „Zdawało się, że wszystko dokoła nas wybucho”, emocjonuje się inny.

Pokazują plan stadionu Ford Field. Strzałkami i migającymi czerwonymi punktami zaznaczone są miejsca eksplozji po południowej stronie. Wybrał idealną lokalizację ze względu na akustykę w hali, tak by zmaksymalizować huk eksplozji i spowodować jak największą panikę, komentuje jakiś przedstawiciel urzędu miasta.

Informują, że władze wykluczyły, by mógł to być atak islamskich terrorystów. Podejrzany to biały mężczyzna około trzydziestki, czterdziestki, jak mówią. Widzowie dostają zapewnienie, że trwają intensywne poszukiwania sprawcy, w które zaangażowane są siły lokalne, stanowe i federalne.

Odnotowano już trzy przypadki śmierci. Wszystkie obrażenia wynikły na skutek ścisku, kiedy spanikowani kibice rzucili się tłumnie do wyjść.

Podskakuję na pukanie do drzwi. W tych okolicznościach podskoczyłabym nawet na miauknięcie kota.

To Books. Wpuszczam go i wracam do zbierania swoich rzeczy.

- Myślałam, że mamy się spotkać w holu – mówię.
- Tak, racja. Ale... uznałem, że po ciebie wstąpię.
- Jasne. Zmiana planów?

– Nie. Żadnej zmiany. Ale pilot nie dotrze do samolotu szybciej niż za godzinę, więc mamy kilka minut.

– Aha... no dobrze. – Zastanawiam się, co on chce zrobić z tymi kilkoma minutami.

Kiedy znów na niego spoglądam, jest obrócony do mnie tyłem, wpatruje się w jakąś smugę na taniej komodzie stojącej w pokoju. Unosi niepewnie rękę i zaciska ją w pięść.

– Z początku, kiedy to usłyszałem... – zaczyna, ale zaraz musi gwałtownie odchrząknąć.

Przerywam pakowanie i czekam, a kiedy wciąż milczy, odzywam się cicho:

– Kiedy usłyszałeś ten pierwszy wybuch z południowej strefy... – Podchodzę do niego bliżej, ale zatrzymuję się tak, by nie naruszyć jego przestrzeni.

– Pomyślałem... że zginęłaś.

– Ale ja żyję, Books. Wszystko w porządku. Mamy to za sobą, działamy dalej, prawda? Czy nie tak zawsze mówisz?

Kiwa głową. Books i jego emocje zawsze tak do siebie pasowali jak ogień i woda.

– W porządku – dorzucam. – To teraz po prostu skupmy się na...

– Stale dzwoniłem na twoją komórkę, ale ty... nie odbierałaś.

Milczę. W pokoju nagle robi się strasznie ciepło.

– Wiesz, kiedy to wszystko się zaczęło, nie sądziłem, że twoja teoria naprawdę dokądsz prowadzi... – stwierdza. – Miałaś trochę ciekawych danych, ale tak całkiem szczerze przyznam, że byłem bardzo sceptyczny. – Odwraca trochę głowę, tak że widzę jego profil, zmęczone oczy i potargane włosy opadające na czoło. – Chciałem włączyć się do tej sprawy tylko dlatego, że ty nad nią pracowałaś. Teraz, kiedy już nie jesteś jednoosobowym zespołem śledczym tropiącym potwora, brzmi to głupio.

– W każdym razie cieszę się, że to zrobiłeś. Popatrz, co się dzieje. Myślę, że ten Winston Graham może być naszym...

– Emmy, muszę to powiedzieć. Pozwól, że to powiem. – Books bierze głęboki wdech. – Ja nadal...

Dzwoni jego komórka. Zaczęte przez niego zdanie zawisa pomiędzy nami w powietrzu. Ja nadal... Zniecierpliwiony, szybkim ruchem wyciąga telefon zamocowany przy pasku.

– Tu Bookman – mówi i zamienia się w słuch. – Co? Kto? MS...

Ogląda się na mnie.

– Przełącz na MSNBC.

Chwytam pilota i przelatuję kanały, nie wiedząc, gdzie znaleźć te wiadomości, ale po kilku kliknięciach już je mam.

Lecząca dołem informacja na pasku mówi wszystko.

PRZEŁOM: POLOWANIE NA SPRAWCĘ PRZENOSI SIĘ DO PENSYLVANII

„...są przekonani, że to tam przebywa bomber z Ford Field. Powtórzmy: źródła bliskie MSNBC potwierdziły, że śledczy federalni skupiają poszukiwania na rolniczych terenach Pensylwanii, gdzie, jak sądzą, mieszka bomber z Ford Field”.

– Cholera jasna – mruczy pod nosem Books. – Jak to się stało?
– wrzeszczy do słuchawki. – Jak to się, u diabła, mogło stać?

Podnoszę dłoń do ust. Zdaję sobie sprawę, że mógł to zrobić każdy. Kontaktowaliśmy się z dowództwem lokalnej policji, szeryfami hrabstwa Elk, policją stanową Pensylwanii i FBI w Pittsburghu. Wystarczy jedna osoba, by poszedł przeciek do mediów.

– Chcę, żeby szczelnie otoczyć teren dookoła jego domu, tak żeby mysz nie mogła się prześlizgnąć – syczy do telefonu Books.
– Bo jeśli ogląda wiadomości, to już wie, jak blisko jesteśmy. I nie łudźcie się, do cholery, że ich nie ogląda.

Rozdział 89

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 21
30 września 2012

Jadą po mnie! Już jadą, żeby mnie zwinąć!

Och, to świetnie, fantastycznie, cudownie! Jesteście tam, prawda? Panie, panowie z FBI? Jak wam się to udało? Naprawdę chciałbym wiedzieć. Naprawdę. Jakim cudem? W jaki sposób wykombinowaliście, że pojawię się na meczu?

Cholera, pieprzyć to, pieprzyć! Jak... co za... Aaa! Aaa!

Sądzicie, że zdołacie wziąć mnie żywcem? Czy tak właśnie myślicie, wy żalosne, tępe dupki, pieprzone zakute łby? Chcecie zamknąć mnie i eksperymentować na mnie jak na szczurze doświadczalnym, poprzipinać mnie pasami i badać mi fale mózgowe, żeby powstrzymać kogoś takiego jak ja w przyszłości? O, niezłe ambicje, to wisienka na torcie, robić sobie nadzieję, że kiedykolwiek uda się wam powstrzymać kogoś takiego jak ja. To nie w waszej mocy! Nie widzicie tego? Nie rozumiecie? Nie możecie zapobiec pojawieniu się kogoś takiego jak ja, bo ten kolejny ja to wy! Jestem w każdym z was! Jedyna różnica, że ja się nie kryję, nie jeżdżę SUV-em i nie sączę kawy ze Starbucksa na meczach swoich dzieci. Jesteście dokładnie tacy jak ja i nawet o tym nie wiecie!

Słyszycie? Słyszycie, co mówię, do jasnej cholery?

Dlaczego miałbym pozwolić, żebyście wzięli mnie żywcem? Cooo? Po co? Po co macie cokolwiek o mnie wiedzieć? Nie jesteście tego warci. Próbowałem wam pomóc, próbowałem... cholera jasna! Cholera! Starłem się was oświecić, ale czemu, u diabła, miałyby mnie obchodzić, czy ktokolwiek z was mnie rozumie? Czemu miałbym zawracać sobie tym głowę? Niczym sobie na to nie zasłużyliście. Wy i te żalosne stada owieczek, które

za wami idą, nie zrobiliście w życiu nic, przez co bylibyście warci, żebym przekazał wam to, co mogę i starałem się przekazać.

No to życie sobie dalej jak te żałosne owieczki, róbcie, co wam każą, i wmawiajcie sobie, że to normalne i dobre i że jesteście szczęśliwi, i nie przejmujcie się tym, kto tu pociąga za sznurki, ani tym, co się tu naprawdę dzieje czy kogo naprawdę ludzie skrywają pod tymi uśmiechniętymi buźkami i pod wymodelowaną fryzurą... i w ogóle... w ogóle niczym... Wiecie co? Ja już mam serdecznie dość. Tak, tak, ale nie dostaniecie mnie żywcem. Mogliście się tyle ode mnie nauczyć, ale teraz już za późno. Zresztą co mnie to wszystko obchodzi, skoro wy macie mnie w nosie. Mnie! Dlaczego ja się nie liczę?

Sądzicie, że powstrzymacie takich jak ja? Nigdy się wam to nie uda. Słyszycie mnie, chłopaki i dziewczyny z FBI? Nigdy, przenigdy nie powstrzymacie takich ludzi jak ja!

(Uwaga spisującego: 14 sekund przerwy).

Och, po prostu nie mogę... to nie do wiary. Nie wierzę! Ale tym gorzej dla was. Nie odejdę cicho, nie mogę, nie widzicie, że ja po prostu... po prostu nie mogę...

(Uwaga spisującego: 18 sekund przerwy).

Nie powinno tak być. Nie powinno. To nie w porządku. Nie fair. Nie jestem taki, jak sądzą. Ale wy nigdy tego nie zrozumiecie. I już nie będę wam pomagał zrozumieć. Koniec z tym.

Jestem taki zmęczony. Tak strasznie, okropnie zmęczony. Naprawdę nie chce mi się robić tego, co muszę zrobić teraz. Naprawdę, naprawdę, naprawdę nie chcę tego robić, przysięgam wam, możecie mi wierzyć, nie chcę.

Ale nie mam wyboru. Ona za dużo wie.

(koniec)

Rozdział 90

Czwarta nad ranem. Głęboka, uspiona w bezruchu ciemność, na horyzoncie nie widać nawet najlżejszego śladu światła. W rolniczym rejonie Pensylwanii zapowiada się spokojny jesienny dzień, który ma nie być aż tak spokojny.

Dom należący do Winstona Grahama stoi na niezarejestrowanej ziemi hrabstwa Elk. Z trzech stron otaczają go zarośla karłowatych krzewów. Pole, od dawna nieuprawiane, kończy się przy niewielkim zagajniku. Duży ceglany budynek, typowy dla rancza. Plan wewnętrzny, który dostaliśmy od urzędu hrabstwa, przedstawia trzy sypialnie na tyłach, kuchnię, pokój dzienny i salon od frontu. Cały dom jest podpiwniczony.

Z głównej trasy wiedzie tam kręta, ciągnąca się może pół kilometra, nieutwardzona droga. Przy dobudowanym garażu stoi buick skylark Winstona Grahama.

Członkowie jednostki specjalnej do odbijania zakładników, HRT, czołgając się, zajęli pozycje. Otaczają dom, kryją się, leżąc w chwastach, dosłownie. Czekają, aż w słuchawkach odezwie się głos Booksa, sygnał do działania. Są cali ubrani na czarno. Od stóp do głów. Mają maski przeciwgazowe i hełmy, pistolety maszynowe i broń w kaburach, petardy hukowe przy paskach.

Z naszego stanowiska obserwacyjnego na pagórku, pół kilometra dalej, jeszcze raz patrzę w tamtym kierunku, unosząc do oczu lornetkę noktowizyjną. W domu nie widać żadnych ruchów. Żadnych świateł w środku ani przed domem. Jakby nikogo tam nie było.

– Dziękuję, panie sędzio – mówi Books do telefonu. Oddycha z ulgą. – Dostaliśmy nakaz.

Przez pół godziny negocjował z sędzią pokoju w Pittsburghu, uzasadniając, dlaczego może zachodzić konieczność przeszukania domu Winstona Grahama. Ostatnie, czego nam było teraz trzeba, to żeby jakiś sędzia uznał przeszukanie za niezasadne i zniweczył cały nasz trud.

Books podnosi do ust radiotelefon.

– Tu Bookman, do dowódcy grupy. Słyszysz mnie?

– Tak jest. – Odpowiedź z telefonu przełamuje bezruch nocnego powietrza.

– Ogłaszam status żółty.

– Przyjąłem.

– Wszyscy na pozycjach?

Dowódca grupy specjalnej szybko kontaktuje się ze swoimi ludźmi, nim wraca do rozmowy z nami.

– Wszyscy na pozycjach. Gotowi.

Books przebiega wzrokiem nasz zespół. Jest z nami mały konwój samochodów, niewidoczny od strony domu. Funkcjonariusze z biura szeryfa hrabstwa Elk, ze stanu Pensylwania i z lokalnej straży pożarnej oraz brygada antyterrorystyczna, federalni z FBI, a także z Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych, ATF.

– Do dowódcy grupy – mówi Books – wysyłamy Kevina. Przyjąłeś?

– Przyjąłem.

Books kiwa głową do stojącego obok niego agenta ATF, mężczyzny o nazwisku Moore. Ale mnie bardziej interesuje teraz urządzenie, które Moore trzyma w rękach – monitor z dżojstikiem. Moore wygląda jak nastolatek, który bawi się xboxem.

Ale „Kevin” to zupełnie inna gra niż te, które kiedykolwiek widziałam. Kevin wykrywa ładunki wybuchowe. Działa jak zdalnie sterowana miniaturowa ciężarówka z kołami na gąsienicach i możliwością wykonania zwrotu o 360 stopni. A my dzięki maszynie Moore’a możemy zobaczyć tu na miejscu to samo, co widzi Kevin.

Członek oddziału HRT zbliża się do otwartego okna. Dziwne. Zupełnie jakby Winston Graham zapraszał nas do środka.

Mężczyzna opuszcza Kevina na podłogę salonu i czołga się kilka metrów do tyłu. Ekran w dłoniach Moore’a ożywa. Zaglądamy teraz do wnętrza domu Winstona Grahama, widząc na małym monitorze to samo co Kevin.

Pokój wypełniają stare meble. Jest też niewielka kuchnia we wnęce. Wszystko nienowe, ale zamieszkane, bez wątplenia. Na

blacie stoi butelka piwa. Rozrzucone gazety zakrywają prawie całą podłogę z drewna.

Gazety.

Ogień potrzebuje trzech rzeczy, żeby się palić: tlenu, paliwa i ciepła.

Otwarte okno to tlen.

Gazety to paliwo.

Światelko na urządzeniu do zdalnego sterowania zaczyna migać na czerwono – to minisyrena alarmowa. Kevin coś nam przekazuje.

Daje do zrozumienia, że odkrył źródło ciepła.

– Zaraz będzie wybuch – mówię.

– Do dowódcy grupy, wycofać się! – woła Books przez radiotelefon. – Wycofać się...

I wtedy następuje eksplozja, stłumiony grzmot rozrywa ciemną noc pomarańczowym rozbłyskiem przelatującym przez salon, zajmując całą jego przestrzeń tak szybko, jakby się strzeliło palcami, jak jeden ognisty oddech smoka.

– Strażacy, naprzód! Naprzód! – krzyczy Books na prawo.

Wozy strażackie ruszają do akcji, za nimi funkcjonariusze wyspecjalizowanej jednostki SWAT w kombinezonach strażackich, a dalej oddział antyterrorystyczny – opony piszczą na brukowanej drodze.

– On nie chce dać się wziąć żywcem – stwierdza Denny Sasser.

Narzucam swoją grubą kurtkę i hełm i łapię maskę przeciwgazową.

– Wszyscy agenci – krzyczy Books, biegnąc w kierunku płomieni – pilnujcie obwodu! Pilnujcie każdego centymetra! To może być dla odwrócenia uwagi!

Biegnę z Booksem. Nie myśląc o tym, że mamy do dyspozycji samochód, oboje gnamy w kierunku domu. Oślepiające pomarańczowe płomienie i gęsty dym buchają już przez dach.

– Piwnica! – wołam pomiędzy oddechami. – On jest... w piwnicy!

Rozdział 91

– Stój! – krzyczy Books i wyciąga dłoń, zatrzymując się kilka metrów od domu. – Nie masz prawa tam wchodzić, Emmy. To rozkaz!

Agenci taktyczni, w strojach strażackich, wchodzą razem ze strażakami, pełniąc funkcję uzbrojonej eskorty – pistolety maszynowe w pogotowiu, podniesione osłony kuloodporne – i są gotowi na wszystko i na każdego. Kilka chwil później węże o wielkiej mocy robią z ogniem co trzeba, wybijając przy okazji okna. Teraz z każdego otworu wydobywa się smolisty czarny dym. Trzymam się z daleka, za osłoną kuloodporną, czekając na kolejny wybuch albo ostrzał, albo coś jeszcze innego, niespodziewanego, bo pan Winston Graham wyspecjalizował się w niespodziankach.

Wkrótce nie ma już śladu po oślepiającym ogniu. Zalany wodą, zrujnowany budynek tylko nadal wypluwa z siebie skażony dym. Ten pożar był dokładnie zaplanowany i zrealizowany bezbłędnie, ale w końcu strażacy czekali zaledwie pół kilometra dalej, kiedy to się zaczęło.

– Czysto! – wrzeszczy ktoś w słuchawce. – W głównych pomieszczeniach jest czysto!

Czysto, czyli nie ma nikogo, żadnych ludzi, żywych czy martwych. I żadnych niebezpieczeństw.

Piwnica. Ogień nie dostał się do piwnic. Założyłabym się, że nie.

– Zostań... tutaj – mówi Books przez maskę przeciwigazową, oglądając się na mnie.

Posłusznie cofam się o krok.

Niknie w czarnym dymie spowijającym dom, który już się nie pali, choć żar jest tak silny, że czuję go przez osłonę i hełm.

Pamiętaj, gdzie twoje miejsce, mówię sobie. To nie twoja rola biec do środka. Możesz bardziej zaszkodzić niż pomóc. Jeszcze

przeleczysz przez podłogę i oni będą musieli tracić cenny czas, by cię ratować. To nie twoje zadanie.

Nakładam strażackie buciory, pasujące do reszty kostiumu, hełmu, osłony i maski przeciwgazowej z pojemnikiem tlenu, ciężkiej kurtki i spodni. Po co mi to dali, skoro nie przewidywali, że wejdem do środka? Odczekuję pięć minut i ruszam.

Prawie nic nie widać przez dym, ale znam rozkład domu z planów, tak jak wszyscy inni agenci. Wdycham czysty tlen z maski, gdy wokół mnie kłębi się toksyczny smog. Skupiam się na podłodze, częściowo przepalanej. Zwęglone skrawki gazet są wszędzie, wirują w powietrzu niczym konfetti na miejskiej paradzie. Chodzenie po takiej podłodze to ryzyko, ale nie jestem pierwszą czy nawet dziesiątą osobą, która tędy idzie, a cierpliwość nie należy do moich mocnych stron. Wiem, że jeśli pójdę prosto głównym korytarzem, mijając kuchnię i sypialnię, trafię na drzwi do piwnicy.

Znajduję je, otwarte. Stopnie prowadzą w głąb, a tam nie ma dymu. Schodzę. Mówię sobie, że jest tu przynajmniej z dziesięciu agentów. Żeby był nie wiadomo jaki dobry, nie poradzi sobie z nimi wszystkimi.

Prawda?

Docieram na dół i rozglądam się. Główne pomieszczenie jest niewykończone i obskurne. Betonowe ściany i podłoga, bojler, filtr do wody, pralka i suszarka w jednym rogu, a naprzeciwko ławeczka do podnoszenia ciężarów, ze sztangą, i hantle.

Ale dalej jest długi korytarz, z drzwiami po obu stronach. Agenci szarpnięciem otwierają jedne po drugich i wpadają do środka z wycelowaną bronią. Krzyki: „FBI!”, „ATF!” i „agenci federalni!” odbijają się echem w moim kierunku. Zdejmuję maskę przeciwgazową i ruszam korytarzem za agentami, którzy sprawdzają kolejne pomieszczenia.

– Wszędzie czysto! – woła ktoś z ekipy do Booksa, który kiwa głową i rozgląda się zrezygnowany. Na mój widok nie ma już nawet sił narzekać. Po prostu wzrusza ramionami. Cały dom, parter i piwnica zostały przeszukane.

Gdzie jesteś, Winstonie Graham?

Wracam do głównego pomieszczenia piwnicy, gdzie są tamte urządzenia i miejsce do ćwiczeń. I nagle dostrzegam w kącie szafkę – szarą, metalową, prawie tej samej wysokości co ja,

z podwójnymi drzwiami. I kłódkę, która wisi otwarta przy uchwycie.

Biorąc pod uwagę, jak bardzo dokładny jest Winston Graham, to niemal oczywiste zaproszenie.

– Tutaj – mówię. – Patrzcie tutaj!

– Cofnij się, do cholery – warczy Books, łapiąc mnie za ramię i pociągając do tyłu.

Palcem szybko wskazuje na szafkę. Agenci podchodzą do niej z obu stron. Jeden zdejmuje kłódkę. A potem łapią równocześnie za oba uchwyty i szarpnięciem otwierają drzwiczki.

Środek wygląda zwyczajnie. Trzy półki, dwie całkiem puste. W ogóle jest tu tylko jedna rzecz. Na środkowej półce.

Sterna kartek.

Związanych fioletową wstążką.

– A to co znowu, do cholery? – mruczy Books, zbliżając się do szafki i zaglądając na pierwszą stronę. – Co to za „Sesje Grahama”?

Rozdział 92

Świta, niebo nabiera kolorów dnia, choć nadal jest stosunkowo ciemno. Wróciliśmy na drogę, jesteśmy na tyle ciężarówce zespołu SWAT. Podłoga kabiny służy nam za biurko, gdzie rozkładamy stertę dokumentów z tymi chaotycznymi wynurzeniami seryjnego zabójcy, które nazwał „Sesjami Grahama”. Są numerowane – w sumie jest ich dwadzieścia dwie – i mają daty. Wygląda, że to były nagrania. Pewnie używał jednego z tych nowoczesnych dyktafonów, które automatycznie przetwarzają słowa na zapis tekstowy.

Kładziemy każdą sesję osobno. Najpierw szybko je czytamy. Będzie jeszcze mnóstwo czasu na badanie stosowanych przez niego określeń i zwrotów potocznych, całe dni na drobiazgową analizę każdego zdania.

Na razie szukamy jakichkolwiek wskazówek, gdzie ten potwór mógł się ukryć. Przelatuję szybko odrażające fragmenty, w których tak się gloryfikuje, ohydne urywki, kiedy mówił, jednocześnie torturując swoje ofiary. Szukamy czegokolwiek, jakiegokolwiek tropu, który mógłby nas naprowadzić...

– Mary – mówię na głos.

Kogoś o tym imieniu wspomina w nagraniu numer dwanaście. Jest rozmowa z nią, zapisana w barze. A potem wzmianki o niej wracają w kolejnych „sesjach”. W gruncie rzeczy ona staje się najważniejsza, o czym przekonuję się, czytając dalej. Coś do niej czuje. Otwiera się przed nią. Cierpi. Ona staje się jego obsesją. Zakochuje się w niej.

Mary jest barmanką. Jednocześnie studiuje. Była alkoholiczką. Ale jak ma na nazwisko? Gdzie mieszka? Czy będziemy musieli przeczesać całą Pensylwanię w poszukiwaniu jakiejś Mary?

A potem widzimy, jak on powoli pęka, kiedy zdaje sobie sprawę, że jesteśmy coraz bliżej. Jeszcze od czasu do czasu zdarzają się mu te butne przechwałki, ale robi się nerwowy.

Traci swoją arogancję, choć stara się przekonać samego siebie – i nas – że tak nie jest.

Co zrobi z Mary?

– Musimy ją znaleźć – mamroczę.

Books podnosi radiotelefon do ust.

– Co tam z psami tropiącymi?

– Są tutaj – pada odpowiedź. – Zaczynamy od jego posesji, a potem przeniesiemy się na zalesiony teren za ranczem. Agenci już przeszukują las.

– Czytajmy dalej – mówi do mnie Books. – Tu musi być o niej coś więcej.

Ale ja już prawie kończę i nie widzę nic specjalnego. W nagraniu numer dwadzieścia jeden, z wczorajszej niedzieli, kiedy uciekł nam z Ford Field, Graham jest podłamany. Dobrze. Świetnie. Ale jego ostatnie słowa przejmują mnie dreszczem.

„Ona za dużo wie”.

– Zabije ją – mówię.

A potem przechodzę do ostatniego nagrania, z dzisiejszą datą, pierwszego października.

Rozdział 93

„Sesja Grahama”
Nagranie nr 22
1 października 2012

Ja nie... nie chciałem tego dla ciebie, Mary. Nie chciałem tego dla nas. Musisz mi wierzyć. Proszę, powiedz choć tyle... powiedz, że wierzysz w to, co mówię. Oszukałem cię. Oszukiwałem i siebie, wmawiając sobie, że z tobą może być inaczej, że wszystko może być inaczej. Ale proszę, wierz mi. Uwierz, że gdybym spotkał cię wcześniej, to by się tak nie potoczyło, na pewno bym się zmienił, wiem, że tak, zmieniłbym się dla ciebie, Mary.

Teraz jest już za późno i nie mogę ci pozwolić... nie, Mary, nie mogę, przykro mi, przykro jak jeszcze nigdy w życiu, naprawdę... bo przestałem tłumić w sobie pewne rzeczy i chciałem uwolnić je i doświadczać ich razem z tobą. Wiem, że dalibyśmy radę i wszystko byłoby dobrze. Proszę, zrozum, Mary – błagam! – nie mam wyboru, nie mam wyjścia, muszę to zrobić, bo choćbyś odwzajemniała moją miłość i kochała mnie z całego serca, oni cię przekabacą i każą ci opowiadać o mnie różne rzeczy, a ja nie mogę im na to pozwolić. Gdybym mógł zostawić cię w spokoju, tobym to zrobił, ale nie mogę. Nie mam wyboru. Rozumiesz to, prawda? Nie mam wyboru. Przepadło, to już nie w mojej mocy.

Już po mnie jadą, Mary, i mówiliby ci o mnie przeróżne rzeczy, a ja nie mogę pozwolić, żebyś tego słuchała, bo przedstawią wszystko dużo gorzej, niż było naprawdę – oni zawsze tak robią, a ja nie mogę do tego dopuścić. Wolę, żebyś zapamiętała mnie jako kogoś, kto cię kochał, bo ja cię kocham, Mary, przysięgam, że cię kocham i dzięki tobie jestem zdolny do miłości.

Ty nie będziesz mnie kochać, jeśli usłyszysz, co oni mówią. Nie będziesz mnie kochać, kiedy poznasz prawdę. Domyślałem się, że nigdy byś mnie takiego nie pokochała. Na pewno nie. Nikt by

mnie nie pokochał! Jak ktoś mógłby mnie kochać? Jak ktokolwiek mógłby... ale już cicho, Mary, no już, cicho.

Jesteś moją jedyną, Mary, najdroższą Mary Laney, i zawsze będę cię kochał, nigdy cię nie zapomnę. I to musi wystarczyć. Proszę, zrozum, moja słodka Mary. Proszę, pojmij, że robię to z miłości i bardzo chciałbym, żeby mogło być inaczej, żałuję, że nie może być inaczej... och, dlaczego nie może być inaczej? Dlaczego nie mogą zostawić mnie w spokoju i dać nam szansy, żebyśmy stali się inni, lepsi?

Nie ma już dla nas odwrotu. Nie mogę pozwolić, by cię skrzywdzili lub nastawili przeciwko mnie. Nie dopuszczę, by zniszczyli to, co mieliśmy. Przenigdy.

Teraz zaśnij, moja ukochana, słodka księżniczko. Śpij i zabierz mnie ze sobą w swoim sercu, tak jak ty na zawsze pozostaniesz w moim.

Przyrzekam ci, że pewnego dnia, już niedługo, znów się spotkamy.

(koniec)

Rozdział 94

– Mary Laney, L-a-n-e-y! – krzyczy Books do radiotelefonu.

Siedzę na podłodze ciężarówki SWAT, mam przed sobą otwarty laptop i przeglądam numery rejestracyjne pojazdów w Pensylwanii oraz rejestr podatków od nieruchomości.

– Są cztery Mary Laney w okręgu Pittsburgha – mówię.

– Zakładając, że to Pittsburgh.

– Ona musi mieszkać gdzieś blisko – stwierdzam. – Cokolwiek jej zrobił, wrócił tutaj i dołączył ostatni wydruk do tych papierów, zanim zniknął.

– A może zabił ją jeszcze tu, w domu – rzuca Books.

– Nawet tego nie mów. Nie mów, że on ją zabił.

– Niestety, z tego zapisu na to wygląda, Em.

– Czeka. – Unoszę wzrok znad ekranu. – Jej wiek. Ona wspomniała, ile ma lat, prawda? Czy to było trzydzieści siedem?

– Chyba... tak... racja. – Books przerzuca fragmenty dotyczące ukochanej Winstona Grahama, Mary. – Tak, trzydzieści siedem. Czyli urodziła się w siedemdziesiątym piątym roku albo pod koniec siedemdziesiątego czwartego.

Przechodzę do kartotek departamentu zdrowia w Pensylwanii.

– Jeśli urodziła się w Pensylwanii, byłaby... dobra... jest! Mamy to: Allentown, Pensylwania. Mary... a niech to. Szlag by... To nie Mary Laney. To Marty Laney.

– Jesteś pewna?

– Jasne, że tak – odburkuję ze złością. – Na litość boską, potrafię odróżnić „Marty” od „Mary”.

– Może to jej brat.

– Może, ale szukajmy dalej.

Wracam do podatków od nieruchomości oraz numerów ubezpieczeń i porównuję je z policyjną bazą notowanych osób. Była alkoholiczką, może weszła w konflikt z prawem.

Nic. Cztery Mary Laney w okręgu Pittsburgha to przykładne obywatelki, nie mają na koncie żadnych wykroczeń.

– Dobra, przyjrzyjmy się podatkom – mówię. – Wydział przychodów... wydział przychodów...

Wykazy podatkowe to bezmiar informacji. Potrzebuję tylko daty urodzenia, na początek. Może nie urodziła się w Pensylwanii, ale tu płaci podatki.

Cztery Mary Laney, z czterema datami urodzenia, wyskakują mi w wyszukiwarce.

– Dwudziesty drugi czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty – odczytuję. – Trzynasty maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi... dwudziesty siódmy maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty... i jeszcze... – Zrywam się z podłogi. – Jedenasty lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty!

Books kiwa głową.

– To nasza Mary?

– Czekał, zaraz, zaraz. Niech sprawdzę, kto ją zatrudnia.

Proszę, niech to będzie jakiś bar lub restauracja, jakiegokolwiek miejsce, gdzie mogą mieć barmankę.

– Tak! – krzyczę. – W miejscu pracy wpisane jest: Ernie's Sports Bar.

– To nasza trzydziestosiedmioletnia barmanka! – Books łapie radiotelefon. – Tu Bookman. Potrzebuję helikopterów. Zmobilizujcie oddział do odbijania zakładników, HRT. Znamy miejsce.

– Jadę z wami – mówię, odpychając go z drogi i zeskakując z ciężarówki, zanim Books zdąży cokolwiek powiedzieć. – Ona jeszcze żyje – szepczę. – Nie może być inaczej.

Rozdział 95

Droga stanowa numer 85 w Kittanning, w stanie Pensylwania, zostaje zamknięta na niemal kilometr w każdą stronę od miejsca zamieszkania Mary Laney. Naprzeciwko, po drugiej stronie jezdni, jest niezabudowany placyk, co pozwala helikopterom na bezpieczne i wygodne lądowanie. Policja stanowa już otoczyła dom. Wozy strażackie czekają w pogotowiu niecałe sto metrów dalej.

Członkowie oddziału HRT wysypują się z jednego ze śmigłowców i przez chwilę skupiają się w grupie. To właściwie akcja ratunkowa, ale z Winstonem Grahamem lepiej być ostrożnym. Zdołał się nam wymknąć niejedną raz, kiedy myśleliśmy, że już go mamy. Stale wyprowadzał nas w pole. Tak, ostatnie nagranie „Sesji Grahama” brzmiało, jakby się żegnał z Mary. „Przyrzekam ci, że pewnego dnia, już niedługo, znów się spotkamy”. Takie były ostatnie słowa, które do niej skierował. Jednak znając go, nie wykluczałabym, że jest w tym domu i na nas czeka.

Books podbiega do ludzi z HRT i naradza się z nimi, kiedy ja patrzę z drugiej strony drogi 85 na dom Mary. To prosty piętrowy budynek, wyłożony drewnem pomalowanym na niebiesko, z białą stolarką okien i drzwi i ze spadzistym dachem. Stoi na niewielkim pagórku. Do ganku prowadzi wysypana kamieniami ścieżka.

Dwóch członków oddziału HRT, pod okiem stanowej policji z bronią gotową do strzału, przechodzi przez jezdnię, niosąc drabinę, którą opierają z boku domu. Kiedy nadejdzie czas, wdrapią się po niej na daszek frontowego ganku, by wejść do środka przez okna na piętrze jednocześnie z ludźmi, którzy wtargną na parter.

Ale na razie nikt się nie wdrapuje. Patrzę na zegarek. Minęła siódma rano.

– Dawajcie Kevina – mówi Books.

– To za długo trwa – wtrącam. – Może ona tam umiera.

Books kiwa głową, ale nic nie mówi.

– Books, może ona...

– Nie mam na to czasu, Emmy.

– To Mary nie ma czasu.

– Posłuchaj mnie: kto wie, co on mógł tu dla nas przyszykować? Jego własny dom eksplodował ogniem, kiedy się tam zbliżyliśmy. Nie posyłam agentów na samobójczą misję. Najpierw sprawdzimy, czy nie ma tam ładunków wybuchowych, a jeśli będzie czysto...

– A co, jeśli właśnie w tym czasie ona umrze, Books? Możemy ją uratować, a siedzimy tu, trzymając się regulaminu...

– To nie sprawa regulaminu. To właściwe postępowanie. Chcesz, żeby kilku agentów zginęło, bo nie podjąłem prostych środków ostrożności? Odpowiadam za ich życie.

– Ona jest naszą najlepszą szansą na złapanie Grahama.

Books obraca się do mnie.

– Emmy, jak się nie zamkniesz, zakuję cię w kajdanki. Nie wyślę ludzi do środka, nie mając pojęcia, co tam na nas czeka. Nie zrobię tego, po wszystkich tych niespodziankach, jakie nam dotąd zgotował. Czy ty chciałabyś być pierwszą osobą, która przejdzie przez te drzwi?

Odwraca się i odchodzi, mówiąc coś do radiotelefonu.

Ona tam umiera, woła pomocy, modli się o cud, że ktoś ją odnajdzie i uratuje. Ty też się o to modliłaś, prawda, Marto? Modliłaś się, by ktoś cię ocalił, ale nikt się nie pojawił. Ja nie przybiegłam. Nie obroniłam cię.

Rzucam się przez jezdnię w kierunku domu Mary.

– Emmy, co ty wyprawiasz?! Stój! Emmy, zatrzymaj się!

Biegnę po kamienistej ścieżce w stronę ganku.

– Agenci, trzymać pozycje! – słyszę w słuchawce rozkaz Booksa. – Emmy, to bezapelacyjne polecenie, nie wchodź tam!

Wyrywam z ucha słuchawkę i wskakuję po trzech stopniach na ganek. Mam przed sobą zwyczajne drzwi frontowe ze staromodną kołatką.

Idę do ciebie, kochanie. Idę ci pomóc.

Zaciskam zęby, gotowa na eksplozję, kiedy przekręcam gałkę.

Rozdział 96

W środku zastygam na moment, ale nic się nie dzieje. Żadnej eksplozji. Żadnego huków ani rozbłysku.

Mój wzrok natychmiast wędruje na podłogę. Przedsiónek i korytarz wyłożone drewnem. Ciągnie się przez nie smuga krwi, znikająca za rogiem.

– Mary Laney! – krzyczę i ruszam wzdłuż tej smugi, trzymając się blisko ściany, by nie wdepnąć w krew i nie zatrzeć śladów. – FBI!

Dochodzę do końca korytarza, mijając małą łazienkę. Plamy krwi prowadzą do salonu ze starą zmechaconą wykładziną i sfatygowanymi meblami. Kończy się przy jakichś drzwiach.

Zejdźcie do piwnicy.

Otwieram drzwi.

– Mary Laney! – wołam w ciemność.

Macam po ścianie i znajduję włącznik światła. Przekręcam, ale bez skutku. Poda mną nic, tylko czarna otchłań. Wyciągam iPhone'a i kieruję latarkę w dół. Wąski promień światła wskazuje mi drogę. Jest kilkanaście stopni i poręcz. Na dole nie widzę nic poza podestem.

– Mary Laney! – wołam.

Schodzę, najszybciej jak się da. Mam świadomość, że schody mogą być zaminowane albo jest na nich jakaś pułapka, która sprawi, że się potknę i przewrócę, ale nie mam wyboru.

Idę, Marto, jestem, pomogę ci, daj mi tylko szansę, wytrzymaj jeszcze chwilę, nie umieraj, proszę, wróć do mnie.

Przebiegam wąskim snopem światła latarki w tę i z powrotem i nasłuchuję.

– Mary – powtarzam znowu, głos mi drży.

Jeszcze ostatni stopień i już jest podłoga piwnicy.

I nagle słyszę, jak ktoś kaszle. Pojedynczy, cichy dźwięk gdzieś po mojej prawej stronie.

Obracam się gwałtownie i świecę na chybił trafił, serce mi wali. I nic, nie widzę nic, tylko szafę i...

Podskakuję, gdy promień latarki natrafia niżej na jakiś kształt. Nieruchomy. Leży tam coś, ktoś, twarzą do podłogi.

Kobieta, myślę. Poznaje to po długich, rozsypanych wokół głowy włosach. Ale gdzie oczy, nos i...

– O Boże – mamroczę, podchodząc bliżej i kierując na nią wątki promyk światła.

Jej twarz jest cała we krwi, sina. Opuchnięte powieki są zamknięte, nos przekrzywiony, usta to miazga.

Pochylam się nad nią. Jej klatka piersiowa unosi się i opada. Słyszę mokry, chrapliwy oddech. Dotykam jej ramienia. Drgnęła. Przebiegam światłem po jej ciele, pokrwawionej białej bluzce i niebieskich džinsach. Nie widzę ran po nożu czy kuli... Zmasakrowana jest twarz, nie reszta ciała.

– Mary? Jestem z FBI. Już nic ci nie grozi, kochanie.

Nade mną rozlega się dudnienie ciężkich kroków. Nadciąga kawaleria. FBI wysłało tu swoich ludzi.

Mary odrobinę porusza głową, jakby na znak, że rozumie.

– Wiesz, gdzie on jest, Mary? – pytam. – W porządku – dorzucam, kiedy nie odpowiada. Delikatnie gładzę jej ramię. – Ściągniemy dla ciebie pomoc.

Tupot jest już na schodach do piwnicy. Pojawiają się silniejsze promienie światła z latarek używanych przez agentów.

– Potrzebna pomoc lekarska! – wołam.

Zaczynam wstawać, żeby agenci mnie zobaczyli, kiedy ręka Mary sięga do mojej dłoni. Biorę ją za ręce i nachylam się nisko nad jej twarzą.

– Nie... nie zostawiaj mnie – szepcze.

– Nie zostawię, kochanie, nie zostawię – obiecuję, a głos mi się łamie, łzy podchodzą do oczu. – Jestem przy tobie, nie pozwolę, by ktokolwiek zrobił ci coś złego.

Mary zaczyna dygotać, z jej gardła wydobywa się piskliwy jęk. Jedną ręką obejmuję jej plecy, drugą podkładam pod jej policzek, kiedy do piwnicy wpadają uzbrojeni po zęby agenci HRT ze swoimi latarkami.

– Wszystko będzie dobrze – mówię z przekonaniem, którego nie mam. – On już nie może cię skrzywdzić.

Rozdział 97

Otwieram oczy, podrywając się gwałtownie. Huk eksplozji rozplywa się w chwili, kiedy się budzę. Ostatnio takie właśnie mam sny: już nie o trawiących wszystko płomieniach, ale o potężnym wybuchu, który je wywołuje.

Mrużę oczy w jaskrawym świetle. Nie wiem, dlaczego szpitale robią coś takiego ze światłem górnym. Kiedy Mary Laney otworzy oczy, to ją prawie całkiem oślepi.

A ona na pewno je otworzy. Przynajmniej tak mówią lekarze. W bandażach zakrywających jej skatowaną twarz, z kroplówką wijącą się do ręki, sprawia wrażenie kogoś w stanie krytycznym, ale lekarze stwierdzili „normalną pracę mózgu”, co wydaje się pocieszające, choć myślę, że jeśli trzeba sprawdzać fale mózgowe, to nie może być najlepiej.

Mary ma wstrząśnienie mózgu i połamany nos. Zęby są w porządku. Raczej nie odniosła innych poważniejszych obrażeń twarzy. Zostały tylko te ciemnofioletowe sińce na obrzękłych powiekach, przez co oczy wyglądają jak szparki, oraz opuchnięte usta i policzki.

Patrzę, jak jej pierś podnosi się i opada, słucham jej cichego oddechu. Kiedy się obudzi, spróbujemy czegoś się od niej dowiedzieć. Już próbowaliśmy, zaraz po tym, jak ją znaleźliśmy, ale tylko mamrotała coś niezrozumiale. Była w szoku, jak stwierdzili lekarze, doznała urazu psychicznego. Opatrzyli ją, zrobili kilka badań, a potem orzekli, że musi co najmniej dwie godziny się przespać, zanim będziemy mogli znów z nią porozmawiać.

Na razie agenci przetrząsają dom Grahama. Na podwórku z tyłu znaleźli opony, które palił, kanistry i maski przeciwgazowe – oto jak zmuszał ofiary do wdychania dymu, by wyglądało to na zatrucie w czasie pożaru. Odkryli też najróżniejsze narzędzia chirurgiczne, które wykorzystywał do zadawania bólu, i rozprawy medyczne na temat chirurgii.

Sprawdzenie jego aktywności w internecie wskazuje na to, że odwiedzał strony porno z torturami i szukał dodatkowych informacji medycznych. Okazało się też, że na Facebooku wchodził na profile wielu ze swoich ofiar. Nigdy nie dołączał do grona ich przyjaciół, ale sprawdzał, gdzie mieszkają, gdzie pracują, i zbierał różne dane, które pomagały mu podejść do nich i do nich wybrać.

I to jasne, że wywoływać pożary nauczył się z internetu, ze strony, która wyjaśniała dokładnie, jak spowodować eksplozję z opóźnieniem. Pod sufitem, nad palącą się świecą, przytwierdzał taśmą balon wypełniony benzyną. Wokół świecy układał stertę papierów. Po wyjściu Grahama płomień świecy rozpuszczał balon, benzyna wylewała się na płomień, od czego zapalały się papiery. I bum! Kiedy przyjeżdżali strażacy, taśma dawno już była spalona, a ślady stearyny prowadziły do wniosku, że pożar spowodowała świeca, która przewróciła się na gazety.

Teraz zdjęcie z jego prawa jazdy zostało pokazane już wszędzie. W wiadomościach wszystkich kanałów telewizyjnych i w internecie. Każdy w kraju może zobaczyć to zdjęcie Winstona Grahama – mężczyzny z nadwagą, prawie kompletnie łysego, z małymi ptasimi oczkami.

Oczywiście teraz będzie wyglądał inaczej. Będzie miał włosy, a pewnie i wąsy, zmieni brwi, założy okulary, cokolwiek... nie da się tak łatwo rozpoznać.

Ale gdzie on przepadł? Dokąd mógł się wybrać?

Nie mamy pojęcia. Wiemy tylko, że wyciągnął ponad dwieście tysięcy dolarów ze swojego konta w banku, więc ma dość gotówki, by robić wiele rzeczy.

Otwierają się drzwi i wchodzi Books. Mierzy mnie lodowatym wzrokiem i patrzy na Mary.

– Nie ma jeszcze dwóch godzin – mówię.

– Myślałem, że może sama się zbudziła.

– Mówiłam ci, że zadzwonię, kiedy tylko się obudzi.

– Mówiłaś mi wiele rzeczy – zaczyna. Mam wrażenie, że przećwiczył sobie dobrze to, co zamierza zaraz wygłosić. – Mówiłaś, że jeśli wezmę tę sprawę, będziesz słuchać moich poleceń, ale nie słuchałaś.

– Nie ma co wracać do tego...

– Emmy, dałem ci wyraźny rozkaz, a ty postąpiłaś wbrew niemu. Mogłaś zginąć. Mogłaś przyczynić się do śmierci Mary. Spowodować eksplozję, która by nas wszystkich...

– Ale nic takiego się nie stało, prawda, Harrison? Nie zrobiłam nic złego. To może lepiej się już zamknij.

Books, nadal stojąc, pozwala, by cisza działała na jego korzyść. Oboje wiemy, co teraz nastąpi.

– Wszystko mi jedno – odzywam się wreszcie – wykop mnie z tej sprawy. Zwolnij mnie. Jak sobie chcesz. I tak nie przestanę go szukać.

– A tak, owszem, zwalniam cię z zespołu – mówi Books. – Wyrzucić z pracy cię nie mogę. Ale przypuszczam, że zajmie się tym Dickinson. Już prosił o pełne sprawozdanie z twoich poczynań. Świadcami tamtego zdarzenia było zaledwie jakichś dwustu zaprzysiężonych funkcjonariuszy prawa. A ja nie mam zamiaru powstrzymywać Dickinsona. Zasługujesz na to, żeby cię zwolnić.

Pochyliam się i opieram czoło o metalową barierkę przy łóżku Mary, tak jak przed chwilą, kiedy się zdrzemnąłam.

– Więc... – Books zawiesza głos.

– Więc co?

– Nie pracujesz już nad tą sprawą.

– Usłyszałam za pierwszym razem.

– Więc musisz wyjść.

Podnoszę na niego wzrok.

– Nie wyjdę. Obiecałam jej, że jej nie zostawię.

Books rzuca mi to swoje spojrzenie, jak zawsze, kiedy się przy czymś upieram.

– Trzymałaś ją za rękę cały czas w drodze do karetki i do szpitala. Trzymałaś ją za rękę, kiedy zajmowali się nią lekarze. Do tej pory nie mogę uwierzyć, że ci na to pozwolili. Ale w końcu próbować cię o czymś przekonać to jak gadać do ściany.

– Kiedy ona się obudzi, zobaczy mnie tutaj. Books, ja nie wyjdę. Pogódź się z tym.

– Pogódź się z tym. Pogódź się z tym! Ta sama stara Emmy, która robi, co jej się żywnie podoba, kiedy zechce i jak zechce.

Jego brwi drgają znajomo. Szyja robi się pąsowa. Chętnie wywłóklby mnie z tego pokoju za włosy.

Może to zrobić. Ale nie robi.

Bo w tym momencie słyszymy, jak Mary Laney zachłystuje się powietrzem.

Rozdział 98

Mary Laney pochyla się do przodu i wykasłuje gęstą flegmę z zakrzepłą krwią. Przyciskami ustawiam oparcie łóżka wyżej, pod kątem sześćdziesięciu stopni, po czym dzwonię po pielęgniarkę.

– Jesteśmy tu, Mary – mówię, gładząc jej rękę. – Jesteś w szpitalu i nic ci już nie grozi.

Kiedy atak kaszlu nieco odpuszcza, Mary zamiera w bezruchu. Jej oczy, widoczne w wąskich szparkach przez ciemnofioletową opuchliznę, patrzą w przestrzeń.

Teraz sobie wszystko przypomina.

Nagle wydaje niski jęk. Ramiona zaczynają jej drgać, a łzy spływają po spuchniętych policzkach.

– On już nie może cię skrzywdzić – uspokajam ją.

– Czy on... czy on... czy wy... – Próbuje coś powiedzieć, wstrząsana cichym szlochem.

– Jeszcze go nie złapaliśmy – mówi Books. – Ale złapiemy. Potrzebna nam do tego twoja pomoc, Mary.

Nadal płacząc, Mary ogląda swoje ciało, ręce i nogi, oklepuje dłońmi tułów, jakby sprawdzała, czy nie ma broni. A potem ostrożnie podnosi palce do twarzy, swojej potwornie zasinionej, spuchniętej twarzy.

– Jestem agent specjalny Bookman. A to Emmy Dockery, analityczka FBI. Przykro mi, ale naprawdę musimy teraz z tobą pomówić.

Po chwili Mary kiwa głową, a jej ciałem przestaje wstrząsać szloch. Podaję jej chusteczkę, a ona delikatnie osusza twarz. Potem patrzy na mnie.

– To ty... ty mnie znalazłaś – mówi. – To byłaś ty. Nie zostawiłaś mnie.

Biorę ją za rękę i uśmiecham się łagodnie.

– Wszystko będzie dobrze, dojdiesz do siebie.

– Co on... co Winston zrobił? Czy on zzz...abijał?

Spoglądam na Booksa, który kiwa głową.

– Jest poszukiwany za morderstwo. Cały szereg morderstw.

– Żle to przyjmuje. Sądząc po ostatniej sesji Grahama, której zapis czytaliśmy – tej, w której mówi do niej, rozbijając jej twarz – musiała zrozumieć, że zrobił wiele złego.

– Dobrze, a teraz proszę, żeby wszyscy wyszli – zarządza lekarz, który wchodzi do pokoju.

– Jeszcze chwila – prosi Books, przytrzymując lekarza ramieniem. – To ważne. Mary, czy on dał do zrozumienia, dokąd się wybiera? Albo co zamierza teraz zrobić? Cokolwiek?

Mary odchrząkuje.

– Powiedział... powiedział...

– Proszę mi pozwolić zająć się pacjentką – mówi lekarz.

– To ważne – powtarza Books. – Nie bój się, Mary. Co on powiedział?

Mary z pewnym trudem przełyka ślinę. Jej oczy się zamykają.

– Powiedział, że nigdy go nie złapiecie – chrypi. – Że jest niewidzialny.

Rozdział 99

Lekarz wypycha nas wreszcie z pokoju, żeby zbadać Mary. Mijam dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy federalnych, którzy pilnują drzwi, i wychodzę na korytarz.

– Znajdziemy go – mówię. – Mam pewne...

– Idź do domu, Emmy – rzuca sucho Books, wyprzedzając mnie.

Czekam, że się obejrzy. Ale nic z tych rzeczy.

– Nie idę do domu.

– No, ale tu nie zostaniesz. Tu może przebywać tylko upoważniony personel. Ty już nie jesteś upoważniona.

Gonię za nim. Zawsze szybko chodził.

– Mogę wam pomóc go złapać – mówię. – To robię najlepiej, Books. Daj spokój, nie zgrywaj się.

Books dochodzi do windy i wciska guzik.

– Jesteś skończona – oznajmia. – Skończyłem z tobą. Nie mogę dowodzić akcją, kiedy ktoś jawnie lekceważy moje polecenia. To podkopuje mój autorytet w całym zespole. Gdybyś była dorosła, rozumiałabyś to. Ale nie jesteś. Jesteś jak dziecko, Emmy. Dziecko. I mam tego dość. – Jego ręka robi gest, jakby przecinała coś w powietrzu. – Mam dość. Koniec.

Kręcę głową, zawzięcie – może rzeczywiście jak dziecko.

– Potrafię go znaleźć. Ze mną macie największe szanse. Dlaczego miałybyś dawać...

– Przykro mi. – Nadjeżdża winda i z cichym dzwoneczkiem drzwi się rozsuwają. Books wchodzi i obraca się do mnie. – Jesteś skończona.

Drzwi zaczynają się zamykać. Podobnie jak moje widoki na przyszłość.

Nagle Books przytrzymuje drzwi i wyskakuje do mnie tak gwałtownie, że aż szybko muszę się cofnąć.

– Myślisz, że możesz mieć każdego w nosie, a wszyscy będą siedzieć grzecznie i się na to godzić – syczy. – Czemu chciałaś,

żebym poprowadził tę sprawę, Emmy?

– Ja...

– Powiem ci czemu – mówi. – Chciałaś, żeby to był ja, bo wyobrażałaś sobie, że możesz mi wleźć na głowę i będziesz robiła, co ci się żywnie spodoba, prawda?

– Nie. Szczerze mówiąc, chciałam cię wciągnąć, bo wiedziałam, że dyrektor cię słucha i że jesteś jednym z najlepszych agentów w...

– Och, daj spokój, nie bierz mnie pod włos, dobrze? Bądź ze mną szczerą. Przynajmniej tyle mi się należy, nie sądzisz? Chciałaś mieć kogoś, kim możesz manipulować, i wiedziałaś, że świetnie się do tego nadaję. – Unosi palec i grozi mi nim przed nosem. – Ale wiesz co? Po raz ostatni udało ci się mnie wykorzystać.

– To zabójca ma dłużej grasować na wolności, bo ty nie możesz przeboleć, że nie chciałam za ciebie wyjść?

Books cofa się i aż usta otwiera z wrażenia.

– Naprawdę, niezła jesteś.

No tak, to był cios poniżej pasa.

– Przepraszam... Przykro mi, Books. Nie to chciałam powiedzieć.

Books zaciska zęby, nie patrzy mi w oczy.

– Jeśli w ciągu pięciu minut nie opuścisz tego szpitala, każę cię aresztować.

– Panie agencie! – Korytarzem biegnie do nas jeden z funkcjonariuszy. – Panna Laney mówi, że jest gotowa porozmawiać jeszcze trochę.

– Świetnie – podchwytuje Books, wdzięczny za pretekst, by przerwać tę przykrą wymianę zdań.

– Ale ona... no... – Oficer przepraszająco wzrusza ramieniem.

– Ona prosi, żeby przyszła panna Dockery.

Books zwiesza głowę, kręci nią. Po chwili mierzy mnie lodowatym wzrokiem.

– Panna Dockery została zwolniona ze swoich obowiązków przy prowadzeniu tej sprawy.

– Tak jest, proszę pana, ale... – Funkcjonariusz odchrząkuje. – Ona powiedziała, że będzie rozmawiać tylko z panną Dockery.

Books ciężko wzdycha i przeczesuje palcami włosy.

Trudno mi powstrzymać lekki uśmiech.

– A to dziwne – bąkam.

Books ze złością mija mnie i rusza w kierunku pokoju Mary.

– No to chodźmy, nie ma co czekać! – woła do mnie przez ramię.

Rozdział 100

– Wydawał się taki... normalny – mówi Mary Laney.

Jej głos nadal jest schrypnięty. Na nosie ma świeży opatrunek. Sińce wokół oczu są w odcieniach granatu przechodzącego w fiolet i czerń. Chce mi się płakać, jak na nią patrzę.

Znaleźli aluminiowy kij baseballowy Louisville Slugger w piwnicy Mary. Była na nim jej krew. To jego użył Graham, żeby wielokrotnie uderzyć ją w twarz, powodując, że spuchła jak upiorny balon.

Ciekawy wybór jak na Grahama. Kij baseballowy. Co to może oznaczać? Oczywiście nie spodziewałam się, że będzie torturował Mary jak inne swoje ofiary. Nie sądziłam, że spali ją, oskalpuje czy ponacina jej kolana, łokcie i nadgarstki blisko zwojów nerwowych. Ale dlaczego wybrał sobie kij baseballowy? Czemu po prostu nie skorzystał z pistoletu i nie zrobił tego szybko, jednym pociągnięciem spustu?

– To znaczy był trochę dziwny i niepewny siebie – ciągnie Mary – ale wydawało się, że nie skrzywdziłby muchy. Może... czuło się, że jest nie całkiem pogodzony ze sobą. Ale w miarę jak poznawaliśmy się bliżej, stawał się coraz bardziej otwarty. Był delikatny i czuły.

Przy tych słowach patrzy na nas. A przynajmniej tak sędzę, bo odwraca do nas głowę. Jej oczy są tak głęboko ukryte w opuchliznie, że trudno dostrzec ich ruch.

– Wiem, że teraz to brzmi idiotycznie – mówi.

– Wcale nie, Mary – zapewniam. – Winston Graham omamił wiele osób. Był mistrzem. Potrafił przekonywać nieznanym, samotnie mieszkające kobiety, żeby go wpuszczały do swoich domów. To wymaga swego rodzaju talentu.

Mary bierze ze styropianowego kubka kilka drobinek lodu, wkłada je do ust i ssie.

– A jak go poznałam? Powiedział mi, że jest seryjnym mordercą.

– Coś takiego – mówię.

Nie wie, że czytaliśmy o ich pierwszej rozmowie w jednym z wydruków nagrań Grahama. Nie ma pojęcia, że takie zapisy w ogóle istnieją. Books uznał, że poczeka trochę, zanim jej powie.

– To było w barze, w którym pracuję – ciągnie Mary. – On... – Mary unosi rękę do ucha, jakby rozmawiała przez telefon. – Wyglądało na to, że nagrywa sobie coś na takie małe urządzenie. Trzymał je przy uchu jak komórkę. Jakoś to skomentowałam i wtedy on się mną wyraźnie zainteresował. Powiedział, że zabił sporo ludzi. Uznałam to za żart.

– Każdy by tak pomyślał – wtrącam.

Mary opowiada nam o swoich randkach z Grahamem... o randkach, o których już wiemy, ale udajemy głupich. Nie wspomina wszystkich szczegółów, które znalazły się w nagraniach Grahama, ale ogólnie przedstawia to samo. Wieczór, kiedy w przebraniu zakradł się do baru, by przyglądać się jej z daleka („Myślę, że już wtedy powinna mi się zapalić lampka alarmowa”, przyznaje, zanim doda: „Ale to mi pochlebiło. Mężczyźni zwykle nie zwracają na mnie większej uwagi”). Potem któregoś dnia po jej pracy spotkali się na drinka. A później była ta randka w sobotę wieczorem, w tym tygodniu, kiedy Graham zrobił sobie wolne od morderczej hulanki. I leżeli przy kominku, całując się i tuląc do siebie, i po raz pierwszy poruszyli temat poważnego związku.

Rozmowa trwa prawie trzy godziny. Books, który jest najlepszym przesłuchującym, jakiego widziałam – cierpliwy, dokładny – wypytuje o wszystko, co mówili, robili, co Mary czuła, a ona cały czas trzyma mnie za rękę.

– To niewiarygodnie żenujące – mówi Mary na koniec. – Na pewno uważacie mnie za idiotkę.

– Sądzę, że jesteś wyjątkowa – odpowiadam. – On też widział w tobie kogoś wyjątkowego. Myślę, że się w tobie zakochał, Mary. Przecież cię nie zabił, prawda? A wszystkich innych mordował. I nie tylko, Mary. On ich torturował. Niezwykle okrutnie. Ale ciebie nie. Miał wszelkie powody, by cię zabić, ale nie potrafił tego zrobić. Z tobą było inaczej.

– Po prostu miałam szczęście – szepcze Mary.

– Żadne szczęście – oponuje Books. – Uderzał cię aluminiowym kijem baseballowym. Łatwo mógł cię zabić, gdyby chciał. Chcesz w to wierzyć czy nie, ale choć masz tak poważne obrażenia twarzy, on nie uderzył cię nawet w części tak mocno, jak byłby w stanie. Nawet jeden solidny zamach mógłby spowodować nieodwracalne uszkodzenia mózgu. Myślę, że się wahał.

– Żartujesz chyba – bąka Mary.

– Nie. Coś podobnego widuje się przy samobójstwach. Kiedy ludzie podcinają sobie żyły. Z początku nie są pewni, trudno im to zrobić, i widać drobne, powierzchowne nacięcia, zanim zdobędą się na odwagę i naprawdę otworzą żyłę. To się nazywa „nacięcia wahania”. I tutaj też coś takiego było.

– Cios wahania – wtrącam.

– Mniej więcej tak – potwierdza Books. – Powiedział sobie, że powinien cię zabić, ale za każdym razem, kiedy brał zamach, coś go hamowało. Bo w głębi duszy nie był w stanie cię zabić. Za bardzo mu na tobie zależy.

Mary śmieje się z goryczą.

– Muszę przyznać, że wiele rzeczy chodziło mi po głowie, kiedy uderzał mnie tym kijem, ale na pewno nie to, że mu naprawdę na mnie „zależy”.

Jednak Books ma rację. I dlatego Graham posłużył się kijem baseballowym, a nie pistoletem czy nożem. Wciąż, do samego końca, nie mógł podjąć ostatecznej decyzji, czy chce ją zabić.

– No i... co teraz? – pyta Mary.

Books kiwa głową.

– Spędzisz dzień, dwa w szpitalu. Będziemy cię pilnować. Kiedy cię wypiszą, powinniśmy objąć cię ochroną. Przenieść cię w jakieś bezpieczne miejsce.

Mary przyciska dłoń do piersi.

– Sądzicie, że on wróci?

– Trzeba brać pod uwagę taką ewentualność. Ale nic się nie martw. On nie dowie się, gdzie jesteś. Po prostu musimy być ostrożni. Załatwimy ci ochronę.

– Kogo? Jakichś agentów FBI?

– Albo funkcjonariuszy federalnych. Profesjonalistów.

Mary opuszcza głowę, przygnębiona.

- Nie chcę się chować. Nie dam rady.
- Tylko do czasu, aż go złapiemy – uspokajam ją.
- Nie wolno nam ryzykować – dodaje Books. – On może zmienić zdanie i uznać, że jednak cię zabije. Albo zatęskni za tobą i będzie próbował gdzieś cię zabrać.

Mary kręci głową i bierze głęboki wdech. A potem patrzy wprost na mnie.

- Zgodzę się, jeśli ty pojedziesz ze mną – mówi.

Rozdział 101

Coś jest nie tak. Coś tu jest nie tak.

Siedzę w szpitalnym bufecie, czytając po raz kolejny kopię wydruków „Sesji Grahama”, i staram się dokopać do źródła tego nieokreślonego niepokoju. Denny i Sophie, którzy dołączyli do nas w Pensylwanii, są tu ze mną i przeglądają swoje egzemplarze. To niewiele, ale na razie to jedyny trop, jak mamy.

– Dlaczego zaczął te sesje dopiero w zeszłym miesiącu? – pytam. – W sierpniu. Ze swoją serią morderstw ruszył we wrześniu dwa tysiące jedenastego roku, ale z nagraniami dopiero jedenaście miesięcy później?

Denny bierze wykałaczkę i zaczyna ją gryźć.

– Kto wie? Może uznał, że jego błyskotliwość powinna zostać uwieczniona.

Kręcę głową.

– Jest zbyt metodyczny. Zaplanowałyby te sesje razem z serią zabójstw. Sądzę, że rzadko robi coś spontanicznie. Świadczą o tym jego działania i te przechwałki: że najważniejsze to dyscyplina, przygotowanie i precyzja wykonania.

– A więc pytanie, co wywołało tę decyzję – odzywa się Sophie. – Co się stało w sierpniu tego roku, co było inaczej niż wtedy, gdy zaczynał swoje mordercze szaleństwa we wrześniu dwa tysiące jedenastego roku?

– Nie zauważyliśmy, żeby w jego życiu zdarzyło się ostatnio coś traumatycznego – wtrąca Denny. – Jego rodzice zmarli jakieś dziesięć lat temu. Nie miał rodzeństwa. Nie miał żony ani dzieci. Nawet dziewczyny, o której byśmy wiedzieli... przynajmniej do czasu Mary, oczywiście. Żadnych ukochanych, żadnych związków. Nie miał nawet kota ani psa.

Myślę o sierpniu. Nie znajduję nic specjalnego, jeśli chodzi o jego metody zabijania w tym czasie. Ja sama prowadziłam wtedy swoje badania, wysyłałam maile do Dickinsona i wyklócałam się z policją w Peorii w Arizonie...

– Zaraz... – Aż podskakuję na krześle, przy okazji rozlewając kawę ze styropianowego kubka Denny’ego. – Chwileczkę. Sierpień... to wtedy wyszła na jaw moja szarpanina z policją w Arizonie. To wtedy gazeta w Peorii opublikowała artykuł o tym, że uważam pożar, w którym zginęła Marta, za podpalenie. I nie zapomnieli zaznaczyć, że pracuję dla FBI.

– On mógł to czytać – przyznaje Denny.

– Oczywiście, że czytał – stwierdzam. – Trzymał rękę na pulsie. Nie ma wątpliwości. A więc przeczytał to i pomyślał, że teraz FBI zacznie mu deptać po piętach.

A tak naprawdę moja firma wtedy się mnie pozbyła i odrzucała moje teorie, póki nie pojawił się Books i nie pomógł mi przekonać dyrektora. Ale Graham nie mógł tego wiedzieć. Pomyślał, że FBI wkrótce zacznie ogólnokrajowe śledztwo.

– Po raz pierwszy Graham poczuł się zagrożony – mówię.

– I dlatego zaczął te swoje sesje? – pyta Sophie. – Po co? Żeby na wszelki wypadek, gdyby go złapali, wyjaśnić światu, co zrobił?

Krzywię się. To nie wydaje się logiczne. W naszych czasach seryjny morderca, taki jak on, stałby się bohaterem mediów. Nawet gdybyśmy go aresztowali, każda gazeta, każda stacja telewizyjna biłaby się o to, żeby dać mu głos, zdobyć specjalny materiał pod złowieszczym tytułem w rodzaju: „Umysł drapieżcy”.

– Wiecie, co myślę? – Stukam w strony wydruku przede mną.

– Myślę, że to fałszywy trop. W tym wszystkim jest jakieś kłamstwo. Coś, żeby nas zmylić, gdybyśmy podeszli zbyt blisko. Czemu nie? Jeśli FBI jest na twoim tropie, to chyba niezły pomysł zostawić zapiski, które dostarczą im mylących informacji?

– Pytanie, na czym polega to oszustwo – rzuca Denny.

– Bardzo interesujące pytanie. – Books podchodzi do naszego stolika. – Możesz się nad tym zastanowić w miejscu, gdzie będziesz towarzyszyć Mary Laney.

Wydaje się, że w bufecie robi się dużo chłodniej. Sophie i Denny przepraszają i szybko wychodzą. Books nie siada, więc ja decyduję się podnieść i stoję naprzeciwko niego, po drugiej stronie stolika.

– Jutro ruszacie – oznajmia Books. – A tak przy okazji, Denny jedzie z wami.

– Dobrze, świetnie. Będę robiła dalsze rozeznanie. Będę do ciebie mailować albo dzwonić...

– Maile wystarczą – ucina. Nawet na mnie nie spojrzysz. Pocięra obiema dłońmi oparcie krzesła, a potem jakby je poklepuje. – W każdym razie powodzenia i bądź...

– Och, Books, przestań. Wiem, że złamałam wtedy zasady, ale przecież nikogo nie zastrzeliłam, nie chciałam cię urazić, to nie było nic przeciwko tobie. Próbowалам komuś pomóc. A ty zachowujesz się tak, jakbym plunęła ci w twarz.

Nadal nie patrząc mi w oczy, Books z zakłopotaniem kręci głową.

– Ja po prostu już z tobą skończyłem, Emmy. W każdym sensie. Proszę bardzo, wyślij mi maila, jeśli na coś wpadniesz. Nie zamierzam zakazać ci poszukiwań. Ale nie uważam cię już za członka zespołu prowadzącego to śledztwo i nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Szczerze mówiąc, nie mam już ochoty z tobą rozmawiać ani cię widzieć.

Cofam się. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo go zraniłam. I jak bardzo go to zabolowało.

– Wyraziłem się dość jasno, Emmy? Rozumiemy się?

Macham ręką.

– Dobrze, dobrze, w porządku.

Books kiwa głową i odchodzi.

– Books! – wołam. – Jeśli to może mieć jeszcze jakies znaczenie, przepraszam, naprawdę mi przykro.

Przystaje, ale nie ogląda się za siebie.

– Nie, to nie ma żadnego znaczenia – mówi. – Już nie.

Rozdział 102

Kiedy następnego wieczoru widzę Mary Laney, po raz pierwszy ma na sobie własne ubrania, a nie szpitalną koszulę. Tak wygląda lepiej, mimo że jej twarz jest zasiniona i opuchnięta, a nos przykrywają teraz ogromne łubki.

– Gotowa? – pytam. – Za parę minut nas zabiorą.

– Czułabym się lepiej, gdybym nie wyglądała jak człowiek słoń.

Przynajmniej potrafi z tego żartować.

Wychodzę z pokoju. W głębi korytarza Denny z kimś rozmawia.

– O, Emmy – zwraca się do mnie, wskazując na tego drugiego.

– Pozwól, że przedstawię ci Jima Demetria. Jim, to Emmy Dockery.

Jim Demetrio jest tylko ciut wyższy ode mnie, co oznacza, że ma niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu. Mężczyzna w średnim wieku, mocnej budowy. W koszulce polo i czapce z daszkiem.

– Ach, więc to jest słynna Emmy Dockery – mówi – która rozszyfrowała tę sprawę.

Ściskam mu dłoń.

– Nie przesadzajmy.

– No, w każdym razie ta, która odkryła, że taka sprawa w ogóle istnieje. Jasne. – Uśmiecha się do mnie. – Wyrobiłaś sobie niezłą markę.

– Jim jest emerytowanym agentem FBI – informuje mnie Denny. – Jeszcze jakieś półtora roku temu pracował w oddziale w Pittsburghu. To jeden z najlepszych znanych mi profilerów seryjnych zabójców. Ale postanowił przejść do sektora prywatnego i zbija kokosy, prowadząc doradztwo w sprawach ochrony.

Fajnie. Nadal zastanawiam się, dlaczego ściskam mu dłoń.

– Zgłosił się na ochotnika do obławy.

– Och, świetnie, bardzo dziękuję – mówię.

Wokół rancza Winstona Grahama, w hrabstwie Elk, kilometrami ciągną się gęste lasy, a my przeszukujemy je centymetr po centymetrze, sprawdzamy, czy nie ma tam ukrytych zwłok, skrytek z bronią albo czegoś innego. Przyjmujemy ochotników, jeśli tylko znajdą się chętni.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada Demetrio. – Fajnie znów zakasać rękawy i wziąć się do tej roboty.

– Jim zaoferował nam swój domek w Oregonie – mówi Denny.

Ach, tak. Teraz rozumiem. Wysyłają Mary Laney do chaty w Oregonie, nad Pacyfikiem, w miasteczku o nazwie Cannon Beach. Najwyraźniej chata należy do Demetria.

– Idealne miejsce – stwierdza Demetrio. – Sam zakładałem alarmy. Domek stoi na szczycie wzgórza, nie da się tam dotrzeć inaczej jak brukowanym podjazdem z bramą. Wasz świadek będzie całkiem bezpieczny. – Rysuje poziomą linię w powietrzu. – Całkowicie.

– W każdym razie bardzo dziękuję – powtarzam.

– Mogę o coś spytać? – Demetrio nachyla się do mnie. – Jak do tego doszłaś? Co sprawiło, że zaczęłaś łączyć te przypadki?

Wzruszam ramionami. Naprawdę nie mam teraz czasu wdawać się w wyjaśnienia. Ale w końcu ten facet użycza nam swojego domu i pracuje jako wolontariusz przy poszukiwaniach. Odrobina profesjonalnej solidarności i dobrej woli może być na miejscu.

– Dane – odpowiadam. – Schemat zbrodni. Każdy przypadek z osobna nie budził podejrzeń. Mistrzowska robota. Ale jak się popatrzyło na nie razem, widać było schemat.

– Mistrzowska robota – powtarza. – Myślisz, że jest mistrzem?

– Raczej potworem. Ale bardzo sprytnym.

Demetrio mruży lekko oczy.

– Może lepiej, żebyś nie myślała o nim jak o potworze. To istota ludzka, która ma swoje powody, żeby robić to, co robi, choćbyś uważała je za nie wiadomo jak pokręcone...

– On jest potworem – oświadczam stanowczo.

Demetrio odpuszcza.

– Skoro tak mówisz...

Patrzę na Denny'ego.

– Ona jest gotowa.

– O, to na mnie już pora. – Demetrio wycofuje się w kierunku windy i naciska guzik. – Miło było cię widzieć, stary druhu. Słuchaj, mam w tamtych stronach coś do załatwienia. Może do was wpadnę?

– Koniecznie – mówi Denny. – Dzięki raz jeszcze, Jimmy. Demetrio patrzy na mnie przez chwilę.

– A co ten potwór zrobi teraz, Emmy? Co przewidujesz?

Wycieram prawą dłoń w dżinsy. Słysząc dzwoneczek nadjeżdżającej windy.

– Przewiduję, że go przygwoździmy – stwierdzam.

Przez jego twarz przebiega kpiący uśmiešek.

– Nie wolno go nie doceniać – rzuca, po czym znika w windzie.

Rozdział 103

Kiedy lądujemy na lotnisku w Portlandzie, wita nas eskorta FBI i padający równo deszcz. Mary, Denny i ja wysiadamy z samolotu i biegniemy do jednego z samochodów. Kierowca – o nazwisku Getty, agent FBI z oddziału w Pittsburghu – rusza z piskiem opon.

Mary patrzy w zalane deszczem okno.

– Czy na pewno nikt nie wie, gdzie jesteśmy? – pyta mnie.

Spoglądam na nią.

– Byliśmy bardzo ostrożni. Wie o tym miejscu tylko czwórka agentów z naszej obstawy, ty, ja i agent Bookman.

– Na pewno? Nikt więcej?

– Nikt. Spróbuj się odprężyć. Nie lubisz czekać z założonymi rękami, co?

– Och, nie – przyznaje. – Tata mówił, że nie potrafię usiedzieć w miejscu, zawsze musiałam znaleźć sobie coś do roboty. Mówił, że jestem pracowita jak pszczołka. Kiedy przechodził obok mnie, wydawał taki dźwięk... bzz... bzz.

Nasz samochód zatrzymuje się przed bramką biletową przy wyjeździe z lotniska. Mary odwraca się od okna i opuszcza głowę. Usiłuje zrobić to naturalnie, ale wyraźnie widać, że się boi.

To trochę dziwne patrzeć, jak kuli się w ten sposób, bo robi wrażenie silnej. Jest nieco wyższa ode mnie, umięśniona, jakby uprawiała kolarstwo albo biegi. (Ćwiczenia, jak mi powiedziała, pomagają jej w walce z nałogiem, zastępują jej frajdę z picia alkoholu). Ma jasnobrązowe włosy, proste, przycięte równo tuż poniżej uszu. Ze względu na jej obecny stan nie umiem stwierdzić, czy jest ładna. Widać tylko opuchniętą, zasinioną twarz, a nos zakrywają łubki. Bandaże, które je podtrzymują, wyglądają jak pas startowy pośrodku jej twarzy.

Deszcz bębni o dach auta, kiedy wyjeżdżamy na szosę. Mam nadzieję, że Mary trochę się uspokoi, może nawet zdrzemnie.

– Nikt inny nie wie, gdzie jesteśmy? – pyta znowu. – Tylko tych czterech z ochrony, agent Bookman, ty i ja?

– Tak, Mary. Słowo.

– On i tak by mnie nie szukał, prawda?

Patrzy na mnie wyczekująco.

– Nie sądzę, żeby tego próbował – mówię. – Ale lepiej zachować ostrożność.

Z lewej strony mija nas jakiś SUV i Mary znów się kuli, zakrywając twarz. Tym razem dostrzega, że to zauważyłam.

– Przepraszam – mówi.

– Nie wpadaj w paranoję. – Kładę dłoń na jej ramieniu. – Nikt nie wie, że tu jesteś. Słowo.

Wjeżdżamy do Cannon Beach, w stanie Oregon, pod osłoną mroku, jak było to planowane. Jedziemy wąską ulicą, w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów od wybrzeża Pacyfiku. Opuszczam szybę i wdycham słone, wilgotne powietrze. To nie wakacje, ale przez chwilę czuję się tak, jakbym właśnie na nich była. Mijamy jakieś ośrodki wczasowe, potem różne sklepiki, restauracje i stoiska z pamiątkami dla turystów. Wszystko zamknięte i ciemne o trzeciej w nocy.

Mary robi się coraz bardziej nerwowa, w miarę jak zbliżamy się do celu naszej podróży. Zsuwa się na siedzeniu, żeby nikt z zewnątrz jej nie zobaczył, choć o tej porze nie ma tu nikogo. Ale mnie łatwo myśleć racjonalnie. To nie ja mam wymalowaną tarczę strzelniczą na plecach.

Potem skręcamy, oddalając się od oceanu i oświetlonych wystaw sklepowych. Jedziemy wąską serpentyną, aż napotykamy czekający na nas samochód, o który stoi opartych dwóch mężczyzn. Prostują się na nasz widok. Domyślam się, że to funkcjonariusze z Portlandu.

Mary wyciąga dłoń, a ja ujmuję ją i splatam palce z jej palcami.

– Tu będziemy bezpieczne – mówię uspokajająco.

Nagle brama, której wcale nie zauważyłam, otwiera się do środka. Policjanci wsiadają do swojego auta. Ruszamy za nimi stromym, krętym, brukowanym podjazdem i docieramy do chaty.

Oba samochody zatrzymują się na wysypanym żwirem parkingu od strony zachodniej. Reflektory oświetlają dom,

a w ich promieniach tańczą owady, to pojawiając się, to niknąc. Chata jest z drewna wiśniowego, parterowa, obszerna. Otacza ją małe podwórko, ale dalej wszędzie dokoła widać tylko ciemność, pustkę. Wiem, że to urwisko, choć teraz, w nocy, nie mogę go zobaczyć. Jesteśmy na szczycie wzgórza. Tak jak mówił Demetrio. Żeby się tu dostać, trzeba byłoby wjechać dróżką, prosto w ramiona agentów federalnych, albo wspiąć się po zboczu góry.

Policjanci wysiadają, by sprawdzić dom, zanim my tam wejdziemy. Denny i facet prowadzący nasz samochód, agent specjalny Norm Getty, czekają cierpliwie.

– Ten dom ma nowoczesne zabezpieczenia – mówi Getty. – Są drzwi frontowe i tylne, jedne i drugie z zasuwami. W razie włamania uruchamia się alarm. Syrena wyje tak, że słyhać ją na całym Pacyfiku. – Wskazuje na chatę. – Wszędzie są kamery i czujniki ruchu, dodatkowa kamera przy bramie, a obraz z nich wszystkich widzimy tutaj. – Odwraca się do nas i pokazuje nam iPada: monitor wideo, ekran podzielony na cztery okienka, przedstawia obrazy z różnych kamer. – Jest tu absolutnie bezpiecznie – zapewnia.

– Wsiadamy – mówię do Mary. – Wszystko w porządku.

Przesuwam się na jej stronę, wciąż trzymając jej dłoń. Stajemy w łagodnym, wilgotnym powietrzu, a lekka bryza przynosi słony zapach oceanu. Tak naprawdę jesteśmy wysoko na wzgórzu, ale ma się wrażenie, że to bardziej wyspa niż góra. Posiadłość, na jakiej się znajdujemy, to może tysiąc metrów kwadratowych, może mniej, większość zajmują dom i wysypane żwirem miejsce do parkowania. Trawnik dokoła jest raczej symboliczny, a dalej, za ogrodzeniem, zaczyna się urwisko. Podchodzę do płotu po wschodniej stronie i spoglądam w dół, w nicość.

– Nie ma tam nic, tylko grube konary i liście – mówi agent Getty. – Musiałby się wdrapać na górę i pokonać przeszkody naturalne, które są nie do przebycia. A nawet gdyby mu się jakoś to udało, musiałby jeszcze przejść przez ten półtorametrowy płot zakończony drutem kolczastym. To niemożliwe, moje panie. Niemożliwe. Jedyna droga do tej chaty prowadzi podjazdem, gdzie są nasze warty, kamery i czujniki

ruchu, które ostrzegą nas o jego obecności na długo przed tym, zanim zdoła do was dotrzeć.

Mary kiwa głową.

– Wygląda na to, że tu jest bezpiecznie – przyznaje.

Ściskam jej dłoń.

– Jak najbardziej – potwierdzam w nadziei, że przekonam nas obie.

Rozdział 104

Dom jest obszerny i nowoczesny w środku. Duży salon z drewnianą podłogą, dalej toaleta, przyzwoitej wielkości kuchnia z laminowanym blatem, a na tyłach dwie sypialnie z łazienką pomiędzy nimi.

Pokój, w którym będę mieszkać, ma dwa jednakowe łóżka, przypuszczam, że dla córek Demetria. Nie wiem nic o jego życiu, ale stojące na biurku zdjęcia przedstawiają Jima w młodszym wieku, z żoną i dwiema dziewczynkami. Wszyscy machają do obiektywu z pokładu łodzi. Na innym zdjęciu cała czwórka ubrana jest bardziej oficjalnie – najpewniej zrobiono je podczas jakiejś uroczystości. Mam spać w pokoju, który należy do kogoś innego, co zawsze mnie krępuje, bo czuję się jak nieproszony gość.

Potem spotykamy się wszyscy w salonie, który jest urządony jak w domku myśliwskim. Na ścianie głowa jelenia, pośrodku na podłodze skóra niedźwiedzia, a nad komodą rogi, na których wiszą filiżanki.

– To powinno się sprawdzić – mówi Denny.

Reszta funkcjonariuszy – Getty i dwóch policjantów – opracowuje plan na noc. Dwóch agentów zostanie w samochodzie na zwirowym placu. Jeden może spać, kiedy drugi czuwa. Drugie auto zaparkują na początku podjazdu i kolejna dwójka będzie się tak samo zmieniać na warcie. Jedni i drudzy będą mieli iPada z odbiorem obrazu ze wszystkich kamer i sygnału z czujników ruchu.

Denny wręcza nam obu, Mary i mnie, małe urządzenia, przypominające pilota przy kluczykach do samochodu, tyle że tu jest tylko jeden czerwony przycisk.

– W razie zagrożenia naciskacie guzik – mówi – a my natychmiast odbieramy alarm.

W razie zagrożenia. Te środki ostrożności mają dodać nam otuchy, ale samo napomknięcie o tym działa na nas wręcz

odwrotnie. Przycisk alarmowy przyda się nam tylko wtedy, gdyby Winston Graham jakimś cudem, pomimo wszystko, zdołał złożyć nam wizytę.

W pokoju zapada głucha cisza.

I nagle odzywają się dzwonki, głośny mechaniczny terkot. Denny ogląda się za siebie. Agent Getty wyciąga broń. Mnie serce o mało nie wyskoczy z piersi, rzucam się do Mary i obejmuję ją.

Tymczasem w wiszącym na ścianie zegarze otwierają się małe drzwiczki. Wyskakuje z nich ptaszek i cztery razy powtarza: „kuku!”. Po czym znów znika w środku.

Jest czwarta nad ranem.

– Jezu – sapie Getty, chowając pistolet do kabury.

Wszyscy oddychamy z ulgą. Kukułka to żadne zagrożenie. Prawdopodobnie ma mocne alibi na czas wszystkich morderstw.

Ale pokazała, jak bardzo stargane mamy nerwy. I że mimo tych wszystkich zapewnień, jak to jesteśmy tutaj bezpieczni, nikt nie jest tak do końca o tym przekonany.

Rozdział 105

Budzę się ze snu, koszmaru, w którym rzucam się do okna, by uciec przed płomieniami ogarniającymi łóżko. Ocieram lepki pot z czoła i siadam. Kawa. Czuję zapach dobrej kawy.

Wychodzę z pokoju i mijam sypialnię Mary. Drzwi są przymknięte, ale nie zamknięte na klamkę. Przez szparę widzę, że Mary siedzi na łóżku, więc pukam i tym samym popycham drzwi.

Na szafce nocnej stoi szereg słoiczków z tabletkami. To leki przepisane przez lekarza. Wiedząc, że może będzie musiała przez dłuższy czas tkwić na jakimś pustkowiu, dał jej zapas, który wystarczy nawet na kilka miesięcy. Środki przeciwbólowe, uspokajające i nasenne.

Siedzi na kołdrze, oparta o poduszki. Ma wyprostowane nogi i coś między nimi trzyma. Coś, nad czym pochyła się i na co patrzy... w każdym razie, póki mnie nie dostrzeże.

Na mój widok gwałtownie się prostuje. Jej twarz jest co najmniej tak samo spuchnięta jak wczoraj, a może nawet bardziej, i nadal zasiniona.

– Nie chciałam... – zaczynam.

Mój wzrok wędruje do tego przedmiotu i nagle widzę, co to jest, długie i cylindryczne. To nie żaden lek przepisany w szpitalu. To alkohol. A konkretnie butelka wódki Grey Goose.

– Nie piłam – rzuca szybko Mary.

– Ale myślisz o tym.

Odwraca ode mnie wzrok i przez dłuższą chwilę nie odpowiada. Mam wrażenie, że po prostu czeka, żebym wyszła.

– Ja już... nie wiem, czy dam radę – mówi. – Nawet nie chce mi się otworzyć oczu i mierzyć się z kolejnym dniem. Przewyciężyłam tyle problemów i byłam z siebie taka dumna. Ale coś takiego. Żeby coś takiego... – W zamyśleniu kręci głową. – Mnie naprawdę na nim zależało. Wiem, że to idiotyczne, ale...

– To wcale nie jest idiotyczne, Mary...

– Straciłam pierwszego faceta, którego uznałam za uczciwego i szlachetnego, a na dodatek muszę żyć w strachu, że on może mnie okaleczyć i torturować... i ze świadomością, że jestem taka potwornie głupia, bo wpuściłam tego człowieka do swojego życia i nie zorientowałam się, że on...

– Mary, przestań...

– Ale wiesz co? – Pokazuje mi butelkę. – Wypiję ją do dna i nie będę już musiała o tym wszystkim myśleć. Zapomnę o wszystkim.

Podchodzę i siadam naprzeciw niej na łóżku.

– Ale ze mnie dziwadło, kompletna wariatka! – krzyczy. – Jak można zakochać się w seryjnym mordercy? – Ukrywa twarz w dłoniach.

Dotykam jej ręki i daję jej czas. Po chwili bierze głęboki wdech i wydaje z siebie jęk.

– Wiesz, ja właściwie przez całe swoje życie czułam się dziwadłem – mówię. – Moja siostra, Marta? Była moją bliźniaczką. Ale dużo ładniejszą ode mnie. Przypominała naszą mamę. Piękna, wesoła, lubiana. Ja byłam tyczkowatym mołem książkowym, który zna na pamięć pierwiastki. Zajmowałam się takimi problemami jak ochrona środowiska czy prawa zwierząt, kiedy ona hasała w zespole cheerleaderek albo organizowała zjazd absolwentów. Zawsze uważałam się za pomyłkę. Jak zepsuty owoc, który się odrzuca.

Mary zerka na mnie przez palce, po czym opuszcza dłoń.

– Dla mnie nie wyglądasz na dziwadło. I nie sądzę też, żeby agent Bookman uważał cię za dziwadło.

– No wiesz... – Unoszę ręce. – Ja się nie skarzę. Nauczyłam się z tym żyć. Ale zawsze tak okropnie zazdrościłam Marcie. A ona była dla mnie taka dobra. I to jest w tym najbardziej nienormalne. Kochała mnie jak szalona. Zrobiłaby dla mnie wszystko. A ja w zamian tylko stale miałam do niej pretensje. A teraz dałabym wszystko... – Kręcę głową i ciężko wzdycham. – Chodzi mi o to, że dziwactwo to sprawa spojrzenia, Mary. Nie jesteś wariatką. Udało ci się pokonać ogromne trudności. Poradzisz sobie i teraz.

Patrzy na mnie. W jej twarzy widzę coś jakby wdzięczność. Pod tym umięśnionym ciałem, które ćwiczyła latami, kryje się samotna kobieta, która wygrała walkę z najgorszym wrogiem

i zawsze trzymała głowę wysoko, ale nie zdołała znaleźć miłości. A gdy pojawił się Winston Graham i myślała, że wreszcie na nią trafiła, dowiedziała się o nim najstraszniejszych rzeczy. Czy będzie umiała się po tym pozbierać, tak jak umiała pokonać alkoholizm?

– Chodź ze mną. – Wyciągam do niej dłoń. – Zrobimy sobie kawę i siądziemy na ganku. Taka ładna pogoda. Ta butelka ci nie ucieknie, jeśli koniecznie będziesz chciała potem wypić.

Podaje mi rękę i obie wstajemy z łóżka. Spada z niego biały miś.

– Masz przyjaciela? – żartuję.

– Och, on już tu był – mówi Mary. – Ale miałam białego misia, jak byłam mała. Całymi latami wszędzie zabierałam go ze sobą. Wiesz, jak go nazwałam? Biały Niedźwiedź.

– Bardzo pomysłowo.

Śmieje się. Znakomicie. Dobry początek.

– Pewnego dnia zostawiłam go w wózku sklepowym. Nigdy więcej go nie widziałam. Przez wiele dni byłam niepoczyszona. Potem, latami, kiedy tylko szłam do supermarketu, wypatrywałam Białego Niedźwiedzia. Zmuszałam tatę, żeby pytał kierownika, czy ktoś go nie znalazł. Ułożyłam sobie w głowie całą historię, jak to jakaś miła dziewczynka trafia na misia, zabiera go i się nim opiekuje.

– To bardzo smutna bajka. – Biorę ją pod ramię. – No, może nie jestem Białym Niedźwiedziem, ale zawsze będę twoją przyjaciółką.

– Mówisz serio? – pyta ostrożnie.

– Słowo – mówię. – Przysięgam ci, jak dziwadło dziwadłu.

Rozdział 106

Smażę jajecznicę i wrzucam grzanki do opiekacza. Mary siedzi na werandzie i pije kawę z Dennyem Sasserem. Nie słyszę, co mówią, ale widzę ich. Wygląda na to, że Mary czuje się lepiej, jest bardziej ożywiona. Chyba nawet przez chwilę się śmiała.

Denny jest w tym doskonały. Ma w sobie coś z dobrego dziadziusia. Jednocześnie to bystry śledczy, z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem, człowiek, którego my wszyscy dość długo nie docenialiśmy. A przecież gdyby nie Denny, nie wpadlibyśmy na to, że nasz obiekt może mieszkać w Pensylwanii. Denny miał w nosie moje cenne dane, zdał się na zdrowy rozsądek i doprowadził do przełomu w śledztwie.

Łapię filiżankę i dołączam do nich na werandzie.

– Śniadanie gotowe, jakbyście chcieli – mówię.

– Cudownie! – woła z entuzjazmem Denny, trochę za dużo ożywiony i radosny o tej zbyt wczesnej jak dla mnie porze.

Włosy Mary są jeszcze potargane po śnie. Ma na sobie strój do biegania – koszulkę i szorty – choć nieprędko znów zacznie biegać. Ale w sumie wygląda o niebo lepiej niż pół godziny temu. Domyślam się, że tak już jest z uzależnionymi – wieczna kolejka górską, góra, dół, życie na krawędzi.

Siadam obok nich, w wyłożonym poduchami fotelu, i czuję na twarzy łagodną bryzę, a oni kontynuują swoją rozmowę.

– Czyli uczyłaś się w domu – mówi Denny. Odwraca się do mnie i wyjaśnia: – Mary miała edukację domową.

– To prawda – potwierdza ona. – Mój tata bardzo zdecydowanie przy tym obstawał.

– Był pedagogiem z zawodu?

– O rany, skąd znowu! – Mary macha ręką. – Pracował na nocne zmiany w zakładach mięsnych. Tam nie potrzeba było wysilać głowy. Ale bardzo zależało mu, żebym była dobrze wykształcona, a nie podobał mu się system szkolnictwa

w Allentown. Kupił więc sobie odpowiednie książki i w dzień sam mnie uczył.

Allentown. To przywodzi mi na myśl piosenkę Billy'ego Joela pod takim tytułem, o mieście w Pensylwanii, które boryka się z kryzysem, gdzie wielu traci pracę, a wraz z nią i nadzieję.

– A co z twoją mamą? – pyta Denny.

– Umarła przy porodzie.

– O mój Boże, Mary, przykro mi – mówię.

– No tak. – Wzrusza ramionami. – To trochę dziwne ponieść taką stratę i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. Chodzi mi o to, że właściwie nigdy jej nie poznałam. Zawsze byliśmy tylko tata i ja. Dawaliśmy sobie radę. Nie ma się co użalać.

W każdym razie na pewno było im ciężko. Samotny ojciec, który nie sądził, że będzie wychowywać dziecko bez matki, ale nagle został do tego zmuszony. Potem doszło jeszcze kształcenie w domu. Nietypowe dzieciństwo. Później, na dokładkę, ten alkoholizm, który przekreślił jej plany – miejmy nadzieję, że nie na zawsze. A teraz musi żyć w strachu, ze świadomością, że zakochała się w seryjnym zabójcy.

– Utrzymujesz kontakt z ojcem? – pyta Denny.

– Nie, nie. Odszedł w dwa tysiące jedenastym roku. Zawał. Zmarł natychmiast. – Zaciska wargi. – O, psychoterapeuta na pewno by powiedział, że szukałam silnego mężczyzny, który zastąpiłby mi ojca. Prawda? W takim razie możecie zdać się na mnie w tropieniu seryjnych morderców. Najwyraźniej wiem, jak ich wyłowić z tłumu, co? Naprawdę potrafię ocenić charakter człowieka.

Odstawia kubek z kawą i patrzy na rozpościerający się w dole ocean. Przyda się zmiana tematu, zanim Mary znów wpadnie w czarny nastrój.

– Mary, czy mogłabym cię prosić o pomoc?

Jej wzrok wraca do mnie.

– No pewnie. Co tylko zechcesz.

Po raz pierwszy mówię jej o „Sesjach Grahama”, o tym, że przez ostatnie dwa miesiące Winston Graham nagrywał swoje myśli, również wtedy, kiedy akurat mordował ludzi. Jest przerażona, szczególnie gdy słyszy, że w tym pamiętniku ona ma swoje ważne miejsce.

– Chcesz, żebym to... przeczytała?

– Tak – potwierdzam. – Bo myślę, że jest w tym jakiś fałsz. Że on chce nas zmylić. I być może tylko ty potrafisz to rozszyfrować.

Mary kiwa głową.

– Dobrze – mówi. – Oczywiście, przeczytam.

Odzywa się moja komórka. Esemes od Sophie Talamas: „pilne prywatne”.

– Denny i ja musimy zatelefonować – informuję Mary. – Za moment wracam i zaczniemy pracować nad tymi wydrukami.

– Zostańcie sobie tutaj. Ja pójdę. Muszę się umyć i zmienić opatrunek. – Podnosi się z fotela i muska moją rękę. – Przepraszam za tamto, wcześniej. Już mi lepiej. Naprawdę. Masz dość na głowie, żeby jeszcze martwić się o mnie.

Pewnie i ma rację. To silna kobieta. Muszę jej to przyznać. Kiedy znika w domu, włączam głośnomówiący w swojej komórce i dzwonię do Sophie.

– Cześć – odzywa się Sophie.

– Jestem tu z Dennym. Masz jakąś ważną wiadomość?

– Tak. Winston Graham nie żyje – oznajmia.

Patrzę na Denny’ego, czując, jak kamień spada mi z serca. Czy ona naprawdę powiedziała to, co usłyszałam?

– Przykro mi to mówić – zaczynam – ale dzięki Bogu, że tak się stało.

– Jeszcze nie dziękuj – dodaje Sophie. – Winston Graham umarł ponad rok temu.

Rozdział 107

Pół godziny później Mary wraca na werandę. Ma mokre włosy.

– Co się stało? – pyta, rozglądając się dokoła i usiłując wyczytać coś z naszych twarzy.

Podaję jej łagodniejszą wersję. Po nalocie na dom Winstona Grahama w hrabstwie Elk pobrano jego DNA z włosów na grzebieniu w łazience i przepuszczono przez bazę danych. Odkryto całkowitą zgodność z DNA nieznanego mężczyzny, którego zwłoki wyrzucił Ocean Atlantycki w październiku dwa tysiące jedenastego roku. Biorąc pod uwagę stan ciała, kiedy znaleziono je na brzegu, można przyjąć, że przez co najmniej miesiąc było w wodzie. Co oznacza, że zanim nasz obiekt zaczął swój morderczy rajd od Atlantic Beach na Florydzie, ósmego września dwa tysiące jedenastego roku, wrzucił do oceanu Winstona Grahama.

– Przejął jego tożsamość – mówię. – Graham był samotnikiem, dość zamożnym, więc stanowił idealny cel. Nasz obiekt zabił Grahama, prawdopodobnie po uzyskaniu dostępu do jego kont i tak dalej, a potem używał jego domu jako bazy wypadowej. Gdyby ktokolwiek odkrył ślady jego poszukiwań w internecie, prowadziłyby one do komputera Grahama. Gdyby ktokolwiek wytropił jego samochód, tak jak udało się to nam, oczywiście byłyby to samochód Grahama.

– I dlatego nagrywał te „Sesje Grahama” – dodaje Denny. – Na wypadek gdybyśmy się zbliżali, chciał mieć pewność, że z pełnym przekonaniem będziemy polować właśnie na Grahama. I w tym tkwił cały fałsz. Kłamstwo polegało na tym, że to nie Winston Graham był zabójcą.

– Ale przecież... byłam u niego w domu – bąka Mary, kompletnie skołowana. – Jadłam z nim kolację. Czulałam... czulałam...

– Kimkolwiek był, udawał – stwierdzam. – Ukradł życie Grahama i przekonał cię, że jest Grahamem. Dlaczego miałabyś w to nie wierzyć? Nie było żadnego powodu.

– Chyba zwymiotuję.

– Nic się nie zmieniło – wtrąca Denny. – Nadal taki ktoś istnieje i zamierzamy go złapać. A ty jesteś bezpieczna. Jedyna różnica to jego nazwisko.

Ma rację, w zasadzie.

Ale tak czy owak, znów daliśmy się nabrać. „Winston Graham” wcale nie był Winstonem Grahamem. I nie mamy pojęcia, kim on jest.

Jeszcze raz pokazał, że wyprzedza nas o kilka kroków. Góra to dół, lewe to prawe, a czarne to białe. Znów gonimy własny ogon.

I z jakiejś przyczyny – nieuzasadnionej logicznie, nieopartej na danych empirycznych, które zawsze były dla mnie fundamentem – nie potrafię się pozbyć mrożącego mi krew w żyłach niepokoju, wrażenia, że jesteśmy na tym odludziu mniej bezpieczni, niż się nam zdaje.

Rozdział 108

Ósma wieczorem. Słońce zaszło, pozostawiając na niebie oszałamiającą poświatę z różu, zieleni i pomarańczy – cudowny sorbet kolorów.

A potem to wszystko przygasa i naszą odległą od świata kryjówkę znów otacza nagle – poza zewnętrznymi światłami na posesji – ziejąca czernią otchłań. Ciemności potęgują lęk. Tak jest przynajmniej ze mną. To nasza pierwsza noc tutaj. I pierwsza noc, kiedy już wiemy, że Winston Graham nie jest wcale Winstonem Grahamem.

Chodzę po sypialni, kończąc rozmowę z Sophie (Books uznał, że nie weźmie w niej udziału, bo nadal mnie wyklucza ze śledztwa).

– No dobrze – mówię. – Czyli mamy rachunki płacone kartami Visa i AmEx w Pittsburghu i okolicach. Mamy kilka restauracji i barów. Z czego wyróżnia się jeden, bo bywał tam chyba co niedziela jesienią dwa tysiące dziesiątego roku. Pewnie pił piwo i oglądał mecze.

– A biorąc pod uwagę wysokość rachunków, musiał mieć towarzystwo – dodaje Sophie. – Jakiegoś kumpla. Może to tam nasz obiekt poznał Grahama. I zdobył jego zaufanie, zbliżył się do niego.

– Idź tym tropem – radzę. – Dzwoń do mnie, jak będziesz miała coś nowego.

W Pensylwanii dochodzi jedenasta, więc wątpię, by Sophie coś jeszcze dzisiaj znalazła.

– Mary, idę wziąć szybki prysznic! – wołam.

– Jasne, nie ma sprawy!

Zrzucam ubranie i kładę na toalecie pilota do alarmu z czerwonym guzikiem. Nie znoszę zostawić Mary samej nawet na minutę, choć prawda jest taka, że ona ma czterech ochroniarzy pod domem, a ja i tak niewiele bym pomogła w razie starcia z naszym obiektem.

W tym domu jest dobre ciśnienie wody i jeden z tych wymyślnych modeli pryszniców z regulowanym natryskiem. Dobrze jest odprężyć się przez chwilę, uciec przed wszystkim i pozwolić, by strumienie wody pomasaowały mi szyję i ramiona, zamknąć oczy i podnieść twarz, prosto pod ten siekający deszcz.

Ale zaraz kończę, wraca niepokój i ten nieokreślony ucisk w żołądku. Prędko się wycieram, wkładam porzrzucone ubrania i biorę z toaletki przycisk alarmowy. Ruszam do salonu. Już z holu widzę stertę wydruków „Sesji Grahama”, ale nie ma ani śladu Mary. Gdzie ona może...

– Hej, hej – odzywa się nagle, aż podskakuję z przestraszu.

Jest w kuchni, wlewa zagotowane mleko do papierowego kubka.

Powoli się uspokajam. Przechodząc obok, musiałam jej nie zauważyć. Nawet nie rzuciłam okiem do kuchni. Co ja sobie myślałam – że porwano Mary w ciągu tych dziesięciu minut, kiedy byłam pod prysznicem? Muszę się wziąć w garść. Popadam w paranoję.

Wzdycham ciężko.

I nagle dzwonki, mechaniczne terkotanie i ta cholerna kukułka znów wyskakuje na mnie ze swojej drewnianej budki, nim zniknie na kolejną godzinę.

Jest już dziewiąta.

– Niech to diabli – mruczę pod nosem.

Weź się w garść, Emmy. Mary jest bezpieczna. Jesteśmy na odludziu, o którym prawie nikt nie wie, a dookoła są uzbrojeni, dobrze wyszkoleni funkcjonariusze. Mary jest bezpieczna.

– Przygotowałam dla wszystkich gorącą czekoladę – mówi Mary. – Pomyślałam, że przynajmniej w ten sposób mogę się trochę zrewanżować.

Ustawia na dużym talerzu cztery papierowe kubki z gorącą czekoladą.

– Co robisz? – pytam.

– Zaniosę im czekoladę.

– Nie. Nie wyjdiesz z tego domu.

Mary marszczy brwi.

– Nie mogę wyjść nawet na chwilę, żeby im to zanieść?

– Nie. Ja to zrobię. – Odbieram jej talerz. – Zaraz wrócę.

– Myślisz, że on po mnie przyjdzie, tak?

– Nie, skąd.

– Tak. Tak myślisz. Czuję to. Widzę to po tobie.

– Zaraz wracam, Mary.

Niosąc talerz, wychodzę ostrożnie na chłodne wieczorne powietrze i podaję dwa kubki policjantom siedzącym w aucie na żwirowym parkingu.

– Gorąca czekolada, od Mary – mówię.

– Jak miło – rzuca kierowca, facet o nazwisku McCloud. –
Pachnie wspaniale.

– Z podziękowaniem za wszystko, co robicie – zaznaczam.

Zostawiam talerz na dachu ich auta i z dwoma pozostałymi kubkami w dłoniach schodzę na koniec podjazdu.

Już z daleka widzę, że przy aucie stoi trzech ludzi, nie dwóch.

Rozdział 109

Instynktownie zwalniam, choć to niełatwe schodzić tak po stromej drodze. Wydłużam krok, by nie stracić równowagi i nie rozlać czekolady. Oczy przyzwyczajają mi się do mroku i rozpoznaję trzecią osobę stojącą przy Dennyem Sasserze i agencie Gettym.

Cała trójka śmieje się i gestykułuje. Denny dostrzega mnie i mówi:

– Emmy, pamiętasz Jima Demetria.

Jim Demetrio. Racja. Były agent FBI, który przeszedł na emeryturę jakiś rok temu i mieszka w okolicy Pittsburgha. Ten, który użyczył nam swojego domu. Według Denny’ego jeden z najlepszych profilerów seryjnych zabójców.

– Miło znów widzieć – rzucam.

– Czy chata dobrze was traktuje?

– Jest świetnie – zapewniam. – Jeszcze raz dziękujemy. – Nagle zdaję sobie sprawę, że trzymam w dłoniach bardzo gorące kubki, i stawiam je na bagażniku. – Gorąca czekolada dla naszej straży – oznajmiam.

– Jak ona się trzyma? – pyta Demetrio, wskazując w kierunku domu. – Wasz świadek. Boi się? Denerwuje?

– W porządku – ucinam ostrożnie.

– Hm, to dobrze.

– Hej, a co powiecie na zdjęcie całej waszej trójki? – proponuję, podnosząc smartfona. – Na pamiątkę starych dobrych czasów?

– Och, ja to nie lubię oglądać siebie na zdjęciach – protestuje Demetrio. – To mi tylko przypomina, jaki się zrobiłem stary i sflaczały.

– Stary, sflaczały i bogaty – dopowiada Denny.

– Oj, dajcie spokój. Ustawcie się razem do zdjęcia.

– Neeee, naprawdę muszę już lecieć – oświadcza Demetrio. – Zajrzę do was jeszcze później, chłopaki. Uważajcie na siebie.

Jim Demetrio wskakuje do swojego wypasionego sportowego auta i odjeżdża pełnym gazem.

– Dzięki za gorącą czekoladę – mówi Denny. – Pachnie cudownie.

Ale coś innego pachnie tu gorzej.

Kiedy ruszam z powrotem w stronę domu, czuję przypływ adrenaliny. Dzwonię do Sophie, choć u niej jest już po północy. Ale wątpię, że śpi.

– Cześć – odzywa się.

– Sophie – rzucam bez tchu. – Trzeba bardzo szybko kogoś sprawdzić.

Rozdział 110

Mija kolejna godzina. Patrzę w ciemność przez okno wychodzące na tylny taras. Widać tylko gwiazdy na niebie. Wydawałoby się spokojny, kojący obraz.

– Co się dzieje? – pyta Mary.

Siedzi na kanapie w salonie i czyta swój egzemplarz wydruków nagrań Grahama.

– Nic. Wszystko w porządku.

Ale czuję przez skórę, że coś nie jest w porządku. Moje zmysły są wyostrzone, wychwytyją najdrobniejszy świergot ptaka i szelest liści, każdy podmuch wiatru i każde skrzypnięcie w domu.

– Nie wypilaś swojej czekolady – rzuca Mary. – Wystygła.

– Tak naprawdę jestem uczulona na czekoladę. – Uśmiecham się do niej. – Nie miałam serca ci powiedzieć.

– Och, przykro mi – mówi. – To zaparzę ci herbatę.

– Nie rób sobie kłopotu.

– Żaden kłopot. Pamiętaj, jestem pracowitą pszczołką.

Mary podrywa się z kanapy i idzie do kuchni. Napełnia czajnik wodą i stawia na palniku.

– Dziękuję. Może parę łyków herbaty dobrze mi zrobi – przyznaję.

Ściska moją rękę.

– Na pewno nic ci nie jest? Wydajesz się bardziej spięta ode mnie.

Nic nie odpowiadam, a ona idzie do swojej sypialni.

Znów wyglądam przez kuchenne okno. Obok, w czajniku, woda zaczyna wrzeć. Nie ma sensu denerwować Mary. I tak jest już wystarczająco przestraszona.

Wraca ze swojego pokoju i siada na kanapie, podwijając nogę. Przerzuca kolejne kartki wydruku.

– Pokręcone te nagrania – odzywa się. – Ale nie widzę tu nic, co wyglądałoby nieautentycznie. Poza tymi zachwykami nad

moją urodą.

W oddali słyhać jakiś wystrzał. Może gaźnik przejeżdżającego auta? W innych warunkach w ogóle nie zwróciłabym na to uwagi.

Ostrożnie zbliżam się do drzwi frontowych, kiedy odzywają się dzwonki, mechaniczne terkotanie i stukoty. Wyskakuję w powietrze, a kukułka mówi mi, że jest dziesiąta – po tym, jak o mało nie przyprawiła mnie o zawał.

– Cholera, co za idiotyczny zegar – mruczę. – Sądzisz, że komuś by to przeszkadzało, gdybym zerwała to diabelstwo ze ściany?

Mary chichocze.

– Ja lubię zegary z kukułką. Mieliśmy taki, jak byłam mała. Przypomina moje przezwisko. Ku-ku...

– Naprawdę? Przewisko?

Tak beztrosko, jak tylko potrafię, żeby nie przerazić Mary, popatruję przez okno nad jej głową na żwirowany parking, gdzie wszystko wygląda jak należy, samochód policjantów stoi z pracującym silnikiem, reflektory świecą w kierunku domu.

Wszystko w porządku.

A jednak znów podchodzę do okna w kuchni, bawiąc się w strażnika, mimo że na zewnątrz pełni wartę czterech uzbrojonych ludzi, którzy mają dostęp do obrazu z kamer, którzy potrafią o wiele lepiej sprawdzić się jako ochrona niż ja.

– Takie głupie przezwisko – mówi Mary. – Pamiętasz tę piosenkę *La Cucaracha*?

– Co? – rzucam, rozglądając się dokoła.

I nagle za oknem nad jej głową wszystko zaczyna być nie tak. Górna lampka w policyjnym sedanie zapala się, oświetlając wnętrze. Kierowca, McCloud, się nie rusza, głowę ma opartą na kierownicy. Jego towarzysz siedzi bezwładnie obok, też kompletnie nieruchomy.

A od strony żwirowego parkingu biegnie w kierunku domu mężczyzna.

– Uciekaj, Mary, uciekaj! – krzyczę, kiedy twarz Demetria pojawia się w małym okienku drzwi frontowych i jedno wielkie oko zagląda do środka.

Rozdział 111

Mary kuli się i zsuwa z kanapy na podłogę, gdy Jim Demetrio wali w drzwi.

– To on, Mary, to on! – Wyciągam rękę, żeby uciekała ze mną, ale ona czołga się po podłodze wzdłuż sofy, jakby kryła się przed strzelaniną, i zmierza w kierunku drzwi. – Mary, on zaraz tu wejdzie! – krzyczę. – To on!

Tłumię odruch, by rzucić się do ucieczki. Przecież nie mogę zostawić z nim Mary samej. Otwieram szuflady w kuchni, szukam noża. Słyszę klucz w zamku.

On ma klucz. To jego dom.

„Przyrzekam ci, że pewnego dnia, już niedługo, znów się spotkamy”.

Drzwi stają otworem. Demetrio patrzy na mnie.

– Emmy, gdzie jest...

Mary zrywa się z podłogi i Demetrio dostrzega ją kątem oka. Jednak zanim zdąży się odwrócić, ona wbija mu coś ostrego w szyję. Krew tryska mu z gardła, zdumiony zatacza się do tyłu, upada na drzwi i osuwa się na podłogę.

Mary odskakuje od niego, jakby był radioaktywny.

Podchodzę, żeby sprawdzić, czy on oddycha. Wyrzut adrenaliny wreszcie mnie dopada. Cała się trzęsę. Udaje mi się wydobyć z kieszeni komórkę, ale nie jestem w stanie jej utrzymać i upuszczam ją na podłogę.

Oczy Demetria patrzą martwo. Leży bezwładnie, z nienaturalnie odchyłoną głową. Szyja nadal mocno krwawi, kiedy serce wykonuje ostatnie skurcze, bo nie dotarł do niego jeszcze sygnał, że ma przestać pompować krew.

Mary spogląda na mnie. Jej klatka piersiowa szybko podnosi się i opada, jak u zwierzęcia.

– Wiesz... jak on się nazywa? – pyta.

– Jjim – mówię, kiedy odzyskuję głos. – Jim Demetrio. To właściciel tego domu. Dawniej pracował w FBI, w Pittsburghu.

Znów patrzy na niego.

– Cholera. Nigdy o nim nie wspominałaś.

Opieram dłonie o kolana. Staram się złapać oddech. Na podłodze pika mój telefon. Esmes od Sophie.

Jim Demetrio czysty. Przez większość września przebywał poza krajem, służbowo. W dniu eksplozji w Detroit kupował porsche w Pittsburghu. Nie może być naszym obiektem.

Jim Demetrio... nie jest naszym zabójcą? W takim razie... co tu się dzieje?

Podnoszę wzrok na Mary, która przygląda się Demetriowi z bliska, pewnie chcąc się upewnić, czy nie żyje.

– Powinnyśmy pójść sprawdzić, co z agentami – mówię. – Może jeszcze...

– Nie. – Mary kręci głową, odwraca się i blokuje drzwi frontowe. Nagle staje się o wiele bardziej opanowana i pewniejsza siebie niż dotąd. – Nie, Emmy. Nie będziemy tego robić.

W pierwszej chwili nie rozumiem, jestem zdezorientowana, przytłoczona, oszołomiona i zagubiona.

A potem krew tężeje mi w żyłach.

Mary obserwuje mnie uważnie. Nie mam twarzy pokerzysty. Nigdy nie umiałam ukryć, co czuję. Musi więc zauważyć wyraz mojej twarzy, kiedy prawda spada na mnie jak grad meteorów i wszystko zaczyna układać mi się w całość. Ta metryka urodzenia, na którą trafiłam, kiedy po raz pierwszy próbowaliśmy zlokalizować Mary Laney – ten sam rok urodzenia co Mary, to samo miasto, ale imię „Marty”. Te obrażenia jej twarzy od kija baseballowego, które mogły – a właściwie powinny – być poważniejsze. A teraz jeszcze ta historia, którą zaczęła opowiadać, o *La Cucarachy*.

– To ty jesteś kłamstwem – mówię. – Fałszem w tych zapisach... byłaś ty.

Przygląda mi się, ale nic nie mówi. Oddycha spokojnie. Już nie musi udawać.

– Powinnaś była wypić tę czekoladę – mówi. – Poszłoby łatwiej.

Rozdział 112

Biegnij, Emmy. Uciekaj, to twoja jedyna szansa.

Ale nie mam dokąd. Ona blokuje dostęp do drzwi frontowych i jest bliżej drzwi na taras niż ja. Poza tym czekałam prawie rok, by znaleźć zabójcę mojej siostry. I teraz, kiedy znalazłam, nie będę uciekać.

– Nie skończyłaś swojej opowieści o zegarze z kukułką – mówię. – Pewnie jak byłaś małą, tańczyłaś do piosenki *La Cucaracha*?

Wzrusza ramionami, ale nie odpowiada. Jej zabandażowana twarz i biała koszulka są zbryzgane krwią. Trzyma przy boku swoją broń... chyba skalpel, tak w każdym razie to wygląda – pewnie skradła go ze szpitala.

– Pozwól, że skończę za ciebie – ciągnę dalej. – Tata chciał cię tak nazywać, ale ty nie umiałaś tego wymówić. Powiedziałaś, że jesteś jego małą „ku-ku-lu-cią”. Uchwyciłam to mniej więcej tak, jak było?

Wiem, że tak. Przynajmniej tak opowiadała mi Gretchen Swanson, kiedy siedziałam u niej przy stole w kuchni, po tym, jak zobaczyłam tę porcelanową figurkę karalucha. Tyle że w tamtej wersji tą małą dziewczynką była jej córka, którą niedawno pochowała.

– Joelle Swanson – mówi Mary. – Miła dziewczyna. Bardzo ufna.

Wyciągam z kieszeni pilota do alarmu i naciskam czerwony guzik.

– Twoi przyjaciele na zewnątrz i tak tego nie usłyszą – oznajmia Mary. – Śpią sobie smacznie i długo się nie obudzą.

– A może ten sygnał dociera także do kogoś, kogo nie nafaszerowałaś swoimi tabletkami nasennymi – mówię. – Może trafia do agenta Bookmana. I do lokalnej policji.

Naciskam jeszcze raz, dla pewności.

– Niewykłuczone – przyznaje Mary. – Gdyby tylko w środku była bateria.

Ponownie wciskam guzik i widzę, że czerwona lampka się nie zapala. Alarm jest tak martwy, jak liczne ofiary Mary.

– Kiedy brałaś prysznic – wyjaśnia.

Rozważam swoje słabnące szanse. Mary pomyślała o wszystkim. Sfabrykowała te „Sesje Grahama”, na wypadek gdybyśmy jakimś cudem do niej dotarli. Chciała zrobić z Grahama kozła ofiarnego. I to ostatnie zdanie, które napisała: „Przyrzekam ci, że pewnego dnia, już niedługo, znów się spotkamy” – wiedząc doskonale, że ucieknie, a nam pozostanie wierzyć, że proroctwo się spełniło. To było nawet sprytne, że uparła się, bym to ja pojechała z nią do Oregonu. W ten sposób mogła mieć oko na postępy w śledztwie.

– Możesz mnie zabić, ale nie ma mowy, żeby teraz ci się upiekło. Nareszcie zostałaś zdemaskowana.

– Doprawdy? – Powoli zbliża się do mnie, jak drapieżnik osaczający ofiarę, na lekko ugiętych kolanach, gotowa zareagować na każdy mój ruch. Jest już najwyżej cztery kroki ode mnie. – Rzeczywiście, będę musiała przestać chodzić na mecze futbolowe, a wielka szkoda. Uwielbiam oglądać je na żywo. Ale poza tym, po prostu zniknę. Nie pojmujesz? Morderca odnalazł mnie i porwał – mówi, przybierając niewinny ton. – Nadal jestem ofiarą.

Ma rację. Teraz to widzę. Zabierze iPady agentów. W ten sposób znikną nagrania z kamer monitoringu. Pewnie zostawi trochę śladów swojej krwi w domu, żeby wyglądało na to, że stoczyła tu walkę. Czemu nie? Skoro mogła sama uderzyć się kijem baseballowym i nas oszukać, to przecięcie palca i zostawienie odrobiny krwi nie sprawi jej większego trudu. I pozostanie zwykłą Mary Laney, porwaną ofiarą nieznanego zabójcy.

– I... co dalej? – pytam. – Zaczнеш nowe życie? Przyswoisz sobie wszystkie opisy, historyjki i anegdoty, które wyjawily ci twoje ofiary, wszystko, co kazałaś im opowiadać, kiedy je torturowałaś? Tak to było, co? Twój tatuś mówił do ciebie „bzz-bzz-bzz”? Zgubiłaś białego misia w markecie? Historia z *La Cucarachą* Joelle Swanson? A co z Martą?! – wrzeszczę, aż ślina

tryska mi z ust. – Co z moją siostrą? Co sobie weźmiesz z jej życia?

Mary robi kolejny krok w moim kierunku.

– Wezmę sobie ciebie, Emmy – cedzi przez zęby.

A potem się uśmiecha.

Zrywam się do ucieczki, choć to beznadziejne, ale nie mam już nic do stracenia. Robię zwrot w prawo, rzucam się do drzwi prowadzących na ganek, łapię za klamkę i nacieram na nie ciałem...

Czuję gorące ukłucie skalpela wbijającego mi się między żebra i przeszywa mnie ból, kiedy ostrze wchodzi głęboko i płynnie się wycofuje.

Jej dłoń chwytą mnie za włosy i lecę do tyłu, aż upadam ciężko na podłogę. Przyciskam rękę do rany, leje się ze mnie ciepła krew, ból pulsuje jak ogłuszające echo w mojej głowie.

Mary wolno zbliża się do mnie, bezradnie leżącej na ziemi. Bawi się skalpelem. Z jej lewej strony, a z mojej prawej, odzywa się gwizdek czajnika.

– Ślicznie – mówi Mary. – Woda się zagotowała.

Rozdział 113

Mary obserwuje mnie, w jednej ręce trzyma czajnik z wodą, w drugiej skalpel. Jej mina – ni to uśmiech, ni to grymas – wyraża rozterkę. Mary nie wie, od czego zacząć.

Wolno przesuwam się do tyłu po podłodze kuchni. Jestem w potrzasku. Nie pokonam jej. Nie mogę się z nią mierzyć ani fizycznie, ani pod względem taktyki. Została mi tylko moja głowa, przez którą przepływają teraz upiorne obrazy – moja siostra i wszystkie te okrutne sceny, które oglądaliśmy, zdjęcia z autopsji, ofiary oskalpowane i spalone, pocięte i pokrojone, torturowane ponad ludzką wytrzymałość. Resztką sił przyciskam dłoń do rany na klatce piersiowej. Krew przecieka mi między palcami.

– Marty – mówię drżącym głosem. – Ty jesteś... Marty.

– Aha, widziałaś świadectwo urodzenia? Zastanawiałam się, czy do niego dotrzesz. Tak. Tata chciał mieć syna. Ale trafiłam się ja. To go jednak nie powstrzymało...

Mary przechyla czajnik i strumyk wrzątku oblewa mi udo. Gwałtownie cofam nogę i krzyczę z bólu. Z mojej skóry unosi się para.

– Nie ruszaj się – warczy.

Ślizgam się w tył. Mary nadeptuje mi mocno na stopę, przechylając ją na bok, i łamie mi kostkę, aż słychać upiorne chrupnięcie. Sięgam w kierunku źródła bólu i znów zostaję potraktowana wrzątkiem. Parzy mi rękę, ramię i szyję.

– Mówiłam, leż spokojnie.

Rusz głową, Emmy, musi być jakiś sposób.

– Więc... zabijasz... bo tata zmusił cię... żebyś była chłopcem?

Kolejne chluśnięcie. Woda parzy mi pierś, przylepia do ciała bluzkę. Krzyczę tak głośno, że prawie głuchnę, nie poznaję własnego głosu.

– Tak myślisz? Sądzisz, że chodzi o zabijanie ludzi? Ty, wielka Emily Dockery, błyskotliwa analityczka FBI, nie domyśliłaś się,

czego chcę?

I nagle jest na mnie, kolanami dociska moje ręce do podłogi, nachyla się i mnie obezwładnia. Jedną ręką łapie garść moich włosów i przygważdża mi głowę do posadzki. Unosi skalpel nad moją twarzą, bawi się ze mną.

Rusz mózgownicą, Emmy. Wymyśl coś.

– Chcesz, żeby ci normalni ludzie... poczuli...

– Ci wszyscy mali nudni ludkowie, żyjący sobie bezpiecznie – mówi – nie mają pojęcia, co to znaczy cierpienie. Dopóki nie spotkają się ze mną.

Pierwsze nacięcie trafia na linię włosów – Mary precyzyjnie tnie skórę z lewej strony aż do kości. Krzyczę ile sił w płucach, bezradnie wierzgając nogami. W oczach mi się mieni, jakby ktoś zapalał i gasił światło, aż wreszcie wrzaski, które słyszę, stają się całkiem nierozpoznawalne – to jakieś wysokie zwierzęce piski docierające z oddali, nie moje własne...

Wymyśl coś, Emmy. To twoja jedyna szansa...

Nacięcie kończy mi się przy uchu. Próbuję ruszyć głową, ale Mary trzyma ją w żelaznym uścisku. A ja tracę siły, ręce drętwieją mi pod ciężarem jej ciała, nogi są bezużyteczne, a z boku nadal cieknie mi krew.

– Nieźle – mówi Mary, podziwiając swoje dzieło. – Zwykle mam paralizator, pęta i sole trzeźwiące, a także pełny zestaw narzędzi chirurgicznych, ale wiesz co? Wcale nie poszło tak źle. Czasami artyści tworzą coś najlepszego w trudnych warunkach. Będiesz moim arcydziełem, Emmy.

Zatrzymaj to... zatrzymaj... wymyśl coś...

– Tak naprawdę nie mogę sprawić, żeby poczuli to samo co ja – stwierdza sucho. – Nie mogę wstrzykiwać im przez całe dzieciństwo, dzień w dzień, sterydów, nie zmuszę ich do dźwigania sztang lub do tego, żeby martwili się, czy ich głos w szkole nie zabrzmiał zbyt cicho. Nie mogę im kazać, żeby na treningi piłkarskie przebierali się w toalecie, byle koledzy nie zauważyli ich miejsc intymnych. Ale mogę zrobić to, Emmy.

Mary pociąga moje włosy na linii nacięcia, dla próby, czy puszcza. Rwący ból jest tak nieznośny, że nie mogę... nie mogę nawet... nie mogę...

Idę, Marto. Idę do ciebie, chcę być z tobą, proszę, proszę, pozwól mi do ciebie dołączyć...

– Chciałabyś już umrzeć, co, Emmy? Wolałabyś, żebym uwolniła cię od tej męki. Ale nic z tego. Musisz z tym jeszcze pożyć. W bólu, jak pokraczne dziwadło, póki nie powiem ci, że już koniec. Bądź wdzięczna, że to będzie tylko kilka godzin, a nie trzydzieści siedem lat.

Rusz mózgownicą. Wymyśl coś, cokolwiek...

Jest może jedna rada... Jedyne sposoby...

– Nie ośmielaj się mi umierać – cedzi przez zęby. – Nie teraz. Jeszcze nie skończyłam.

Znów przyciska mi głowę do podłogi. Tym razem prawą dłoń. Skalpel trzyma w lewej, gotowa zacząć nacięcie od prawej strony na linii włosów, by dokończyć dzieła, oddzielić skórę od czoła i zamienić mnie w dziwadło takie jak ona.

Tym razem nie stawiam oporu. Rozluźniam mięśnie. Leżę bezwładnie. Wstrzymuję oddech.

Tym razem myślę.

Rozdział 114

– Nie, nie, nie! – krzyczy. – Obudź się! Obudź!

Zwalnia chwyt moich włosów i pochyla się. Czuję jej gorący oddech na swojej twarzy, gdy wrzeszczy:

– Nie waż się jeszcze umierać! Nie odejdziesz tak...

Zbieram resztki sił i gwałtownie podnoszę głowę, mocno waląc czołem w łubki na złamanym nosie Mary.

Od tego ciosu Mary wyje z bólu, jak ranne, obolałe zwierzę. Odruchowo osłania dłońmi nos. Leci do tyłu i spada ze mnie. Biorę cudowny, głęboki wdech i unoszę się nieco. Krew zalewa mi oczy, cieknie z klatki piersiowej, cały pokój faluje.

Skalpel, mokry od mojej krwi, leży na podłodze. Sięgam po niego. Nie trafiam od razu, bo widzę podwójnie, ale wreszcie go chwytam, gdy Mary wije się z bólu – powtórnie w tym tygodniu ma złamany nos. Tym razem nie zrobiła sobie tego sama.

Próbuję wstać, ale bez powodzenia. Prawą kostkę mam strzaskaną, jestem tak słaba, że nie mogę utrzymać się na nogach. Przed oczami migają mi błyski, a w ich świetle widzę, że Mary jest coraz bliżej. Opatrunek z nosa zniknął. Jej twarz to krwawa miazga. Krzywi się, przerażająco charcząc, i wydaje ohydny pisk.

Już idę, Marto, idę...

Światła wciąż rozbłyskują, dudni mi w głowie. Marta i ja na balu maturalnym, każda ze swoim towarzyszem. Jej – to kapitan drużyny piłkarskiej, mój – kumpel z klubu matematycznego, z dziesięć centymetrów niższy ode mnie. Dzień, kiedy rozpoznawałam ciało Marty w kostnicy. Czas, kiedy jako dziesięciolatki podkradałyśmy mamie papierosy. Kiedy Books przyklął na jedno kolano, wręczając mi diamentowy pierścionek swojej babci.

Kłujący ból między żebrami, wyszczerzone w upiornym grymasie zęby Mary, jej złowrogi pomruk...

A potem na moment wszystko zamiera w bezruchu, Mary i ja patrzymy sobie głęboko w oczy, po czym ona z dzikim rykiem rzuca się na mnie. Ale ja też rzucam się na nią, odpychając się zdrową nogą. Czubek mojej głowy znów rąbnął ją w nos. Wrzeszczy, padając w tył, a ja wskakuję na nią, lewą ręką walę ją w pierś i przygniatam do ziemi.

Mary wymachuje rękami, sięga do mojej twarzy, próbuje wyrwać mi skalpel. Zaczynam tracić równowagę, siły mnie opuszczają. To już. Moja ostatnia szansa.

Moja prawa ręka uderza w dół, skalpel zagłębia się w ciało i kość – i jeszcze raz, i jeszcze, bum, bum, bum. Krew tryska mi na twarz, aż w końcu krzyki Mary cichną.

A potem wszystko robi się ciemne i ciepłe.

Rozdział 115

Kiedy dostrzegam Martę, cała się rozpromienia. Jest młodsza, bardziej wypoczęta, szczęśliwsza. Wygląda jak Marta w swoim najlepszym wydaniu.

Najpierw żadna z nas nic nie mówi. Poruszamy się lekko, płynnie, padając sobie w ramiona. Płaczymy. A potem śmiejemy się, bo znów mamy siebie nawzajem. Tym razem, jak jej obiecywałam, jest inaczej.

Wszystko jej opowiadam. Jaka byłam głupia i niepewna siebie i jak ją podziwiałam przez wszystkie te lata, jak mocno pragnęłam być bardziej podobna do niej, i ku memu wielkiemu zaskoczeniu, kompletnie zszokowana, słyszę od niej dokładnie to samo. Och, śmiejemy się, życie bywa takie zabawne. Obie podziwiałymy się i zazdrościłyśmy sobie nawzajem, nie zdając sobie sprawy, że tak jest.

Żartujemy z tamtych wakacji u naszego nadętego wujka Phila, kiedy Marta dostała pierwszego okresu i płakała, a ja też, bo zazdrościłam jej, że ona jest już kobietą. Wspominamy, jak miała osiem lat i nastąpiła na gwóźdź w lesie, a Andy Irvin i Doug Mason bili się o to, który zanieśie ją do domu, aż wreszcie ja sama wzięłam ją na ręce i zaniiosłam do rodziców.

Nasza rozmowa zdaje się trwać i trwać, nie ma początku ani końca, czas przestaje się liczyć. Bo teraz to już na wieczność.

Że niby nic nie dzieje się bez przyczyny? Uznajemy to za banał, ale w tym przypadku okazało się to prawdą. Stwierdzamy, że gdyby Marta nie umarła, ten zbrodniarz nigdy nie zostałby wykryty i nigdy nie przestałby zabijać. Jej śmierć ocaliła życie wielu ludziom. I sprawiła, że znów jesteśmy razem.

Może to nie idealna sytuacja, ale trzeba się cieszyć tym, co jest.

A teraz przynajmniej mamy siebie nawzajem, wolne od naszych ziemskich ograniczeń, niepokoju i małostkowych pretensji. Nareszcie odzyskałam swoją siostrę.

Na zawsze.

Rozdział 116

Ciężki oddech emerytowanego agenta Harrisona Bookmana wypełnia ciszę panującą w pokoju. Drzwi otwierają się z poświstem i do środka wpada powiew perfum Sophie.

– Wiem, że nie w porę, Books – mówi. – Ale dostaliśmy potwierdzenie od byłego trenera w Allentown. „Marty” Laney był początkującym zawodnikiem w szkolnej drużynie. Naprawdę się wyróżniał. A potem, po drugiej klasie, ni z tego, ni z owego, rzucił... to znaczy rzuciła szkołę i dokończyła naukę w Ridgway.

– Może to było wtedy, kiedy u Marty’ego, lub Mary, zaczął się okres dojrzewania – wtrąca Books. – Żadne sterydy na świecie nie wygrają z naturą.

– Racja. W Ridgway już nie grała w piłkę. Tak naprawdę, jak się dowiedzieliśmy, trzymała się na uboczu. Przychodziła na lekcje, po czym od razu wracała do domu. Nie brała udziału w żadnych dodatkowych zajęciach. Nie miała przyjaciół. W ten sposób łatwiej było jej ukryć swoją prawdziwą płęć. Potem Marty wstąpił do college’u w Pittsburghu i dojeżdżał tam, nadal mieszkając w domu. Studiował medycynę sądową. Z czasem wszedł, to znaczy weszła, w rodzinny biznes. Tata trzymał ją pod kontrolą przez całe życie.

Books ciężko wzdycha.

– Ten ojciec to niezły numer. Bo na przykład moja mama powiedziała mi kiedyś, że chciała mieć córkę, a urodziłem się ja. Ale nie kazała mi udawać, że jestem dziewczynką. Czy potwierdziliśmy wszystko, co wiadomo o tym dupku?

– Tak. Doktor Donald Laney był w szkole średniej gwiazdą tamtejszej drużyny futbolowej. Zwichnął sobie kolano na początku studiów w Pittsburghu i już nigdy potem nie grał w piłkę. Pracował jako patolog w Allentown. Matka Mary zmarła przy porodzie. To jedyne z tego wszystkiego, co powiedziała nam o sobie, okazało się prawdą. Kiedy doktor Laney

przeprowadził się do Ridgway, otworzył zakład pogrzebowy. Mary pracowała tam z ojcem. I zgadnij, co się stało z tym biznesem.

– Chyba nie chcę wiedzieć – rzuca Books.

– Został zamknięty, kiedy do instytucji nadzoru zaczęły wpływać skargi, że ciała bywają tam okaleczane.

– No tak. To pasuje do naszej Mary – mówi Books. – Pewnie ćwiczyła na zmarłych to, co potem robiła żywym, kiedy jej tatuś odszedł do wieczności.

– Tak, tak. W każdym razie teraz może dołączyć do niego w piekle.

Cisza. Potem odzywa się Sophie, a jej głos brzmi łagodniej.

– Będziesz siedział tu dalej, Books?

– Jasne. Nic mi nie jest, Soph. Pogadamy niedługo. Dziękuję, świetna robota, jeśli jeszcze nie zdążyłem ci tego powiedzieć.

– Już mówiłeś. Choć oboje wiemy, kto tu zasługuje na największe uznanie.

Zapada milczenie, słysząc tylko kroki wycofującej się Sophie i znów czuć lekki powiew, gdy drzwi otwierają się i zamykają.

– Tak, oczywiście, wiemy – szepcze Books ze ściśniętym gardłem.

Znowu nastaje cisza.

– Och, Emmy – mówi Books. – Och, Emmy, Emmy, proszę...

Nie jestem gotowa, Marto. Jeszcze nie. Kocham cię, siostrzyczko, i tęsknię za tobą jak szalona, ale jeszcze tu nie skończyłam.

– Emmy... – Czuję oddech Booksa na twarzy. Jego dłoń ujmuję moją. – O mój Boże... Emmy? – powtarza łamiącym się głosem. – Obudziłaś się.

Z wysiłkiem otwieram oczy, mrugam, a po chwili widzę go jak przez mgłę.

– Emily Jean, tak bardzo cię kocham. Kocham cię całym sercem. Wiesz o tym, prawda?

– Ttt...ak – szepczę.

Nawet nie mam siły odwzajemnić uścisku jego dłoni.

Delikatnie przebiega palcami po mojej twarzy.

– Rozstaliśmy się wtedy tak... Bałem się, że już nigdy nie zdołam ci tego powiedzieć. – Delikatnie całuje mnie w czoło. –

Wiesz, że nie myślałem naprawdę tego, co ci wtedy wykrzyczałem, prawda?

– Ttt...ak. – Próbuję się uśmiechnąć, ale nie wiem, co z tego wychodzi.

– Straciłaś mnóstwo krwi, ale dałaś radę. Udało ci się, Emmy. Złapałaś ją. Pamiętasz, co się stało?

– Ttt...ak.

Mrugam, powieki same mi się zamykają. Nie chcę teraz przypominać sobie tamtej nocy. I nie chcę widzieć swojego odbicia w lustrze. Ale rany się zagoją. Jak zawsze.

– Mogę pomieszkać z tobą, dopóki nie poczujesz się lepiej – mówi. – Po prostu, jak przyjaciel. Żeby ci pomóc. Jest tu też twoja matka. Teraz poszła na lunch. Była przy tobie od chwili, kiedy znaleźliśmy cię w tej chacie.

Poprawiam się na łóżku i czuję kłujący ból z lewej strony. Ostrożnie dotykam opatrunku na czole. To pamiątki po Mary.

Books poklepuje moją dłoń.

– Musisz odpocząć – dodaje. – A ja zawołam lekarza.

– Ttt...ak.

– Jesteś półprzytomna, Em. Śpij, o nic się nie martw. Będę tu, jak się obudzisz.

Odsuwa się ode mnie. Z trudem uchylam powieki.

– Books – udaje mi się wyszeptać.

– Tak? Słucham?

– Chodź... bliżej.

– Dobrze.

Nachyla się do mnie.

W ustach mam jakby muł, moje wargi są wyschnięte i spękane. Ledwie mogę cokolwiek wymamrotać.

– Bliżej – chrypię.

Books patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Dobrze, kochanie. – Nachyla się bardziej, tak że jego ucho niemal dotyka moich ust. – Jestem, Em.

Za chwilę zapadnę w błogosławiony sen, siły szybko mnie opuszczają, ale unoszę się lekko, by usłyszał to, co szepczę.

– Tak.

Podziękowania

Specjalne podziękowania dla wszystkich, którzy pomogli mi w pisaniu tej powieści. Dla Pata Laynga, który – jako doświadczony były prokurator federalny w Chicago – wprowadził mnie w tajniki spraw karnych związanych z podpaleniami. Dla Dana Collinsa, byłego prokuratora federalnego, a obecnie wspólnika w firmie Drinker Biddle & Reath LLP w Chicago, który służył mi radą w większych i mniejszych kwestiach, między innymi jak wygląda załatwianie nakazu rewizji i tworzenie psychologicznego profilu seryjnego zabójcy. I dla niezrównanej Sally McDaniel-Smith za to, że niestrudzenie dbała o precyzję w opisach badań kryminalistycznych i podpałów – innymi słowy za wyjaśnienia, jak można kogoś zabić tak, by wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek.